

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/99

1956



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI : **KARTY NA STÓŁ**

J. MACKIEWICZ : **KOMPLEKS NIEMIECKI**

Z. ROMANOWICZOWA : **BAŚKA I BARBARA**

DIALOG POLSKO-LITEWSKI

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski :	<i>Karty na stół</i>	3
Paweł Hostowiec :	<i>Dziennik podróży po moim pokoju w czasie odprężenia</i>	12
Józef Mackiewicz :	<i>Kompleks niemiecki</i>	27
Karol Świerczewski :	<i>Rozmowa z Gombrowiczem</i>	41
Ignacy Wieniewski :	<i>„Iliady” Księga Pierwsza</i>	49
Zofia Romanowiczowa :	<i>Baśka i Barbara</i>	63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jerzy Iwanowski — i		
Tadeusz Katelbach :	<i>Dialog polsko-litewski</i>	80

WOLNA TRYBUNA

Tadeusz Brzeziński :	<i>O reorganizację polskiej akcji zagranicą</i>	94
Stefan Czapliński :	<i>O Radę Gospodarczą Emigracji</i>	96

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Adam Ciołkosz :	<i>Tomasz Arciszewski</i>	99
Ludomir Rayski :	<i>O lotnictwie polskim we Wrześniu</i> 105	

KRONIKA KULTURALNA

—	<i>„Sprzeczności w życiu i dziele Mickiewicza”</i>	113
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	116
Bohdan Brodziński :	<i>Jedna czy dwie literatury polskie?</i> ..	121

KSIĄŻKI

Simone Weil :	<i>O książce Lenina: „Materializm i empiriokrytycyzm”</i>	123
K.A. Jeleński :	<i>Alchemia karpacka</i>	128
Józef Czapski :	<i>Listy ambasadora Kota</i>	132
Czesław Miłosz :	<i>Polska 1950 roku</i>	137
Michał Sambor :	<i>Pierwsza książka Kowalewskiego</i> ..	141
A. N.: —	<i>Z prasy krajowej</i>	143
	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	145



M.K. Pawlikowski, J. Kowalewski, Z. Łukaczyński :	<i>Listy do Redakcji</i>	146
---	--------------------------------	-----



—	<i>Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1955</i>	151
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Styczeń-Janvier

1956

INSTYTUT



LITERACKI

DALSZE WPLATY NA DOM „KULTURY”

Zbigniew Szpikowski, Toronto (Kanada), wpłata ponowna — „zamiast Życzeń Świątecznych i Noworocznych znajomym i przyjaciołom w Europie”	3.500 fr.
Tadeusz Sztral, Caracas (Wenezuela)	1.000 ”
K. Leszczyński, Amsterdam, N.Y. (USA), ponownie	1.000 ”
Rev. Piotr Witosławski, Toledo, Ohio (USA)	700 ”
J. S., Brooklyn, N.Y. (USA), ponownie	1.400 ”
B. Kowalski, Toronto, Ont. (Kanada)	1.000 ”
Hanna i Aleksander Kwiatkowsy, Washington (USA)	3.500 ”
Władysław Sluczanowski, Johannesburg (Afryka Pol.)	1.000 ”
Dr Janusz Kruszyński, Johannesburg (Afryka Pol.)	1.000 ”
Daniela P., Bruksela (Belgia), ponownie	2.000 ”
Bezimiennie (USA)	1.400 ”
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA)	3.200 ”
Bezimiennie (Wenezuela)	2.000 ”

DZIĘKUJEMY

Proszę moich przyjaciół z Brazylii, Argentyny i Wenezueli, by mi wybaczyli, że obiaçałem im serię rozdziałów o mojej podróży po krajach, gdzie im zawdzięczam wszystko co widziałem i przeżyłem — i że dotychczas, w numerach listopadowym i grudniowym dojechałem tylko do... Równika. Materiał mi się rozrasta i zdaje się, że muszę go szerzej rozwinąć, dlatego proszę o parę miesięcy cierpliwości.

W ostatnim numerze „Kultury”, do rozdziału „Tumult i widma”, wkradły się dwie przykre pomyłki: zamiast „nie tylko St. Sulpice ale i Matisse wydają mi się ludźmi” powinno być „nie tylko artyści St. Sulpice ale i Matisse” (str. 38) oraz na str. 46, przy końcu, zdanie powinno brzmieć: „Chrystus z końca XIV wieku w szacie niebieskiej, z oczami niepodobnymi do żadnych oczu ludzkich, Chrystus z XVI wieku o twarzy skatowanego człowieka ze strugami malowanej krwi...”

Józef CZAPSKI

Imprimé en France

Karty na stół

Gdyby... „Kultura” drukowała orędzia, apele, wypocone artykuły — gdyby... jej nakład nie przekraczał 600 egzemplarzy miesięcznie — gdyby... o „Orle Białym” pisała per „nasz bratni organ” — gdyby... wegetowała z zasiłku Skarbu Narodowego — gdyby... redakcja mieściła się w suterynie — gdyby... londyńskim korespondentem „Kultury” był p. dr Zdzisław Stahl — wówczas mielibyśmy możnych przyjaciół, stawiano by nas za wzór, klepano po ramieniu, a Giedroyc byłby zapewne awansował na kapitana. Wiemy to, ale niemniej wybraliśmy inną drogę. I nie żałujemy.

Ostatnio ukazały się w prasie emigracyjnej wypowiedzi pod naszym adresem, które trudno sklasyfikować. To nie są polemiki w europejskim tego słowa znaczeniu, a raczej artykuły-donosy według znanych wzorców wschodnich. Nim jednak przejdę do krytyki tych wystąpień postaram się możliwie jasno i bez niedomówień zdefiniować zasadnicze linie polityki „Kultury”. Wyłożmy nasze karty na stół.

Rozpocznijmy naszą analizę od poglądu na Kraj, gdyż niewątpliwie to jest problem najważniejszy. Pogląd na Kraj można budować na różnych przesłankach. W naszym zrozumieniu „polityka na Kraj” jest pojęciem szerszym niż polityka niepodległości. Dążenie do poprawy sytuacji w Polsce w ramach obecnego ustroju może nie być w pełnym tego słowa znaczeniu akcją niepodległościową, jest jednak polityką na Kraj.

Nasi oponenti przez politykę niepodległościową rozumieją powstanie w Polsce warunków, które umożliwiłyby im realizację ich politycznych planów, programów i ambicji. Wszystko inne określają jako „zejście z platformy niepodległościowej”.

Zespół „Kultury” wychodzi z innych założeń. Sądzimy, że jedynym kryterium w tej sprawie są interesy Kraju. Zilustr-

19570415/2

OTEKAL

P. 9786 chr. Arch.

jemy rzecz przykładem. Nasi oponenci są przeciwnikami titoizmu. Osobiście ani nie jestem ani nigdy nie byłem entuzjastą titoizmu. Uważam jednak, że gdyby w Polsce doszło do titoizmu byłoby to równoznaczne z poprawą sytuacji obecnej. Jeżeli ktoś siedzi w więzieniu na chlebie i wodzie jest rzeczą wielkiej wagi by raz dziennie dostawał gorącą kaszę. Nasi przeciwnicy krzykną: więźnia trzeba odbić siłą bo łaknie wolności a nie kaszy. A jeżeli uwolnienie nie będzie możliwe w obrębie najbliższych lat dziesięciu czy dwudziestu — to wówczas co? Owa kasza może stanowić o życiu lub śmierci — o doczekaniu dnia wolności.

Dla nas na emigracji polityka zaczyna się od słowa niepodległość. Programy partii politycznych, koncepcje federacyjne, przebudowa Europy — to wszystko są plany na jutro. Ale dla Polaków w Kraju polityka zaczyna się od dziś.

Przed kilku miesiącami w jednym z pism emigracyjnych ukazał się artykuł potępiający projekt pasa neutralnego śród-kowo-wschodnio-europejskiego. Autor w potoku patriotycznej grandilo kwencji zadeklarował: „Odrzucamy każde połowiczne rozwiązanie, każdą pół-wolność czy pół-niepodległość”.

Czy nam, którzy chleba wolności mamy do syta, wolno ze wzgardą odrzucać pół kromki w imieniu tych, którzy w ogóle tego chleba nie mają? Czy tak czyniąc możemy mieć pewność, że działamy w zgodzie z pragnieniami większości Polaków w Kraju?

Uważamy, że choć przywrócenie Polsce niepodległości jest naczelnym celem polskiej polityki nie jest jednak tej polityki celem jedynym. I to jest punkt pierwszy w którym grupa „Kultury” różni się zasadniczo od poglądów tzw. emigracyjnych kół oficjalnych.

Stoimy na stanowisku, że nasz obowiązek nie wyczerpuje się w przypominaniu światu sprawy uwolnienia Polski lecz, że naszym zadaniem jest również — w miarę możliwości — wysuwać inicjatywy zmierzające do częściowej poprawy obecnej sytuacji krajowej, jak również wpływać na kształtowanie się opinii i poglądów w Polsce.

Weźmy przykład. Jesteśmy antykomunistami i z komunistami nie współpracujemy ale ich zwalczamy. Jeżeli jednak w Polsce pojawiłby się komunistyczny przywódca, który podjąłby koncepcję Gomułki — gdyby leżało to w naszej możliwości — poparliśmy jego inicjatywę.

Na emigracji łatwo powiedzieć, że Gomułka taki sam zaprzędany komunista jak Bierut. Ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że 95 % Polaków w Kraju, którzy, podobnie jak my, nie są komunistami — zastąpienie Bieruta Gomułką (czy

komunistą o zbliżonych poglądach) uważałoby za wybitne poproszenie obecnej sytuacji.

Czy należałoby z tego wnioskować, że grupa „Kultury” składa się z trockistów? Nie. Należy natomiast z powyższego wnioskować, iż grupa „Kultury” ocenia, że leży w interesie Kraju większe zło zastąpić mniejszym złem.

Weźmy inny przykład. W listopadowym numerze „Kultury” w artykule pt. „Dramat polskich klerków” postawiłem zarzut polskim intelektualistom w Kraju, że nie usiłowali wniknąć w szeregi partii by z bazy marksizmu wpłynąć na rozwój doktryny i sytuacji wewnętrznej w Polsce.

Posypały się na mnie gromy. Jedni oskarżają mnie, że propaguję komunizację Polski — inni, inteligentniejsi, którzy zrozumieć założenie — nie oskarżają mnie wprawdzie, ale sam pomysłu określili za fantastyczny.

Dlaczego fantastyczny? Komuniści, chcąc rozbić Kościół katolicki, doszli do wniosku, że należy wejść w jego organizację i działać z bazy doktryny katolickiej. Celem tej akcji jest unarodowienie czyli „stitoizowanie” Kościoła katolickiego w Polsce.

Polscy intelektualiści mogli podjąć identyczną inicjatywę w stosunku do komunizmu. Wniknąć w organizację partyjną by z bazy marksizmu dążyć do powolnego i stopniowego unarodowienia komunizmu. Dana taktyka jak długo stosują ją komuniści — jest realistyczna. Jeżeli jednak znajdzie się ktoś kto proponuje by analogiczną taktykę podjęli antykomuniści — okrzykany zostanie natychmiast za trockistę i fantastę.

Weźmy jeszcze inny przykład.

W listopadowym numerze „Kultury” zamieściliśmy zaproszenie do 48-miu sygnatariuszy znanego apelu, nawołującego do powrotu do Kraju. Zaprosiliśmy tych, którzy podpisując ów apel wzięli na siebie moralną i polityczną odpowiedzialność za jego treść i konsekwencje.

Niemal nazajutrz w lokalnym piśmie ukazał się artykuł pt. „Niepoczytalna inicjatywa”. Nie zajmowalibyśmy się na tych łamach tygodnikiem tego kalibru gdyby nie fakt, że Syndykat Wolnych Dziennikarzy Polskich we Francji uchwalił rezolucję potępiającą inicjatywę „Kultury”. Styl artykułu i tenor owej „rezolucji” wskazują niezbitnie na wspólnego autora. W cytowanej rezolucji czytamy:

„Apel redakcji „Kultury” wyraża jedynie pogląd kilku osób, wchodzących w skład zespołu redakcyjnego tego pisma. Pomimo tak ograniczonych ram w jakich występuje inicjatywa „Kultury” musi ona być uznana jako niebezpieczna — choć może nieświadoma — próba dokonania dywersji w szeregach polskiej emigracji na Zachodzie, stojącej na gruncie bezwzględnej walki o wyzwolenie Polski spod okupacji sowieckiej”.

Tę ekskomunikę Syndykat paryski kończy słowami:

„Syndykat Wolnych Dziennikarzy Polskich we Francji uważa za swój obowiązek obywatelski i zawodowy potępić inicjatywę redakcji „Kultury” i równocześnie przestrzec polskie społeczeństwo emigracyjne przed niebezpiecznymi konsekwencjami politycznymi”.

Tak oto, mając już za sobą niemal dziesięć lat wydawania „Kultury” dowiedzieliśmy się, że jesteśmy „niebezpiecznymi dywersantami”. I to nie jest zarzut wysunięty przez nieznane pismo, lecz rezolucja uchwalona przez Syndykat Wolnych Polskich Dziennikarzy we Francji.

Na emigracji różne już bywały uchwały i rezolucje ale czegoś podobnego dotąd nie było.

Jestem zsyndykalizowanym, zawodowym dziennikarzem polskim dokładnie od lat 26 — i niech mi wolno będzie na tym miejscu wyrazić uczucie niesmaku i wstydu — wstydu za Was, panowie koledzy. Dziennikarza można powołać przed sąd koleżeński, można go wykluczyć z polskich organizacji zawodowych ale wprawdzie musi być sąd i przesłuchanie a później wyrok i potępienie. Potępienie całego zespołu redakcyjnego pisma — z góry, bez sądu, bez zbadania sprawy, zaocznie — jest wprowadzaniem metod bolszewickich do naszego życia organizacyjnego. Pomijam fakt, że Syndykat paryski nie jest żadną władzą w tej sprawie, ponieważ współpracownicy redakcji „Kultury” nie są jego członkami. Formalnie ów cały „wyrok” jest bezprawiem, ale nie chodzi mi w tym wypadku o stronę formalną lecz o intencję. Nadużyto autorytetu organizacji zawodowej by na zespół redakcyjny „Kultury” rzucić potwarz. Zarzucono nam dywersję w szeregach polskiej emigracji. Dywersant jest zdrajcą — niczym innym.

Czytelnik może się zdziwić, że tym panom poświęciłem tyle miejsca i uwagi. Czynie to celowo by na tym klasycznym przykładzie wyjaśnić metody walki politycznej stosowane na emigracji. Zamiast dyskutować i argumentować, przeciwnika oskarża się o komunizm, pro-komunizm, dywersję, robiąc równocześnie donosy do Anglików, Amerykanów czy Francuzów. W Sowietach również z nikim się nie dyskutuje tylko przeciwnika oskarża się po prostu o odchylenie od komunistycznej linii. Po tej stronie barykady przeciwnika oskarża się o odchylenie od antykomunistycznej linii. U nas przeciwnika politycznego nie można jeszcze wysłać do łagru ani nawet do rodzimej Berezy — ale może się i tego doczekamy.

Do taktyki naszych przeciwników powrócę w końcowych ustępach tego artykułu — w tym miejscu chciałbym tylko podkreślić, że jeżeli tego typu metody miałyby upowszechnić się

na emigracji — sens walki przeciwko komunizmowi zostanie pogrzebany.

Obecnie poświęćmy kilka słów owemu zaproszeniu wystosowanemu przez redakcję „Kultury” do 48-miu podpisanych pod apelem powrotu.

Po pierwsze — rozmawiać można z każdym, pod warunkiem, że rozmowa odbywa się w wolnym kraju. Po drugie — sam fakt rozmowy ani o niczym nie świadczy ani niczego nie przesądza.

Jakie są możliwości? Jeżeli zaproszenie zostanie odrzucone reżym się skompromituje. Byłoby wówczas oczywiste, że reżym obawia się, iż sygnatariusze w prywatnej rozmowie zajmą stanowisko odmienne od oficjalnej linii apelu.

Jeżeli kilku czy kilkunastu sygnatariuszy przyjedzie — przeprowadzimy z nimi rozmowy, które w każdym wypadku rzuca wiele nowego światła na sytuację w Kraju. Rozmowy będą cennym źródłem informacji nawet wówczas jeżeli się okaże, że przyjechała specjalnie dobrana ekipa, zdecydowana nie odstępować na milimetr od instrukcji swoich mocodawców. Rozszyfrowanie tych intencji, argumentacja naszych gości, ich odpowiedzi na serię konkretnych pytań, które im zadamy — wszystko to dostarczy pierwszorzędного materiału orientacyjnego, którego — jeżeli chodzi o Kraj — nigdy nie jest dosyć.

Dyskusja nie jest nigdy pozycją straconą. W zetknięciu osobistym trudno jest szermować sloganami — tym bardziej, że nie zależy nam na pozorach à la „duch Genewy” lecz na faktach i argumentach będących faktów logiczną konsekwencją.

Jeśli w ogóle do tej rozmowy dojdzie nie jest istotne co nasi goście napiszą o nas w prasie krajowej. Istotne jest co z tych rozmów wyniosą i wywiozą z sobą do kraju. Osobisty kontakt człowieka z człowiekiem nie mija nigdy bez śladu.

Nie można wykluczyć, że przyjedzie kilku ludzi, którzy zechcą w czterech ścianach naszej redakcji mówić względnie szczerze. Oczywiście ten typ rozmowy byłby najcenniejszy.

Konia z rzędem temu, kto wyjaśni gdzie tu jest „dywersja”?

Czy redakcja „Kultury” winna mieć pozwolenie emigracyjnej (pożal się Boże) dwójki by rozmawiać z ludźmi z Kraju?



Cel tego artykułu jest podwójny. Pragnę w sposób jasny przedstawić nasze stanowisko w sprawach: polityki na Kraj, polityki emigracyjnej, polityki międzynarodowej. Pragnę również zaalarmować jak najszersze koła społeczeństwa emigracyjnego.

przedstawiając niebezpieczeństwo związane z pewnymi metodami walki politycznej na emigracji.

Wszystkie nasze wypowiedzi w stosunku do Kraju można streścić w dwóch punktach:

1. Jesteśmy za pełnym wyzwoleniem, niepodległością, i rzetelną demokracją — nie odrzucamy jednak rozwiązań połowicznych jak np. neutralizm. W imię pełnej wolności nie odrzucamy pół-wolności w imieniu tych, którzy od lat 16-tu pozbawieni są w ogóle wolności.

2. Reprezentujemy pogląd, że przedmiotem polityki na Kraj jest nie tylko cel kardynalny to jest niepodległość lecz również bieżąca sytuacja w Polsce. Nie jesteśmy zwolennikami poglądu — któremu więcej hołduje polityków na emigracji niż się sądzi — że... im gorzej tym lepiej.

Jeżeli chodzi o politykę emigracyjną odrzucamy jako koncepcje zbankrutowane zarówno legalizm w wydaniu p. A. Załeskiego jak i legalizm w wydaniu partii historycznych. Odmawiamy jak jednemu jak i drugiemu prawu reprezentowania społeczeństwa emigracyjnego oraz odmawiamy im moralnego tytułu domagania się pieniędzy z tytułu reprezentacji „państwa na emigracji”. Mandat tak jednych jak i drugich jest fikcją.

Domagamy się praworządności, to jest oparcia reprezentacji politycznej i Skarbu Narodowego o zasadę wyborów.

Nie mamy nic przeciwko partiom politycznym pod warunkiem jednak, że ich tytuł reprezentacyjny wywodzić się będzie z woli współcześnie żyjących wyborców a nie z legatu nieboszczyków. Zaufania społeczeństwa nie można dziedziczyć ani przejmować w ramach „historycznej schedy”.

Nasz pogląd na bieżącą politykę międzynarodową dyktowany jest bezspornymi interesami Kraju.

Interesy Kraju oceniane są różnie. Inaczej widzi je socjalista, inaczej działacz Stronnictwa Narodowego a jeszcze inaczej piłsudczyk. Ci, którzy hołdują doktrynie partyjnej czy ideologii — skłonni są identyfikować interesy Kraju z interesami swojej partii czy ugrupowania. Nie ma w tym nic złego i w normalnych warunkach ów proces stanowi treść naturalnej gry sił politycznych. Jest naturalne i zrozumiałe, że — powiedzmy dla przykładu — p. Attlee uważa, iż leży w interesie Wielkiej Brytanii by „Labour Party” w następnych wyborach odniosła zwycięstwo. Jest to zrozumiałe ponieważ p. Attlee w swojej opinii

nie jest odosobniony, gdyż podobnie jak on myśli niemal połowa mieszkańców Wielkiej Brytanii.

Żaden z emigracyjnych przywódców partyjnych nie jest w tej sytuacji co p. Attlee. Żaden z nich nie może powiedzieć, że ma podstawy do identyfikowania interesu swojej partii z interesem Kraju ponieważ 50% Polaków myśli podobnie jak on. Nasi przywódcy partyjni niemal od 20 lat przebywają zagranicą a w Kraju w tym okresie zaszły przemiany trudne do wymierzenia. Wskutek tego nie wiemy czy politycy partyjni na emigracji reprezentują przebrzmiałą tradycję — czy żywe siły narodu. Nie wiemy czy reprezentują większość czy znikomą mniejszość. Nie wiemy czy poza sobą i komitetami, którym przywodzą — reprezentują kogokolwiek. Ponieważ wybory są sabotowane nie wiemy nawet w jakim stopniu reprezentują emigrację.

Każdy z nas prywatnie ma prawo wyznawać ideologię Piłsudskiego czy Dmowskiego, nikt z nas nie ma jednak podstaw do twierdzenia, że w Kraju istnieją poważniejsze siły, które opowiadają się za programem Stronnictwa Narodowego czy ideologią Piłsudskiego i życzą sobie by polityka polska prowadzona była w zgodzie z kryteriami wymienionych ideologii.

W konsekwencji zespół „Kultury” uważa, że emigracja może reprezentować wyłącznie politykę interesów Kraju a nie politykę doktrynalną partii i ugrupowań. Na pierwszy rzut oka wydaje się to proste i oczywiste. W zagadnieniach terytorialnych (np. zagadnienie granicy na Odrze-Nysie) owa bezsporność interesów jest oczywista i w niczym nie zagraża interesom partii. Obrona tej granicy nie przesądza bowiem spraw ustrojowych. Toteż bronią solidarnie tej granicy zarówno socjaliści jak i endecy.

Ale celem naszej polityki na emigracji są nie tylko granice, lecz w pierwszym rzędzie uwolnienie. I w tej sprawie kolizja pomiędzy interesem Kraju a interesem partii jest trudna do uniknięcia.

Nie ulega wątpliwości, że Polacy w Kraju pragną wyzwolenia choćby częściowego — choćby nie było ono równoznaczne z likwidacją partii komunistycznej czy wyjęciem jej spod prawa. Należy uznać za prawdopodobne, że do tego typu rozwiązań prawicowe ugrupowania emigracyjne (jak np. endecy czy piłsudczycy) — ustosunkowałyby się negatywnie. Te ugrupowania wysuwają postulat całkowitego wyzwolenia jako rozwiązanie jedyne do przyjęcia, ponieważ tylko całkowite wyzwolenie obejmujące likwidację partii komunistycznej stwarzałoby możliwość powrotu tych ugrupowań na scenę polityczną.

Całkowite wyzwolenie leży niewątpliwie w bezspornym interesie Kraju. Ale częściowe wyzwolenie np. poprzez neutralizację — choć prawdopodobnie przekreślałoby szanse powrotu na scenę polityczną endeków czy piłsudczyków — leży również w bezspornym interesie Kraju.

Istnieje jeszcze głębiej sięgająca rozbieżność interesów i perspektyw. Wszystkie partie na emigracji są w gruncie rzeczy partiami konserwatywnymi — nie odzwierciedlają bowiem ewolucji poglądów w Kraju, lecz program powrotu i nawrotu do przeszłości. Wskutek tego w swoim własnym interesie partie podtrzymują legendę, że w Polsce de facto nic się nie zmieniło i naród „trwa” pod kloszem okupacji sowieckiej nienaruszony i ten sam. Wystarczy ów klosz rozbić by wyłonił się układ zbliżony do roku 1939 — z endecją, piłsudczykami, ludowcami itd. W konsekwencji reprezentanci legendy odnoszą się z zrozumiałą niechęcią do pism i pisarzy, którzy wykazują, że powrót nie będzie nawrotem i że dla nas, emigrantów — prawdziwa rewolucja zacznie się dopiero w chwili wyzwolenia. Wówczas przekonamy się, że programy naszych partii emigracyjnych utraciły wszelki związek z rzeczywistością i przekonamy się również, że pod kloszem okupacji naród nie tylko „trwał” ale w istotnych dziedzinach radykalnie się przeobraził.

To są przyczyny dla których zespół „Kultury” odrzuca podejście doktrynalno-partyjne jako w emigracyjnym układzie całkowicie bezpłodne.

Nikomui nie narzucamy naszych poglądów i w pełni szanujemy cudze poglądy. Nie zarzucamy — powiedzmy dla przykładu „Orłowi Białemu” — że hołduje innym poglądom niż my. Nie tylko szanujemy te poglądy ale w większości wypadków je podzielamy. Ugrupowaniu politycznemu, którego organem jest „Orzeł Biały” — zarzucamy natomiast, że wykazuje tendencję identyfikowania swoich własnych poglądów nie tylko z ortodoksyjnym antykomunizmem ale z jedynie dopuszczalnym antykomunizmem. W takich artykułach jak „Kultura snobizmu i czego?” czy „Dwaj panowie M.” — by wymienić pierwsze dwa z dłuższej serii — redakcja „Orła Białego” operuje tego typu argumentacją.

Nie chciałbym wywoływać wrażenia, że w tym artykule załatwiamy osobiste porachunki. Nie chodzi ani o osoby, ani o nazwy pism czy tytuły artykułów. Chodzi o zasadę — niezmiernie ważną zasadę. Nasi przeciwnicy polityczni — zwłaszcza ci, którzy wyznają ideologię taką lub inną — względnie ci, którzy przynależą do partii takiej lub innej — wszelkie odchylenia od pionu politycznego przez nich reprezentowanego określają albo jako „zejście z platformy niepodległości”, albo zgoda

za „dywersję” i „fellow-travellerstwo”. Jeżeli tym panom zarzuci się w polemice ciasnotę i reakcyjność wówczas odpowiadają, że prasa komunistyczna zarzuca im również reakcyjność. Stąd wyprowadzają wniosek, że jeżeli ktoś na emigracji zwalcza ich i zarzuca im ciasnotę — solidaryzuje się z komunistami — a solidaryzując się z komunistami „schodzi z platformy niepodległości”.

Nasi rodzimi prawicowcy wykazują niebezpieczną tendencję do wyświecania antykomunizmu do rangi reakcyjnej, antyliberalnej doktryny. W swej ciasnocie ci panowie nie zdają sobie sprawy, że w gruncie rzeczy są niepomiernie bardziej bliscy komunizmowi niż... liberałowie z „Kultury”.

Bo cóż jest treścią antykomunizmu? Treścią antykomunizmu jest tylko i wyłącznie obrona wolności i demokracji. Jeżeli dla wolności wybór miałby tylko dotyczyć grabarzy — to znaczy alternatywy czy ma ona spocząć w grobie usypanym przez komunistów czy przez faszystów — walka i opór straciła by wszelki sens, treść i znaczenie.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Staraniem Komitetu przyjaciół i znajomych ukaże się
w marcu 1956 roku
pamiętnik TADEUSZA KATELBACHA pt.:

ROK ZŁYCH WRÓŻB/1943/

Będzie to już czwarty tom pamiętników tego autora wydany na uchodźstwie. Poprzednie trzy tomy zostały szybko wyczerpane. Z tego względu, jak również z powodu ograniczonego nakładu ROKU ZŁYCH WRÓŻB, Komitet zwraca się z apelem o spieszne zamawianie książki. Zamówienia z załączonym postal orderem na 10 szylingów należy kierować na adres sekretarza Komitetu:

Mr. S. Sęp-Szarzyński,
34, Tavistock Road, London, W.II.

W sprzedaży księgarskiej cena książki wynosić będzie
14 szylingów 6 pensów.

Dziennik podróży po moim pokoju w okresie odprężenia

Mieszkam w bardzo starym domu, którego początki sięgają XIV wieku, wielokrotnie przebudowywanym. Zajmowany przeze mnie pokój ma ściany wykładane drzewem w kolorze *blanc rococo*. Kształt jego jest nieregularny: składa się z części prostokątnej, datującej z ostatniej przebudowy w 1850, oraz z trójkątnej niszy oddzielonej kotarą i o sto lub dwieście lat starszej. Naprzeciw niszy znajduje się okno wychodzące na ulicę, przy której stoją inne, równie stare domy z malowanymi okiennicami. W jednej z dwu pozostałych ścian znajdują się drzwi, naprzeciw zaś kominek z czekoladowego kamienia, w stylu empire. W środku pokoju stoi wielki, okrągły stół, dokoła którego podróżuję.

Droga moja jest niedługa: dokoła stołu 15 kroków, tyleż mniej więcej od stojącego w niszy łóżka do okna. Na tej trasie znajdują się miejsca postojów: jedno przy małym piecyku, do którego wrzucam cegielki z prasowanego węgla, drugie przy oknie, trzecie przy kominku, na którym leżą książki i pisma.

Zatrzymuję się też koło wiszącego przy drzwiach sztychu Hogartha, który w 1945, zmięty i poplamiony, znalazłem u bukinisty. Sztych jest natury alegorycznej, odbiegający od innych dzieł mistrza. Jest jak gdyby ilustracją do testamentu H.G. Wellsa i przedstawia koniec naszej planety i jej mieszkańców. Leży na niej otoczony różnym rupieciami nagi starzec z skrzydłami u ramion. W wyobraźni Hogartha człowiek przed zniknięciem miał się nauczyć latać. Skrzydlaty starzec kruszy w palcach fajkę z białej gliny, z ust zaś wypuszcza ostatni kłęb dymu, w którym czytamy słowo *finis*. Za nim rozciąga się płaski brzeg zatoki z szubienicą, na której ostatni człowiek powiesił był przedostatniego. Na niebie widać spadający do morza wóz Heliosa. W ręku starca znajduje się testament, z którego czytelne są ostatnie słowa: *all and every Atom thereof to Chaos*

whom I appoint my sole Executor oraz podpisy trzech świadków: Clotho, Lachesis, Atropos. Obok leży na ziemi podeptany dramat życia, w którym widać tylko słowa: *exeunt omnes*. W miarę oglądania szczegółów aluzje stają się nam coraz bliższe. Gasnący wzrok starca spoczywa na obrazie przedstawiającym glob ziemski rozdarty przez wybuch w miejscu odpowiadającym Europie. Dokoła stoją drzewa bezlistne, szare, jak w lesie zatrutym iperytem, który widziałem w 1919 pod Compiègne.

Stare domy są pełne sekretów, nawiedzane przez zjawy i duchy. Nie brak ich też w moim domu. Kiedy leżąc na łóżku zbliżam ucho do ściany, słyszę w nocy dalekie kwilenie dzieci mówiących przez sen, niby blade duszyczki młodzianków pomordowanych z rozkazu Heroda lub dzieci żydowskich spalonych w hitlerowskich krematoriach. W rzeczywistości są to dzieci żywe, śpiące w sąsiednim domu o dwa piętra niżej, których głosy w niewytłumaczony bliżej sposób słyszalne są w jednym kącie mego pokoju.

Od kilku miesięcy — od kiedy czytam więcej publikacji krajowych i widuję przyjezdnych — chodząc dokoła stołu widzę chwilami zjawy dawnych przyjaciół pozostałych po tamtej stronie linii demarkacyjnej. Jedne są upiornie blade, z niestrzyżonymi brodami. Są to zjawy przebywających w więzieniach. Innych widzę w trepkach i płóciennych spodniach, wzdychających słowami Woltera: *il faut cultiver notre jardin*. Inni wreszcie patrzą na mnie z uśmiechem wyższości i pobłażania. Obrazy te szybko mijają. Zjawy i duchy nie zatrzymują się dłużej koło sceptyków. Zostaje po nich pył gorzkich słów, które z trudem i częściowo tylko udaje mi się, w miarę dalszej podróży dokoła stołu, ułożyć w na pół czytelne fragmenty.

EMIGRACJA JAKO HEREZJA

...w mej teorii
Herezja w wielkiej chodzi głotii

C. Miłosz.

W londyńskich *Wiadomościach* z 23 października 1955 ukazała się obszerna relacja Józefa Mackiewicza o wydaniu w ręce sowieckie, w końcu maja 1945, kilkudziesięciu tysięcy uchodźców zgromadzonych w Austrii w dolinie Drawy. Uchodźcy ci, prawosławni i muzułmanie, pochodzili przeważnie z Południa, z Kaukazu, Kubania i wybrzeży czarnomorskich, gdzie istniały zawsze prądy niepodległościowe i separatystyczne. Jak wiadomo, dwie z tych południowych republik sowieckich zostały po wojnie zniesione i cała ich ludność zesłana na Syberię. Wstrząsająca relacja Mackiewicza zawiera wiele nowych danych.

Likwidacja uchodźców w dolinie Drawy, jak i inne podobne likwidacje przeprowadzone w tym czasie przez wojska angielskie, nie jest faktem nieznanym, lecz przez dziesięć lat była uporczywie przemilczana przez wszystkich. Ostatniego lata dopiero, po wyjściu z Austrii wojsk okupacyjnych, przemówili austriaccy świadkowie wypadków. W początku czerwca 1955, w Spittalu i miejscowościach sąsiednich odprawiono msze za dusze ofiar likwidacji. Józef Mackiewicz, którego znaczenie jako pisarza podniósł w poprzednim numerze „Kultury” Czesław Miłosz, pierwszy przerwał milczenie w polskiej prasie emigracyjnej.

O likwidacji w Spittalu dowiedziałem się w kilka miesięcy po wypadkach od oficerów francuskich w Tyrolu, gdzie skrywała się część ocalałych z pogromu. Tamże spotkałem zbiegów z Kempten, gdzie podobną likwidację przeprowadziły wojska amerykańskie. W kilka dni później widziałem w Niemczech obławy na ukrywających się uchodźców, których wiązano i odstawiano do linii demarkacyjnej.

Mroźne dni wczesnej jesieni w Innsbrucku, gdzie dowiedziałem się o tych wypadkach, były dla mnie największym wstrząsem. Nie wątpię, że stoję przed najdonioślejszymi skutkami ostatniej wojny, przed faktami oświeclającymi sens nowego podziału Europy i rozstrzygającymi dla dalszych stosunków między Wschodem i Zachodem.

Układy między zwycięzcami ustalały linie demarkacyjne i zasięg zon wpływów. Likwidacja w Spittalu ustalała w sposób demonstracyjny wynikający z tych układów podział ludności Europy na nowe kategorie. W jednej znajdowali się ludzie korzystający z praw wyborczych i gwarancji konstytucyjnych, w drugiej ci, których można strzelać jak zające, gnieść tankami i pławić w rzekach bez tego, aby wykonujący te czynności mieli świadomość przekraczania zasad moralnych i przepisów etykiety towarzyskiej obowiązującej w ich krajach. Do czynności tych upoważniały ich traktaty, na których widniały podpisy mężów stanu wybranych w powszechnych głosowaniach, i które miały być niebawem aprobowane przez cały synod narodów zgromadzony w San Francisco. Rozgrzeszały ich rządy, parlamenty, sędziowie w togach stojący na straży praw i opinia większości będąca właściwie jednomyślnością, bo i mniejszość zachowywała dotąd w tej sprawie całkowite milczenie. Znajdowali się wreszcie na końcu długiej ewolucji obyczajów, w wyniku której zdanie większości i nadzieja na pomyślną koniunkturę gospodarczą miały zastąpić sumienie i naukę Ewangelii.

Podział ludności Europy na nierówne kategorie był nieuniknionym uzupełnieniem podziału terytorialnego. Umowa jaltańska i likwidacja w Spittalu są, jak orzeł i reszka, dwoma aspektami tej samej rzeczy. Aby oddać na poniewierkę sto milionów ludzi, trzeba mieć lub stworzyć sobie ex post niewielkie pojęcie o ich wartości.

W Europie — nie mówimy tu o stosunkach kolonialnych — takie podziały ludności mają pewne precedensy i tradycje. Grecy uważali barbarzyńców za ludzi innej kategorii. *Adversus hostem aeterna auctoritas*, mówili Rzymianie. W tradycji chrześcijańskiej znajduje się dziwnie aktualny dziś traktat Tertulliana *De persecutione haereticorum*. Afrykański pisarz rozwija w nim myśl, że heretyków należy prześladować nie za to, że są tacy czy inni — ich biskupi, pisze, są bardziej świętobliwi od naszych — ale za to że są innej obediencji. Dodać można, że słowo „prześladowanie” w ustach Tertulliana jest bliższe wzorów z Spittalu niż chłopców z żyletkami; wyraz *persecutor* oznaczał wówczas mniej więcej tyle co *tortor* lub *caruifex* czyli oprawca. Krzyżacy sądzili, że pogan można zabijać bez grzechu, i pogląd ten miał za sobą wielu zwolenników. W bliższych nam czasach, bo w początku XVIII wieku, lord Bolingbroke rozwijał w swej historii Europy pogląd, że kraje leżące na wschód od Niemiec znajdują się poza systemem europejskim, i że to co się w nich dzieje jest dla tego systemu obojętne. Dlatego Austria, zajęta właśnie podbojem Węgier, mogła jego zdaniem należeć na Zachodzie z powodzeniem do koalicji broniącej suwerenności państw zagrożonych przez Ludwika XIV. W myśl tej samej zasady cesarz rosyjski, będący monarchą absolutnym u siebie, był bardzo pożądanym sojusznikiem demokratów przeciw Wilhelmowi II. Taka dwoistość ocen była bardzo rozpowszechniona. W 1930 roku, po Brześciu, posłyszałem od Leona Jouhaux następującą uwagę:

— Dlaczego właściwie Polacy są niezadowoleni z rządów Piłsudskiego? Francuzi nie znieśliby takiego rządu nawet przez jeden dzień, ale dla Polaków jest on wystarczająco dobry.

Wszystko to były jednak zjawiska o mniejszym zasięgu. Lord Bolingbroke mógł uważać Węgrów za ludzi drugiej klasy, mogących obejść się bez niepodległości; poglądy jego nie pociągały za sobą większych konsekwencji. Europa Wschodnia była wówczas daleka, mało zaludniona i podzielona na państwa, z których żadne nie mogło wojować z Wielką Brytanią. W warunkach obecnych podział ludności Europy na nierówne klasy obejmujące setki milionów ludzi jest zjawiskiem o innym zasięgu. Jest to największa schizma znana historii.

Samo sformułowanie takiej zasady nierówności, obrażające uczucia narodów próżnych jak pawie, żłobi między Zachodem i Wschodem przepaść, tworzy sytuację niepowrotną, której nie potrafią zmienić żadne komplementy i uśmiechy oficjalne. Już wówczas w Innsbrucku stan trwałego konfliktu między Wschodem i Zachodem wydał mi się nieunikniony. Również nieunikniona wydawała mi się trwałość linii demarkacyjnej dzielącej te dwa światy. Po zdyskwalifikowaniu ludności mieszkającej za tą linią Zachód nie będzie mógł nic przedsięwziąć w celu jej wyzwolenia. Byłoby to *mourir pour Dantzig*. Widziałem też jasno wnioski, jakie z nowej schizmy potrafią wyciągnąć władcy Kremla.

Widziany z Zachodu, los krajów za żelazną zasłoną nie wydawał się nigdy równie tragiczny jak wówczas. Wśród tzw. ekspertów od spraw rosyjskich zaczął się szerzyć pogląd, że Rosja spustoszy leżące między Bałtykiem i Adriatykiem kraje i deportuje ich ludność na Syberię w celu stworzenia pasa obrotowego od strony zachodniej. W demontowaniu fabryk w zonie sowieckiej widziano już początek wykonania tego planu. Zaliczwszy ludność Europy Wschodniej do drugiej klasy, Zachód nie oczekiwał dla niej widocznie lepszego losu.

Tragiczna była też sytuacja emigrantów. W Innsbrucku widziałem wyłkniętych zbiegów z różnych zon. Nikt nie wiedział, gdzie zatrzymają się przymusowe repatriacje. Najsprzeczniejsze wiadomości szerzyły się na ten temat. Każdy czuł się zagrożony losem uchodźców z Kempten i Spittalu. Ale i ci nawet, którzy otrzymali zabezpieczające ich na razie od ekstradycji dokumenty, byli zdruzgotani moralnie. Nie opuszczała ich myśl, że zostali zaliczeni do kategorii ludzi, których wolno gniesć tankami i pławieć w rzece jak czarownice. Ukraiński poeta Leonid Mosendz, którego spotkałem w Innsbrucku, mówił: „Najważniejszą rzeczą jest nie myśleć; jeżeli się pomyślało — nie mówić”. Zamierzał szukać lekarstwa w pisaniu wierszem wołyńskiej idylli. Uciekać od złej myśli, wymijać ją, kluczyć, przyczajać się jak zając:

Siedział zając pod miedzą,
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą.

Program niewykonalny. Od myśli trudniej uciec niż od oprawców.

Wiele rzeczy ułożyło się potem mniej tragicznie. Polska i Węgry nie zostały zmienione w pustynię. Po latach oczekiwania emigranci otrzymali papiery dające im prawo pobytu i pracy. Wędrując po moim pokoju spostrzegam wszakże, że z mroźnych dni w Innsbrucku zostało mi parę urazów.

Na widok mostu na Renie w St. Margrethen przychodzi mi za każdym razem na myśl, że przez ten most będę kiedyś siedział w kierunku wschodnim, z związanymi rękami. Wydaje mi się wówczas, że w razie plebiscytu na ten temat cała ludność Europy Zachodniej wypowie się za ekstradycją emigrantów. Głosować będą za nią robotnicy i przemysłowcy w nadziei na poprawę stosunków handlowych z Rosją, komuniści i nacjonalisci, nienawidzący zasadniczo każdego kto nie pochodzi z ich parafii.

Kiedy czytam relacje korespondentów prasy zachodniej i podróżników wracających z demokracji ludowych, wydaje mi się, że wszyscy właściwie mówią to samo co Léon Jouhaux: „Na nasze pojęcia tam nie jest dobrze, ale dla nich to wystarczy”.

Kiedy widzę, że miarodajne instancje Zachodu nie znajdują w stosunku do emigrantów innego programu jak rozproszenie i asymilacja i nie widzą możliwości popierania działalności kulturalnej emigrantów, myślę, że są to logiczne i nieuniknione

konsekwencje wypadków w Spittalu. Nawet najbardziej oddani nam na Zachodzie przyjaciele nie widzą prócz asymilacji żadnego sposobu zmycia z nas plamy przynależności do ludzkości drugiej klasy.

Sytuacja emigrantów nigdy nie była łatwa. W dawnej Grecji ludzi uciekających z swej *polis* brano zazwyczaj za szpiegów udających emigrantów i palono ich na ogniu, żeby się przyznali. Istnieje nawet grecki termin — *pseudautomolos* — na oznaczenie szpiega podającego się za dezertera.

W naszych czasach los emigranta obciążony jest nadto konsekwencjami wielkiej schizmy, podziału w ich własnych pojęciach ludzi na nierówne kategorie. Stanowisko emigranta stało się podobne do sytuacji heretyka. Nikt nie staje się heretykiem z własnej woli, lecz na skutek ekskomuniki, odtrącenia przez zbiorowość. Trwanie w pozycji heretyka bez wpadania w newrozy kompensacyjne wymaga — jak znoszenie długotrwałej choroby morskiej — pogody charakteru i poczucia humoru, przede wszystkim zaś przekonania o słuszności swej sprawy i pogardy dla zdania większości. W samym założeniu wszelkiej herezji leżąca pogarda dla zdania większości budzi podejrzliwość tzw. demokratów, ale heretyk, zmuszony do obchodzenia się bez tylu innych rzeczy, obejdzie się też bez zaufania demokratów. Będzie się mógł natomiast powołać na to, że pogarda dla zdania większości znajduje się w nauce Ewangelii.

Nikt nie znosi dobrze położenia heretyka, nie znoszą go też dobrze i emigranci, zwłaszcza Polacy, którym od kilku wieków już brak tradycji heretyckich. Jedni nie chcą patrzeć w twarz rzeczywistości, u innych sytuacja mimowolnych heretyków wywołuje zjawiska kompensacyjne, jak trzymanie się kurczowo wszelkich zastępczych ortodoksji emigracyjnych, chociażby to była tylko ortodoksja niewielkiej grupy śpiewaków „Roty”. Każde uchylene się od tych zastępczych ortodoksji wywołuje u nich reakcje ludzi dotkniętych w swych ukrytych kompleksach.

POPRAWKI DO OBRAZU KRAJU

Podczas kilkunastu lat nieobecności i braku żywego kontaktu z krajem wytworzyłem sobie jego mniej lub więcej fantastyczny obraz, zlepiiony z wspomnień i przypadkowych fragmentów późniejszych wiadomości. Widząc z okazji odprężenia kilku dawnych znajomych z kraju, spostrzegłem że zrozumienie ich słów — nawet gdy mówią o sprawach czysto prywatnych i losach wspólnych znajomych — wymaga wprowadzenia do tego obrazu paru poprawek.

Jedną z najważniejszych dotyczy kompleksu pojęć związanych z tzw. budowaniem własnego więzienia. Przywykliśmy mianowicie myśleć, że pod rządami dyktatorów inicjatywa i praca ludności kierowana jest do wykonania pomysłów mających utrwalić samą dyktaturę. Sabotaż, niewykonywanie planów, bu-

melanctwo i inne nieznane dawniej sposoby uchylania się od pracy, wymieniane nieustannie w prasie i dyskursach oficjalnych, stwarzały wrażenie, że poważna część ludności opiera się w ten sposób przymusowi budowania własnego więzienia.

Rzeczywistość jest na pewno zbyt złożona, aby zmieścić się w tak uproszczonej przenośni. Trudno np. zmieścić w niej odbudowę zburzonych miast, która od razu zajęła tak wielkie miejsce w wyobraźni obywateli. Nie da się w niej zmieścić również rozbudowa przemysłu, będąca w znacznej mierze dalszym ciągiem ambicji dwudziestolecia. Frazeologia oficjalna zaciemnia oczywiście tę sprawę.

Mam wrażenie, że dla większości obywateli budowa komunistycznej wieży Babel przedstawia się w sposób nierównie prostszy. Nowy podział świata i włączenie Polski do bloku wschodniego zakreśliły działalności Polaków pewne granice. W tych granicach naród zdobył się na ogromny wysiłek odbudowy i zagospodarowania kraju. Ci którzy w tym brali udział, zwolennicy czy przeciwnicy reżymu, nie patrzą zapewne na wyniki tego wysiłku jako na dzieło „okupantów” ale jako na własny dorobek narodu. Gdyby obecny reżym znikł z oblicza ziemi, odbudowane miasta i nowe zakłady przemysłowe uchodziłyby za to czego naród dokonał pomimo okupacji komunistycznej. Przypuszczam, że na miejscu istnieją różne subtelne i niewidzialne z daleka granice, dzielące to co jest częścią komunistycznej wieży Babel od tego co jest uważane za trwałe dorobek narodu.

Warto jest także wziąć pod uwagę pewną dodatkową wartość pracy w warunkach dyktatury. Niemiecki socjolog Walter Jajde zwrócił przed kilku laty uwagę na to, że *das deutsche Arbeitswunder* jest w pewnej mierze zjawiskiem kompensacyjnym. Nie znajdując większego zadowolenia w tym czym jest, Niemiec dzisiejszy szuka satysfakcji w tym co potrafi zrobić. Pewna wartość kompensacyjna nie jest zapewne obca i polskiemu „wysciigowi pracy” w obecnych warunkach.

Wyobrażałem sobie dotąd, że istnieje w kraju wyraźna linia dzieląca komunistów od reszty ludności. Mam dziś wrażenie, że długa droga przebyta w ciągu dziesięciolecia przez jednych i drugich, wspólna obawa przed więzieniem, a ostatnio i wspólne dążenia do „odwilży” i poszerzania luzów musiały zatrzeć tę granicę, stwarzając na jej miejsce nowe, niewidoczne z daleka linie podziału.

L'IMPRODUCTIVITÉ SLAVE

Zarówno uczestnicy dzisiejszych pielgrzymek do Moskwy jak i podróżnicy dawniejsi notują w swych wspomnieniach, że środek Rosji robi wrażenie pustynne i mało zagospodarowane, jak gdyby zamieszkała tam ludność nie zdradziła dotąd większej energii w dążeniu do poprawy warunków życia.

Niedawno widziałem u antykwariusza zbiór sztychów, jakie szwajcarski pejzażysta Lory wywiózł z Rosji w końcu XVIII wieku. Poznałem na nich te same *usad'by*, zaniedbane parki i jałowe pola, które widziałem w młodości, w 40 lat po uwłaszczeniu włościan. Zjawiska te mają więc pewną stałość i ciągłość.

W ciągu kilku wieków ludność tych równin żyła w warunkach pańszczyźnianych, które i na polskiej wsi zostawiły swe smutne, jakkolwiek mniej widoczne ślady. Z opowiadań dziadka, który widział te czasy, zapamiętałem, że chłopci pańszczyźniani, przygębieni ciężkimi warunkami życia, nie wyszywali koszul i nie malowali garnków.

Ta sama niemoc zniechęcenia porażała także właścicieli dusz pańszczyźnianych i innych ludzi wolnych. Samowola władzy, rezygnacja ludu i niezmierzoność równiny sprawiały, że wszelki wysiłek wydawał się daremny, bezpłodny. *Nie stoit*, mówili, nie warto. Tej postawie ludności przypisywano takie zjawiska jak *oskudnienie centra*, zubożenie środkowej Rosji. Wielu sądziło, że przebudzenie ludności z wschodniego snu wymagało przede wszystkim nadania Rosji konstytucji. Zachód nie rozumiał wewnętrznych powiązań tych zjawisk i przypisywał je tzw. *improductivité slave*.

Ustrój sowiecki sprzyja zapewne w nie mniejszym stopniu rezygnacji i bierności. Nie brak doświadczonych podróżników, którzy tej postawie ludności przypisują w pierwszym rzędzie mierne wyniki planów pięcioletnich. Kosztem wielkich wysiłków rozwinęły się pewne gałęzie przemysłu, lecz nie zmienił się pustynny wygląd bezbrzeżnej równiny.

Zniechęcenie i szukanie dróg najmniejszego oporu mają i u nas pewne tradycje. W czasach np. polskich *chevaliers de la désœuvrance* czyli tzw. bałagulów, po powstaniu 1831, młodzież kresowa, wobec daremności oporu i beznadziejności wysiłków, zajmowała się płataniem psich figlów i grą w karty. Społeczeństwo opisane w połowie XIX wieku przez Augusta Wilkońskiego przedstawia obraz podobny pod wielu względami do ówczesnych wzorów rosyjskich. Beztróski humor autora nie powinien nas mylić. Polskie zdolności do zabawy, o których pisał niegdyś Leon Chwistek, są być może też ubocznym produktem długich okresów zniechęcenia. Dopiero okres pozytywizmu i pracy organicznej położył koniec temu romantyzmowi bezczynności.

Dzisiejsi bumelanci i chuligani, na których skarży się prasa warszawska, są wulgarniejszymi potomkami bałagulów, produktem podobnych warunków. Skłonny z temperamentu do bumelanctwa, rozumiem dobrze tę postawę; znam jej argumentację od czasów greckich do *In Praise of Idleness* Bertranda Russell'a; pamiętam jej sławne wzory od Diogenesa z Synopu, toczącego z hukiem swą beczkę ulicami obłożonego Koryntu, „aby wśród tylu trudów wojennych nie pomawiano go o bezczynność”; oceniam romantyczny wdzięk młodego próżniaka, który rozdając karty podnosi pospolitą rozrywkę do rangi gestu wyzwalającego z urzędowych przesądów. Mimo to, nawet na mój

osobisty użytek, nie uważam tej postawy za obowiązującą ani całkowicie uzasadnioną; tym mniej mógłbym zalecać je innym.

Taktyka absentyzmu, przeczekiwania, uchylania się od udziału w budowie komunistycznej wieży Babel, pojęta jako wyraz opozycji politycznej, zdaje się być jednym z ważniejszych w kraju zagadnień. *L'improductivité slave* było dotąd w Polsce, obok obżarstwa i pijaństwa, tylko jedną z przyswar narodowych. Po raz pierwszy okoliczności otoczyły ją romantyczną glorią i podniosły do rangi taktyki politycznej, mogącej pociągnąć za sobą część społeczeństwa. Jak Polska będzie wyglądała za lat 20 zależy od ustosunkowania się społeczeństwa od tego zagadnienia.

Emigranci, nawet gdyby wszyscy zgłosili się do pracy w kraju, nie będą mieli na to wpływu. Stojącym na stronie brak wielu danych, niezbędnych do jasnego rozpoznania tej sprawy. Nie poruszałbym jej też wcale, gdyby nie uderzyła mnie skłonność emigrantów do zbytniego upraszczania zagadnienia. Dla wszystkich tych, którzy nie widzą w Polsce żadnego czynnika społecznego, według których wszystko co się tam dzieje — od Nowej Huty do budowy mostu na Śwędze — jest dziełem opiekuńczego rządu, służącym jego własnym i Moskwy celom, sprawa jest jasna: uchylanie się od pracy jest godną polecenia formą bohaterstwa narodowego, za którą kiedyś rozdawane będą medale nieprodukcyjnej zasługi. Symplicjusz Rzeszotko miał zawsze godną zazdrości zdolność upraszczania spraw. Trudno mi jednak uwierzyć, aby najzagorzalsi nawet wrogowie reżymu w kraju mogli bez zastrzeżeń zgodzić się na takie uproszczenie: jeżeli nie dla innych względów, to chociażby dlatego, że — jako opozycjoniści — nie mogą się przecież sami uważać za marionetki w rękach rządowych. Uznanie uchylania się od pracy za godną polecenia formę opozycji o rozszerzenie się w konsekwencji *improductivité slave* na Polskę ułatwiłoby na pewno światu zachodniemu „pokoju konkurencję” z blokiem wschodnim, ale ten aspekt sprawy zapewne nikogo w kraju nie obchodzi.

W zakończeniu chciałbym wspomnieć rozmowę z austriackim lekarzem, który niedawno był w Egipcie. Przywiózł stamtąd kilkadziesiąt własnych fotografii piramid, sfinksów, grobowców, fresków i, opowiadając mi swe wrażenia archeologiczne, dodał: „Jedną z najciekawszych rzeczy jaką widziałem w Egipcie była polska wystawa przemysłowa”.

CZNNIK SPOŁECZNY

Czy w demokracjach ludowych istnieje jakiś czynnik społeczny? Z rozmówcami zaprzeczającymi jego istnieniu trudno się spierać nie wpadając w ton dialogów z *Poskromiania słonicy*. Gdy się im powie: „X reprezentuje czynnik społeczny”, odpowiedzą: „Nie, X jest marionetką w rękach U.B.”. Spróbujmy więc rozpatrzyć to bliżej.

Dyktator, po zajęciu kraju i wytypowaniu podstępem i przymocą domniemanych przeciwników, w nagrodę za co został uznany *de jure* przez wszystkie mocarstwa Zachodu, jest dla swych poddanych groźną potęgą. Może ich wieszać i rozstrzeliwać według swego uznania, w piwnicach i na świeżym powietrzu, dowodząc tym światu efektywnego posiadania władzy. Jeżeli jednak prócz deptania i zabijania posiada także inne ambicje, musi się hamować i nawet wchodzić w układy. Jeżeli chce smacznie jeść, musi uważać, aby nieprzezornie nie wystrzelać wszystkich kucharzy. Jeżeli chce wojować, musi powstrzymać się od wywieszania wszystkich generałów i musi im nawet płacić generalskie pobory. Hitler chciał też mieć swoją bombę atomową, ale wypędziwszy niebacznie fizyków musiał się kontentować mniej wymyślnymi rodzajami broni. Ani policja mundurowa, ani nawet tajna nie potrafią same zbudować więzienia, muszą w tym celu wołać murarzy, cieśli i instalatorów.

W najpierwotniejszej formie, wszyscy ci kucharze i murarze stanowią potencjalny czynnik społeczny, mający swe własne cele, zaczynając od poprawy wikt, którą dyktatorzy z reguły mało się interesują.

Czynnika społecznego nie brak więc pod rządami dyktatorialnymi. Rzecz w tym jak daleko sięga jego znaczenie, ile potrafi dla siebie wytargować w kompromisach z władzą. Zależnie od przedmiotu kompromisu, pozycja jego jest silniejsza lub słabsza. Już na pierwszy rzut oka widać jednak, że wielkie poczynania dyktatur udają się tylko w tej mierze, w jakiej zyskują pewną aprobatę społeczeństwa. Kolektywizacja rolnictwa np. nigdy takiej aprobaty nie posiadała i, ani w Rosji ani w demokracjach ludowych, nie dała oczekiwanych wyników. Znacznie lepsze wyniki osiągnięto w dziedzinie uprzemysłowienia, które już od trzech pokoleń było wielką ambicją wszystkich ludów Europy Wschodniej. Te same zjawiska obserwować można w dziedzinie tzw. życia kulturalnego.

Nawet niemy, pozbawiony głosu, czynnik społeczny nie może być i nie jest bynajmniej lekceważony przez dyktatury. Same rozmiary propagandy wewnętrznej rządów dyktatorialnych, dążącej niejako do obejścia pozycji czynników społecznych, są tego wyraźnym dowodem. Niesłusznie więc byłoby niedocenywanie go na emigracji.

Wysuwanie czynnika społecznego w stosunkach z obcymi ma już ustaloną tradycję od czasów wielkiego głodu w Rosji, który zmusił władców Kremla do szukania pomocy zagranicą. Kilku osobom udało się z tej okazji wyjechać na emigrację. Dodać wypada, że w ostatnich latach blok wschodni coraz rzadziej odczuwa potrzebę uciekania się do tych środków. Wszystkie np. delikatne operacje odnoszące się do „odprężenia” ostatnich miesięcy obyły się całkowicie bez wysuwania czynnika społecznego.

Z KIM MOGĄ ROZMAWIAĆ EMIGRANCI

Nikt nie zaprzeczy, że emigrantom — chociażby dla ich nauki, jeżeli nie chcemy mówić o innych motywach — konieczny jest kontakt z krajem. Bez tego kontaktu staliby się w krótkim czasie nie tyle emigrantami ile cudzoziemcami i nawet w gronie rodaków na obczyźnie byłiby jak gogolowski *inostraniec Wasilij Fieodorow*. Poczytność książek i czasopism krajowych wśród emigrantów jest najlepszym dowodem tej potrzeby, mimo że ostatecznie przeczytać w nich można tylko to, o czym prześwietny rząd pozwala pisać. Gorzej przedstawia się sprawa kontaktów z żywymi ludźmi, ograniczonego dotąd do przypadkowych spotkań z osobami podróżującymi w sprawach urzędowych lub niezmiernie rzadkimi przyjezdnymi podróżującymi w sprawach własnych. Pojawienie się jakiegoś mniej lub więcej autentycznego czynnika społecznego mogłoby rozszerzyć nieco ramy tych kontaktów. Możliwość ta zasługuje tym bardziej na uwagę, że propaganda rządowa za powrotem emigrantów nie ułatwia wcale spotkań z osobami posiadającymi jakiś charakter oficjalny.

Jeden z moich znajomych, przeczytawszy w *Le Monde* notatkę o zaproszeniu sygnatariuszy znanej odezwy przez redakcję *Kultury*, powiedział:

— Bądźcie ostrożni. Jeżeli wdacie się w rozmowy z rządem warszawskim, ten ostatni może wam np. odpowiedzieć: ponieważ bolejecie tak nad losem uwięzionych, damy wam możliwość ulżenia ich losowi. Za każdego mianowicie emigranta który wróci zwolnimy jednego więźnia. Jak wówczas będziecie wyglądać?

Zauważyłem na to, że rząd może w każdej chwili wysunąć taką propozycję, nie oglądając się na redakcję *Kultury*.

— Nie jest jednak obojętne do kogo i w jakich okolicznościach rząd się zwraca. Inna rzecz kiedy zwraca się publicznie do wszystkich, inna kiedy odpowiada grupie emigrantów, którzy sami zgłosili się do rozmowy. Potem trudno by wam było apelować do opinii publicznej Zachodu. Dziś zresztą każdy jest rad, gdy może nie zabierać głosu w takich sprawach.

Przytaczam tę rozmowę z myślą o czytelnikach, którzy mieliby złudzenia co do możliwości rozmów — w sensie układania się — między emigrantami i władzami warszawskimi.

Wydaje mi się, że takich możliwości w ogóle nie ma, i że wynika to z samej natury władzy dyktatorialnej. Rząd dyktatorialny może powziąć i odwołać każdą decyzję, może aresztować i zwolnić każdego, może więc i wszystko proponować. Mówi — według popularnego w Warszawie zwrotu — z pozycji siły, zachowując całkowitą swobodę działania. Rząd dyktatorialny nie może jednak wszystkiego. Nie może mianowicie wyrzec się ani na chwilę swej swobody działania. Wolny od odpowiedzialności w stosunku do podwładnych, jest z kolei więźniem

praw natury rządzących zjawiskami władzy i wymagających odeń decyzji pilnych, bezwzględnych, brutalnych. Dlatego nie może wchodzić w żadne układy, ofiarowywać żadnych gwarancji. *Contro la forza la ragion non vale*, mówi włoskie przysłowie. W grze siły nie skrepowanej żadnymi konwencjami słowa nie znaczą nic, nie ma więc też żadnych rozmów.

Z samej natury swej władzy rząd nie może wchodzić z emigrantami w rozmowy i może im ofiarować tylko powrót na warunkach kapitulacji na łaskę i niełaskę. To jest zresztą w odezwie 48-miu wyraźnie powiedziane: „wspaniałomysłność narodu” jest jedyną gwarancją dla powracających.

Sygnatariusze odezwy nie mogliby nam nic innego na ten temat powiedzieć, bo ich własna sytuacja jest taka sama.

KRYTYKA „KULTURY” NA EMIGRACJI

Zaproszenie skierowane przez redakcję *Kultury* do 48-miu sygnatariuszy znanej odezwy wywołało w prasie emigracyjnej sprzeciwy i protesty przypominające chwilami walkę Don Kichota z wiatrakami. Odpowiadanie na te filipiki, o ile wymagają odpowiedzi, należy do redakcji *Kultury*. Patrzącego ze strony i nie czującego urazy uderzają w nich przede wszystkim przejawy emigracyjnej *déformation professionnelle*, wyolbrzymienie potęgi słów, myśli i intencji emigrantów, jak gdyby od tego zależał los kraju i świata. Niektórzy publicyści zbliżają się pod tym względem do szalonego króla bawarskiego, który wyjeżdżając z swej rezydencji omijał miasto w obawie, że jego wzrok, padając na jednego z poddanych, mógłby go zabić.

„Rzykancki pomysł” mówi o zaproszeniu *Orzeł Biały* z 19 listopada, wyrażając obawę, że zaproszeni mogliby naprawdę przyjechać w ramach akcji „mającej na celu zasianie fermentu na emigracji i spowodowania jej rozkładu”. Następnie szanowny autor nie bez pewnej słuszności pisze: „Zalóżmy jednak, że przyjadą wszyscy, to czego właściwie *Kultura* oczekuje od rozmów z ludźmi, którzy nawet gdyby byli „szanowanymi” ze względu na dawne zasługi, na pewno „niezależnymi” nie są? Co dadzą te „szczere” rozmowy z biednymi „sygnatariuszami”, którym możemy tylko współczuć?... Czy mogą oni choć o jeden krok cofnąć władanie Rosji nad Polską?”

Szanowny publicysta *Orla Białego* zdaje się stawiać rozmowom z 48-miu tak wysokie zadania, że będzie rozczarowany, jeżeli nie wyrwą Polski z zony wpływów rosyjskich. Nie dokonała tego zimna wojna, sądząc z biegu spraw koreańskich nie można być pewnym czy dokonałaby tego wojna gorąca, można więc z dużym prawdopodobieństwem przewidywać, że nie potrafi tego dokonać i sam redaktor *Kultury* z 48-miu rozmówcami, jakkolwiek nie brak mu zapewne takich ambicji. Z tekstu jego zaproszenia można wnosić, że — odkładając wielkie plany na inną okazję — pragnąłby tymczasem wykorzystać chwilowe

odprężenie, aby porozmawiać z kilku rodakami z kraju, którzy dotąd nie jeździli zagranicę. Jest to istotnie niewiele, ale czy postąpiłby słuszniej oświadczając wzorem chodzi Nasreddina, że nie schyli się dla podniesienia z ziemi 99 złotych funtów, bo trzeba mu właśnie stu?

Zamaszyste wystąpienia paru pism mogą tymczasem oddać redakcji *Kultury* nieocenioną usługę. Do tych wystąpień mianowicie, szanse przyjazdu 48-miu wydawały się nikłe, odtąd jednak wyraźnie się poprawiły. Jak można się domyślać, rozbitcie wewnętrzne emigracji leży w intencjach pewnych czynników warszawskich. Dotąd nie było wprawdzie znanych, aby propaganda powrotu przyczyniła się w jakiś widoczny sposób do tego co *Orzeł Biały* nazywa „fermentowaniem i rozkładem emigracji”. Jeżeli jednak domysły nasze co do intencji pewnych czynników warszawskich były słuszne, podobne wystąpienia musiały dostarczyć tym czynnikom pewnego zadowolenia.

— Dobra nasza! Propagandzie naszej udało się wreszcie zrobić pierwszy wyłom. Emigranci wymyślają już sobie od „wrogów sprawy polskiej”. Rozszerzajmy teraz ten wyłom, chociażby za cenę wysłania 48-miu zagranicę.

Jeżeli zaproszeni istotnie będą mogli przyjechać, będzie to zapewne w dużej mierze zasługą naszych przeciwników i redaktor *Kultury* nie omieszka, jak przypuszczam, tej niespodzianej pomocy z wdzięcznością pokwitować.

MIŁOSZ I HOSTOWIEC W RADIU „KRAJ”

Odbiorowi rozgłośni warszawskiej *Kraj* nikt wprawdzie w Europie Zachodniej nie przeszkadza, ale audycji jej po prostu nie słychać. W uzupełnieniu ich rozgłoszenia wydaje biuletyn rozsyłany zagranicą, lecz ani ja ani redakcja *Kultury* nie otrzymujemy go. Dowiaduję się jednak pośrednio, że moje artykuły przytaczane były w audycjach rozgłośni, ostatnio zaś otrzymałem od znajomych tekst felietonu będącego częścią audycji z 15 listopada. Felieton ten w tonie polemicznym przeciwstawia moje wrażenia z rozmów z przyjezdnymi *Zniewolonemu umysłowi* Czesława Miłosza. Przeciwstawienie to ma ten sens, że niby to ja daję świadectwo prawdzie, którą Miłosz złośliwie przeinacza.

Rzecz sama przez się nie zasługuje zapewne na uwagę. Wszedłszy na drogę polemiki z emigracją, rozgłoszenia *Kraj* nie czeka zapewne odpowiedzi, bo — jeżeli dialog między krajem i emigracją nie jest możliwy — jaki sens miałyby wymiana sprostowań i inwektyw? Przedtem już jednak słyszałem od przyjezdnym, że nie widują się z Miłoszem, jakkolwiek nikt nie umiał mi objaśnić przyczyn tego ostracyzmu. Wzmiankowany felieton jest więc być może częścią jakiejś większej całości. Jeżeli mój domysł jest słuszny, próba przeciwstawiania mnie Miłoszowi wymaga z mojej strony wyjaśnienia.

Nie jest łatwo przeciwstawić mnie Miłoszowi gdy chodzi o sprawy krajowe, piszemy bowiem o różnych rzeczach, lecz gdybyśmy istotnie nawet rozeszli się w zdaniach, rację będzie miał Miłosz, który wyjechał z kraju w dziesięć lat po mnie.

Niezależnie od tych względów rzeczowych nie chciałbym w ogóle rozchodzić się w zdaniach czy w inny sposób oddać się od Miłosza. Towarzyszyłem mu myślą, kiedy był jeszcze w kraju, jakże bym miał oddać się odeń, gdy został emigrantem? Miłosz jest największym talentem swego pokolenia. Jego *Traktat moralny* jest moim zdaniem najwybitniejszym utworem napisanym po polsku od 1945, i gdyby felietonista rozgłośni miał więcej zmysłu propagandowego, wyzyskałby zapewne okoliczność, że utwór ten po raz pierwszy był drukowany w kraju. Twórczość Miłosza będzie miała swe miejsce w historii literatury, do której ja sam trafię chyba tylko jako towarzysz jego na emigracji.

Swą rangę w literaturze Czesław Miłosz zawdzięcza nie tylko talentowi, ale także swej postawie pisarza niezależnego. Jemu zawdzięczamy, że w czasach literatury kierowanej najwybitniejszy talent uchylał się od kompromisów, i że w ten sposób prawa pisarza nie pójda w zapomnienie i nie zostaną przedawnione.

Fakt ten może nie podobać się tym, którzy chcieliby podporządkować sobie literaturę i znieść raz na zawsze jej tytuły do odrębnego powołania. Dla pisarzy emigracyjnych jest to jednak sprawa zasadnicza. Miłosza nie odstąpimy za żadną cenę. Nasi rozmówcy nie znajdą nam nic do ofiarowania, co warte byłoby posiadania wśród nas Czesława Miłosza.

Paweł HOSTOWIEC

Grudzień, 1955.

Już się ukazał pierwszy numer

WIADOMOŚCI PSYCHOLOGICZNYCH

Numer zawiera: Wstęp od wydawnictwa; Dra L.J. Zajaca: „Wrażenia z podróży do Ameryki”; Komunikat redakcyjny; Materiały do bibliografii polskiej psychologii na obczyźnie; Wiadomości psychologiczne z kraju. — Cena numeru wynosi 2 sh. 8 d.

Adres Redakcji:

J. Horzelski, Regents Park College, Oxford, England.

Już się ukazał, dawno oczekiwany album pieśni polskich w opracowaniu ADAMA HARASOWSKIEGO, znanego kompozytora i dyrygenta chórów przedwojennych oraz Chóru Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii pod tytułem:

ZŁOTA KSIĘGA PIEŚNI POLSKIEJ

Album ten obejmuje 150 najbardziej znanych i ulubionych pieśni patriotycznych, religijnych, ludowych, żołnierskich i sentymentalnych z różnych stron Polski i z różnych epok, z czego 130 pieśni na fortepian do śpiewu i 20 pieśni na chóry męskie. Wszystkie pieśni podane są również z tłumaczeniami angielskimi.

ZŁOTA KSIĘGA PIEŚNI POLSKIEJ wydana jest w artystycznej szacie zewnętrznej, w formacie 28 cm. x 22 cm., z wielu zdobnikami i rysunkami w tekście, w ozdobnej oprawie płóciennej z tłoczeniami i wielobarwną obwolutą graficzną.

ZŁOTA KSIĘGA PIEŚNI POLSKIEJ jest wydawnictwem o nieprzemijającej wartości. Dla wszystkich polskich szkół, bibliotek, chórów, organizacji i stowarzyszeń album ten jest wprost nieodzownym, jako nieprzebrany zbiór materiałów do urządzania rocznic, obchodów itp.

Cena franków 2.275. Zagranicą dolarów 6.50.

Zamówienia prosimy kierować na adres:

" LIBELLA "

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telefon: DANton 51-09.

Metro: Sully-Morland.

Autobusy Nr: 86 i 67.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga, Austrii oraz na terenie Francji, książki wysyłamy za zaliczeniem pocztowym, płatne przy odbiorze. Do innych państw tylko po uprzednim otrzymaniu należności, za pośrednictwem poczty „international money order” lub czekiem na jakikolwiek bank wystawionym na „LIBELLA”.

Niemiecki kompleks

W Rzymie roku 1946 jadałem często w małej restauracji „Remo”, położonej w ciasnej uliczce pod wzgórzem Kwirynału. Właścicielką była tak zwana wówczas „dobra” Niemka, wdowa po „dobrym” Włochu, czyli antyfaszyscie rozstrzelanym w znanej, a zdaje się jedynej, masakrze dokonanej przez SS w Rzymie w odwet za zamach (bodaj na Piazza Barberini) na oddział niemiecki. Wdowa kochała swego śp. męża i nienawidziła oczywiście nazistów i faszystów, wielką, kobiecą nienawiścią. Stąd może, wskutek skojarzeń politycznych, zbierała się w restauracyjce klientela specjalna. Mianowicie Żydzi, którym udało się uciec śmierci w europejskiej fortecy Hitlera. Bawili się wesoło i hałaśliwie, z odcieniem nerwowego podniecenia, jak ludzie wypuszczeni nagle z celi skazańca. Przygrywał na fortepianie taper bardzo typowy: Żyd z Wiednia. Grał każdą rzecz, której się odeń żądało, a potem miał zwyczaj przysiąść się do stolika na wino; teczkę z nutami ustawiał koło nogi krzesła.

„Ma pan ładną teczkę — zagadnął kiedyś jeden z biesiadników, dotykając skóry”. — Taper z wyraźną dumą opowiedział jej pochodzenie: Żołnierze sowieccy w Niemczech wpadli do mieszkania pewnego dentysty i między innymi zdarli doskonale skórę, którą obity był dziecinny, drogi koń na biegunach. Nasz taper był tam jakoś obecny i powiedział: „Na co to wam? Dajcie mnie”. Darowali wspaniałomyślnie i z tego zrobił sobie później teczkę. — Czy przy tej operacji zdzierania skóry z konia na biegunach, obecny był jego właściciel, synek dentysty i czy płakał może? — oto nikt przy stoliku nie zapytał. Zresztą takie pytanie nie byłoby stosowne, a kto wie, na ówczesne czasy może nawet niebezpieczne, w obliczu morza krwi i łez, które wylali Żydzi w drugiej wojnie światowej.

Pytanie to nasunęło mi się dopiero po wielu latach w zupełnie innym kontekście... W podróży po Niemczech mieszkam przelotnie u pewnej wdowy. Miała męża i dwóch synów. Mąż jej zginął na froncie we Francji jeszcze w roku 1940. Je-

den z synów na Krymie, drugi w Afryce u Rommla. Nie czyta teraz gazet, nie słucha radia. Nie ją nie obchodzi. Ożywia się tylko, gdy zacznie mówić o mężu i synach. Wtedy może opowiadać długo: o ich słowach, o spojrzeniach, o ich planach na przyszłość, o potrawach które lubili, o sposobie mieszania łyżeczką w kawie... Mieszka w jednym pokoju wytapetowanym fotografiami swych dzieci, gdy były małe, starsze i zupełnie dorosłe, i gdy ostatnio nosiły mundury. Słowem zachowuje się tak, jak często zachowują się tak zwane zrozpaczone matki na całym Bożym świecie: mijają czasy, a ona żyje tylko tym, który był dziesięć i więcej lat temu.

Jakoś w rozmowie wspomniałem o tym moim mieszkaniu pewnemu rodakowi i w dyskusji, która się mimowoli wywiązała, poglądy jego dałyby się streścić w następującym schemacie: Wdowa winna była za czasów hitlerowskich wpłynąć na męża i syna, ażeby wymówili posłuszeństwo i raczej dali się rozstrzelać przez Gestapo, niżli iść na wojnę. A skoro tego nie potrafiła dokonać, to dziś, gdy zginęli, nie ma prawa płakać i lamentować, a wręcz przeciwnie powinna oświadczyć: „Dobrze im tak, moim synom, że zostali zabici, bo gdy uprzytomnię sobie te straszne krzywdy wyrządzone Polakom i Żydom...” Logicznie wynikałoby z tego, że i siedmioletni synek dentysty, jeżeli wrzeszczał na widok obdzieranego ze skóry swego konia na biegunach, nie mógł mieć oczywiście racji. A raczej winien był podejść grzecznie do tapera i powiedzieć: „Cieszę się, że to się panu na coś przyda, po tych wszystkich nieszczęściach, które spadły na moich rówieśników żydowskich, których pozabawiano nie tylko zabawek, ale samych obdzierano ze skóry”. — Jest to niewątpliwie schemat trochę anegdotyczny. Ale przyznać muszę, iż niezbyt daleko odbiega od poglądów nie tylko owego rodaka, o którym wspominałem, ale wcale szerokiej rzeszy rodaków.

Stojąc na ich stanowisku, musielibyśmy dojść do przeświadczenia, że każdy Niemiec w swych czynach, uczuciach i odruchach posługiwać się winien nie refleksjami normalnego człowieka, a pobudkami wyższego rzędu, jakowegoś „człowieka politycznego”. Czyli rozciągać polityczną skruchę nie tylko za czyny własne, ale nawet za tolerancję wobec czynów współziomków, na całe swoje i swojej rodziny życie prywatne, bez określenia terminu ani pokolenia do jakiego owe wyrzeczenie się ludzkich instynktów miałooby trwać.

Tego rodzaju, nazwijmy go: postulat, jest oczywiście nierealny. Ale świadomie nierealny, aby uniemożliwić stosowanie obiektywnego kryterium w stosunku do tej grupy ludzi, którą uważa się za wrogów. Będzie jednak tylko pozornym paradoksem gdy powiem, że stanowisko to wydaje mi się raczej konsekwentne, a nawet logiczne. Kto bowiem wychodzi z założeń koncepcji wiszącego nad nim politycznego zagrożenia ze strony Niemiec, popada naturalnym biegiem rzeczy w stan potencjalnej samoobrony. A wiemy, że w wypadkach obrony koniecznej

nie prawi się przed frontem żołnierzy komunalów, iż przeciwnik jest też człowiekiem zrodzonym z niewiasty, tylko przeciwnie: zgęszcza możliwie nieprzychylnie barwy. Nie prawi się o miłości bliźniego i rzucaniu chlebem. Nie ma oczywiście miejsca na obiektywizm. W podnieceniu wojny strony posługują się nie obiektywizmem, tylko — propagandą.

Osobiście nie zaliczam się do grupy Polaków reprezentującej ową tezę polityczną, ale zdaje sobie sprawę z konsekwencji jej stanowiska. Nb. podmurowanego moralną spuścizną, oraz jakże słusznym żalem za lata okupacji i zbrodni.



Natomiast wynosząc sprawę poza krąg politycznych werbli, w płaszczyznę innego poziomu, powiedzmy: wyższej kategorii... W dziedzinę literatury na przykład, dziedzinę nie propagandy a nauki, słowem ideałów humanizmu, który bardziej interesuje się człowiekiem niżli jego narodowością, wydaje mi się, że dostrzegam rysy wyraźnej nieraz niekonsekwencji: Jesteśmy przeciwnikami odpowiedzialności zbiorowej; jesteśmy przeciwnikami masowych deportacji; jesteśmy przeciwnikami terenowego rozszerzania się ustrojów totalitarnych; jesteśmy największymi przeciwnikami mordów i gwałtów, ale — nie mówimy o nich, przynajmniej nazbyt głośno, w pewnych okolicznościach... W takich mianowicie, w których głośno je potępiać, czy zgół protestować, jest dla pewnych względów — nie na rękę... Odwracając sytuację, jest to postępowanie nieco zbliżone do tego, o które właśnie oskarża się ogół Niemców, że mianowicie nie wiedzieli, czy też raczej nie chcieli nic wiedzieć na przykład o tym co się działo w obozach koncentracyjnych. Jeżeli jednak w stosunku do siebie zdobyć się możemy na wytłumaczenie owego przymknięcia oka, co zresztą łatwo jest usprawiedliwić niedoskonałością natury ludzkiej, to dlaczego mamy właśnie od Niemców tej doskonałości wymagać? Powie może ktoś w tym miejscu: Co za zestawienie! Przecież to Niemcy wobec nas, ale my wobec Niemców, nie dopuściliśmy się żadnych zbrodni! Słusznie. Tym łatwiej powinno by nam przyjść potępienie czynów, których dopuścił się w stosunku do nich — ktoś inny...

Jest rzeczą charakterystyczną, że wiele osób, najbardziej właśnie wrogo względem Niemców usposobionych, nie zdaje sobie zupełnie sprawy do jakiego stopnia w różnorodnych formach wyrażenia tej niechęci, wbrew swej woli, kreuje ich na „nad-ludzi”. Pamiętam jeden z pierwszych filmów powojennej produkcji niemieckiej: „Zbrodniarz jest wśród nas”. Była tam scena gdy „zły” Niemiec (wojskowy) wydaje na śmierć Żydów, a „dobry” Niemiec (też wojskowy) żyzyma się, cierpi wewnętrznie, walczy ze sobą, aż wreszcie porywa za pistolet... „A jednak nie wystrzelił w końcu z tego pistoletu!...”, napisała ze złośliwym triumfem pewna polska pisarka o tym filmie.

Istotnie, zakończenie było inne. Film był kiczem i dodajmy, że żadne rozwiązanie nie zbliżyłoby go do prawdy życiowej. Ale ta uwaga polskiej pisarki nasunęła mi odruchowo refleksje z własnej, młodzieńczej jeszcze przeszłości wojennej:

Był „wśród nas” porucznik M. Człowiek szczerze sympatyczny i miły kompan. Już dawno po wojnie 1920, a porucznik M., mimo wysługi lat, nie awansuje nawet na rotmistrza. — Dlaczego, pytają. — Ach, no bo w personalnych papierach ma tam jakąś przykrą sprawę... — W restauracyjnej biesiadzie mówi się o niej: „Powiesił tam kilku niewinnych Żydków w Iwieńcu, czy Wołożynie... he-he-he!...” — Już tam nikt nie pamięta w jakimto, i czy w jednym tylko miasteczku było, ale zawsze z końcówym: he-he-he! Porucznik M. nie lubi tych śmieszków, nawet przy kieliszku, nie ze względu na powieszonych Żydków, ile na przypomnienie zwicniętej kariery i marszczy się. Raczej mu współczułem, bo był, powtarzam, człowiekiem naprawdę sympatycznym. Ale jednocześnie ośmielię się postawić pytanie: Ilu „niewinnych Żydków” powiesiłby porucznik M., gdyby to było rzeczą przez najwyższe władze zaleconą? Gdyby nie tylko nie było traktowane za wykroczenie, ale odznaczane orderem i awansem, zamiast ten awans hamować? I czy prócz niego, również wszystkich kompanów, którzy przy czystej-wyborowej kwitowali jego „sprawę” notorycznym: he-he-he! — łatwo wyróżnić jako ludzi „złych”?

Literatura postulowana, czy to w soc-realiźmie, czy pol-realiźmie wykazuje zazwyczaj tę wadliwą wspólną cechę, że im bardziej zbliża się do polityki tym większy rozbrat bierze z życiem. Literatura, czy krytyka literacka, jeżeli dla jakichś wyższych względów politycznych, uchyla się od konfrontacji z prawdą życia, nie powinna przynajmniej odbiegać od prawdopodobieństwa życia. Nasuwa mi się kolejne pytanie, jakże bym ja osobiście wyglądał w świetle krytycznych uwag pisarki polskiej o tym filmie? Byłem na tej samej wojnie co porucznik M. I oto (założmy) stoję w szeregu ułanów, gdy z wyższego rozkazu wieszają kogoś na sośnie, a ja co? Kopię konia ostrogami, wyjeżdżam przed front i protestuję? Albo zgola kieruję lufę pistoletu na mego dowódcę? Przede wszystkim miałoby to taki efekt, że całe towarzystwo rozdziawiłoby gęby w bezgranicznym zdumieniu, łącznie chyba z wieszanymi. Następnie zaś, jeżeliby mnie nie zastrzelono na miejscu, to zawdzięczając jedynie szczeremu przekonaniu, że — zwariowałem.



Podczas okupacji niemieckiej działy się straszne rzeczy. Mieśliśmy do czynienia z olbrzymią, zorganizowaną machiną terroru i okrucieństwa, która, jeżeli chodzi o Żydów, nie miała precedensu może nawet w historii. O tym każdy z nas wie na pamięć. Natomiast co wiemy o odwecie we wschodnich Niemczech? Zamiast odpowiedzi na to pytanie stwierdzę po prostu: to co

wymienię poniżej będzie pierwszą, *polską* publikacją na ten temat. A działy się rzeczy dokonane nie przez zorganizowaną, bezduszną machinę, a, niestety, rękami indywidualnego, ludzkiego rozbestwienia. Można się spierać, które z tych objawów było gorsze? Ale, jak na mój gust, decyzja w sporze nie wydaje się łatwą:

„W pewnej wsi — opisuje Thorwald — zamordowano chłopca niemieckiego i obcięto mu dla żartu głowę, gdy bronił swej żony, którą gwałciło 16-tu żołnierzy sowieckich po kolei; i to należało do porządku rzeczy. Dlaczego jednak przy okazji, na ścianie stodoły przybito gwoździami, głową w dół czternastoletniego chłopca, tego nikt nie wiedział...” — Kapelan amerykański, Francis Sampson, opowiada, że w Neubrandenburgu, zgwałcone dziewczęta niemieckie wieszano za nogi do rozstawionych gałęzi drzew i rozcinano w pachwinach... W Pradze Czeskiej Niemki rozbierano do naga i kazano im w tym stanie uprzętać gruz; jednocześnie otwierać szeroko usta, żeby każdy przechodzień mógł w nie splunąć; matki krępowano drutami kolczastymi i wrzucano do rzeki, zaś dzieci topiono w miejskich rezerwuarach wodnych, odpychając za pomocą długich żerdzi od krawędzi. Proboszcz Karol Seifert opowiada, że dnia 20 maja 1945 roku, stojąc na brzegu Elby widział: rzeką płynęła drewniana tratwa, do której długimi gwoździami przybita była za nogi i ręce, cała niemiecka rodzina z kilkorgiem dzieci... Były major sowiecki Klimow opisuje („Berlinskij Kreml”) jak w rowach przydrożnych leżały kobiety niemieckie, którym powbijano kolbami między nogi butelki od piwa...

Dosyć cytat. Nie chodzi o ich ilość. Profesor uniwersytetu fryburskiego, ks. Bocheński, przekonywuje nas od dłuższego czasu, że ilość nie zmienia się w jakość. Przytoczyłem te przykłady dla trzech względów: po pierwsze dla zilustrowania pewnej kategorii informacji, których szersza opinia polska bądź nie posiada wcale, bądź tylko pobieżnie. Po drugie, że „wśród nas” znalazł się kapłan katolicki, ks. Kantak, który na łamach londyńskich „Wiadomości” oceniał „odwet sowiecki” pozytywnie... Po trzecie, dla postawienia następującego pytania: czy po tym co przeszli ci ludzie, względnie ich najbliżsi, powiedzmy matka, której syna przybito gwoździami do stodoły, lub córkę rozcięto pomiędzy gałęziami drzewa, jest w stanie, czy nie jest uznać to za „słuszną karę Bożą” tylko dlatego, że jej rodacy dokonali zbrodni w innych krajach? Moim zdaniem, nie jest w stanie. Ani Niemka, ani żadna inna matka na świecie. Ze stanowiska politycznego łatwo jest, naturalnie, sprowadzić sprawę do: „kto pierwszy zaczął”... W buchalterii wojennej wpisać do zysków i strat... Tak samo jak z dialektyki typu bolszewickiego czerpać garściami argumenty. Ale odwołując się do wyobraźni piszących o życiu: jest-li możliwe, aby człowiek nad trupem bestialsko zamordowanej osoby sobie najbliższej, zdobywał się na rachunek polityczny i — opłakiwał obcych ludzi

zamordowanych w obcym kraju? Gdyby taki się znalazł, musiałby chyba być ze stali i należeć do — rasy „Uebermenschów”. A ja osobiście w rasę Uebermenschów szczerze nie wierzę.

◆

Każda, zbyt rygorystyczna, dyscyplina narzucona twórczości nieuchronnie prowadzi do wykrzywienia oblicza prawdy. Dotyczy to również dyscypliny patriotycznej. Skrzywienie naszej literatury na odcinku pamiętnikarsko-wojennym doprowadziło, mimowoli, do rezultatów odwrotnych od zamierzonych przez autorów, czyli do paradoksów. Tak więc przyjęta została forma, która identyfikowała machinę organizacyjną, państwo, rząd, partię NSDAP z — jednostką ludzką. W myśl tej formuły wszyscy Niemcy z okresu okupacji Polski, musieli być i byli — zli. Bardzo nieliczne wyjątki, potwierdzają tylko obowiązujący schemat. Spróbujmy teraz przeanalizować według tego schematu charakterystykę literacką pojedynczego Niemca, jako człowieka, w okresie okupacji Polski: Zły był ten, który w dobie powszechnego rozkradania okupacyjnego mienia, kradł na równi z okupowaną ludnością, gdyż przedstawiany jest jako: „złodziej”. Zły był ten, który w dobie powszechnej spekulacji, pośrednictwa, czarnego rynku i odsprzedaży, brał w tym udział na równi z okupowaną ludnością, gdyż wtedy jest: „łapownikiem”. Ale najgorszym był ten, który nie kradł i nie brał łapówek, ale wykonywał zarządzenia okupacyjnych władz przełożonych, bo wtedy był — „zbrodniarzem”. Gdybyśmy teraz z tego kolektywnego typu literackiego spróbowali wysupłać żywego człowieka, automatycznie narzuci się pytanie: co miał robić pojedynczy Niemiec, aby zasłużyć na miano „dobrego”? Odpowiedź musiałaby mniej więcej wypaść w ten sposób: w ogólnym dobrobycie czarnego rynku żyć życiem mnicha za swoje kartki żywnościowe; tolerować lub pomagać w spekulacji innym, jednocześnie odmawiając sobie wszelkich zysków; wreszcie nie wykonywać zarządzeń własnych władz przełożonych, ryzykując przez to głowę dla dobra bliźnich — Polaków. Przyznajmy, iż tego rodzaju postać literacka byłaby zupełnie nie-realna, sprzeczna z prawdą życia, a już tym bardziej z prawdą i prawami wojny. A wymagania podobne można by stawiać chyba tylko względem jakiegoś anioła-na-ziemi co oczywiście stałoby w jaskrawej sprzeczności z intencją autorów tej literatury.

Było bardzo dużo złych i okrutnych Niemców. Ale nie odpowiada i nie może odpowiadać prawdzie, żeby miliony żywych ludzi mogły być we wspólnej negatywnej cesze tak odstawiane jak ołowiani żołnierze odlani z jednej formy. Naturalnie tak też i nie było. Na potwierdzenie mógłbym przytoczyć bardzo wiele przykładów z własnego doświadczenia i doświadczenia innych w okresie okupacji. Nie będę ich wszelako przytaczał, nie ze względu na obawę „wyłamania się z dyscy-

pliny narodowej”, która to obawa hamuje wypowiedź wielu z moich rodaków, ale dlatego, że cytując te przykłady stawałbym na stanowisku, iż aby dowieść niesłuszności zasady gwałtownego szaltowania 70 milionów ludzi, trzeba się uciekać aż do przewodu dowodowego.

◆

Nigdy nie byłem tym co się nazywa „filoniemcem”. Wprawdzie uważałem i uważam, że polityczne zagrożenie niemieckie jest dla Polski znacznie mniej niebezpieczne niż zagrożenie bolszewickie, ale te polityczne przekonania nie odgrywają żadnej roli w niniejszych rozważaniach. Przyznam że podjąłbym je może z większą namietnością i większą ilością argumentów, gdyby np. cały naród rosyjski był pomawiany o winę i czyniony odpowiedzialnym za bolszewizm w takim stopniu, jak to czyni się cały naród niemiecki odpowiedzialny za hitleryzm. Od dziecka miałem wśród Rosjan przyjaciół. Z nimi chodziłem do szkoły, z nimi bawiłem się i czytałem indiańskie historie. Walcząc z bolszewikami woziłem w kaburze siodła klasyków literatury rosyjskiej i — raptem, na rozkaz z góry, miałbym we wszystkich rzucać kamieniem? Dlatego, że ex catēdra narodowego aeropagu zapadła uchwała, że to są wszystko potencjalni bolszewicy? Nonsens! Nie chcę i koniec. Ale tego buntu przeciwko postulatowi rodzimego kolektywu nie traktowałbym i w tym wypadku za objaw jakichś odmiennych sympatii. A raczej jako protest w obronie zdrowego rozsądku, do którego dążyć każdy człowiek, moim zdaniem, ma nie tylko prawo, ale i obowiązek.

Jestem z wykształcenia przyrodnikiem i rozumię w ten sposób: na co by zeszyły moje lata nauki i studiów, za co miałbym sobie filozofię Arystotelesa, książki Aleksandra Humboldta, dzieła Darwina i wszystkich wielkich biologów, genetyków i psychologów ostatnich czasów, gdybym na starość lat miał zostać wyznawcą politycznego rasizmu? Czy zgoda cofnąć się do światopoglądowego poziomu wstępnej gimnazjalnej, gdy ludzi i narody z taką łatwością dawało się dzielić na: czarne-białe?!

Nie „bronię” ani Niemców, ani Rosjan. Bronię samego siebie przed infantylizmem narzucanych mi poglądów. Memu przyjacielowi, staremu, „dobremu” endekowi zrobiono niedawno w szpitalu niemieckim transfuzję krwi. Ktoś skonstruował dowcip, że krew pochodziła od byłego SS-mana i że po wyjściu ze szpitala, przyjaciel mój będzie zmuszony poddać się procesowi denazyfikacji... Moim zdaniem wielu z rodaków nie zdaje sobie sprawy, że ich poglądy na polityczną biologię... nie tak znów daleko odbiegają od poziomu tego dowcipu. Z tą różnicą, iż każdy dowcip pozostanie zawsze w granicach dozwolonych żartów, natomiast zbliżone do niego credo polityczne, graniczy czasem z błazenadą.

Generalnym zarzutem wysuniętym przeciwko wszystkim Niemcom, który podczas toczącej się wojny obowiązywał pół świata, a obecnie podtrzymywany jest jeszcze przez pewną część opinii, jest zarzut, że nie obalili Hitlera, a przeciwnie dali się mu prowadzić i wykonywali posłusznie jego rozkazy. — Jest to zatem identyczny zarzut, który można wysunąć przeciwko Rosjanom, że pozwolili się opanować Leninowi, że słuchali Stalina, i wykonywali służbę w GPU i NKWD. Podczas wojny zarzutu tego jednak nie wysunięto, gdyż pół świata wspierało bolszewików i pozostawało z nimi w sojuszu, a w tej liczbie i — Polska... Wskazuje to więc wyraźnie na koniunkturalność tego rodzaju oskarżeń i ich nie tyle moralną co raczej propagandowo-polityczną genezę.

Tymczasem sprawa przedstawia się tak: „reżym” hitlerowski trwał w Niemczech zaledwie lat 12, podczas gdy bolszewicki w Rosji trwa już 38 i — trwa w dalszym ciągu. Który z nich był krwawszy i pociągnął za sobą więcej ofiar, można wykazać dopiero cytując cyfry statystyczne. Natomiast żadnej statystyki nie wymaga stwierdzenie faktu, że bardziej totalitarnym był i jest ustrój komunistyczny.

Ale rozciąganie odpowiedzialności zbiorowej na całe narody, jest nie tylko propagandową grą koniunktury politycznej, jest zarazem rzeczą co najmniej śliską... Z całą świadomością wstępuję na tę śliską drogę aby rozpatrzyć pytanie: dlaczego analogicznego zarzutu nie można wysunąć np. przeciwko narodowi polskiemu za tolerowanie „reżymu” Bieruta już od lat dzieśięciu? Jeżeli chodzi o ogólny potencjał UB, WOP-u, KBW i pokrewnych formacji policyjno-politycznych, to liczbowo nie ustępują one ilości oficerów i szeregowych wszystkich formacji SS Niemiec hitlerowskich. Dalej: Na Hitlera Niemcy dokonali kilka zamachów, na Bieruta Polacy ani jednego. Mało tego: nie jakiś jeden tylko odłam Polaków, ale w tej chwili wszyscy Polacy na świecie, zarówno w kraju jak i na emigracji, uważają namawianie do zamachu na Bieruta, bądź strzelanie do reprezentantów „reżymu”, słowem każdą próbę obalenia tego ustroju politycznego siłą, za — prowokację, za którą płacić będzie naród, czyli za — zbrodnię. Wynikałoby z tego, że poczytujemy Niemcom za zbrodnię (nie obalenie Hitlera) to, co sobie samym za cnotę. I odwrotnie: za obowiązek dla każdego Niemca to, co sobie za zbrodnię.

Odpowiedź na to zestawienie, obowiązująca wszystkich Polaków (zawsze karnych w dyscyplinie kolektywnych poglądów), jest jedna: To zupełnie co innego! Nie ma tu żadnej analogii! Hitlerizm był tworem niemieckim i powstał wewnątrz narodu niemieckiego, podczas gdy współczesny bolszewizm Polski został jej narzucony z zewnątrz i utrzymuje się wyłącznie siłą bagnetów obcego okupanta. Stąd ma się wyprowadzać dalszy wniosek, że naród nie jest odpowiedzialny za „obce” ustroje, narzucone mu siłą, natomiast odpowiedzialny jest za „własny” ustrój państwowy. I dalej: ten „własny” ustrój charakteryzuje

mentalność narodu i stanowi typowe odbicie jego moralności. Przyjmując jednak tę formułę stajemy wobec szeregu trudnych do rozwiązania problemów. Na przykład: który z ustrojów był bardziej typowy dla mentalności narodu francuskiego: krwawa dyktatura rewolucji 1789? Imperializm cesarski Napoleona? Czy reakcja Ludwika XVIII? Zmiany, które zaszły w przeciągu lat dwudziestu sześciu. Czy wobec krótkości tych terminów, decydować ma ilość lat następnych? Ale w takim razie wypadłoby stwierdzić, że naród niemiecki przez okres o wiele dłuższy uchodził za „naród poetów i myślicieli” niżli za gestapowców i SS-manów. Podobnych łamigłówek należałoby rozwiązać bardzo dużo na całym świecie. Chociażby nawracając do krótkiego dwudziestolecia Polski niepodległej: czy typem odpowiadającym mentalności narodu były bardziej rządy „Centrolewu” i sejmowładztwa, czy dyktatury, Brześcia i Berezy? Wyciągając aktualne konsekwencje z różnicy czynionej pomiędzy „własnym” i „obcym” ustrojem, musielibyśmy dojść także do wniosku, że w równym stopniu zbrodnią było ze strony Niemców, że nie strzelali ongiś do Hitlera, jak zbrodnią byłoby dziś, gdyby odwrotnie — strzelali do panów Nuschkego, Ulbricha czy Grotewohla. Byłaby to co najmniej wygodna interpretacja dla wszystkich ustrojów komunistycznych na globie, których kolebką jest zawsze obca im Moskwa. W rezultacie należałoby przyjąć zasadę, że z całego globu tylko jednemu Rosjaninowi dozwolona jest próba zamachu na krwawego satrapę Kremla, i tytuł do ewentualnego bohaterstwa za czyn, który dokonany np. rękami Polaka, Litwina, Rumuna czy Bułgara przeistaczałby się automatycznie w — zbrodniczą prowokację.

Oczywiście, że temat tego rodzaju nie da się wyczerpać ani w kilku argumentach, ani w mniej lub więcej zawitych formułach. Geneza władzy i narzucanego narodom ustroju państwowego, ginie w mrokach historiozofii i należy do dziedziny nieskończonej obfitszej w wykładnie psychologii ludzkiej, a także przykłady dziejowe. Gdybyśmy dorzucili jeszcze, nierozstrzygnięte od wieków zalecenie Kościoła: „że każda władza pochodzi od Boga”, znaleźlibyśmy się w sieci bardzo sprzecznych interpretacji, trudnych do rozplątania. Ja tego oczywiście próbować w tym miejscu nie będę.



Niezależnie od powyższych uwag, formuła przyjmująca drastycznie rozróżnienie władzy „własnej” od „obcej” wydaje się posiadać jeszcze jedną wadę. Mianowicie operując wyłączeniem terminem „naród”, pomija istnienie czynnika w życiu bardziej konkretnego, jakim jest jednostka ludzka. Zaś właśnie w życiu mamy najczęściej do czynienia z wzajemnym stosunkiem: jednostka-władza, bez względu na to czy jest ona „własna”, czy „obca”. W ten sposób przenosząc punkt ciężkości z płaszczyzny kolektywno-politycznej na jednostkowo-ludzką,

stajemy w obliczu nowego kompleksu drażliwych kryteriów. A więc na przykład: dlaczego SS-man tropiący ludzi obcej narodowości na korzyść „własnej” władzy ma stać moralnie niżej od łapsa tropiącego swoich własnych rodaków w interesie władzy „obcej” i narzuconej siłą? Dlaczego np. ci literaci niemieccy, którzy piali hymny na cześć „własnego” hitleryzmu mają być piętnowani jako zbrodniarze, natomiast literaci piejący hymny na cześć „obcego” im bolszewizmu rozgrzeszani jako „biedne ofiary”? Że niby: muszą, że żona, dzieci?... Że chcą żyć? A tamci nie chcieli żyć? Nie mieli żon i dzieci?

Naturalnie tak prosto to się wszystko nie tłumaczy. Komunizm używa odmiennej instrumentacji, której efekty w działaniu na społeczeństwo, próbowałem odmalować w powieści „Droga do nikąd”, a której technikę, miejscami po prostu genialnie wyinterpretował Miłosz w swej książce „Zniewolony umysł”. (Największa pochwała: warszawska „Nowa Kultura” w numerze z dnia 13 listopada 1955 roku, pisze: „Książka Miłosza to majstersztyk wrogiej propagandy”...) Z drugiej jednak strony narzuca się pytanie, choć w formie raczej wykrzyknika: Czy przy rozbudzonych, współczesnych nacjonalizmach (pisze się: patriotyzmach), wśród dużo narodów Europy zbrakłoby piewców swego władcy, chociażby najgorszego z najgorszych, lecz którego jeden but stanąłby nad Atlantykiem, a drugi nad Wołgą, którego władza sięgnęłaby od piasków Egiptu po Ocean Lodowaty?! Wolne żarty! Nie darmo, choć niechętnie, porównuje się Hitlera do Napoleona.

W rezultacie odpowiedź na pytanie: co jest „gorsze”, opiewać „własny” hitleryzm, czy „obcy” bolszewizm, wydaje mi się co najmniej sporna. Bezsporna może być chyba tylko dla tych, którzy w tym momencie wykrzykną:

„Jak pan śmie porównywać bolszewizm z hitleryzmem”?!
 A, na takie dictum, uchylam kapelusza i uchylam się od dalszej dyskusji. Gdyż bez względu na to, z której strony ten okrzyk padnie, będzie on pokrewny tym obu totalizmom naraz. Bo tylko tępa, polityczna myśl totalitarna kwestionować może nadrzędne prawa obiektywizmu. A obiektywizm możliwy jest tylko przy zachowaniu zupełnie wolnej ręki w dziedzinie porównań. Ograniczając prawo porównań, ograniczamy prawo krytyki, prawo dyskusji, prawo apolitycznej nauki, ograniczamy myśl ludzką, słowem zakreślamy krąg, w którym nie chciałbym się obracać, dając zresztą temu wyraz w dobrowolnym przyjęciu statutu emigranta politycznego.



Celem niniejszego artykułu nie jest próba rewizji, czy obalania czyichś przekonań politycznych. Jest on raczej próbą dokonania wyłomu w nieco skostniałych kryteriach narodowego kolektywu. Skostnienie to oddziałuje w pierwszym rzędzie ujemnie na polską literaturę powojenną. Wydaje mi się, że aby

rozszerzyć jej horyzonty, odjednostonnić, odpol-realistycznić, a przydać jej więcej prawdziwego realizmu, należałoby zastosować receptę: Mniej patriotyzmu, a więcej prawdy życia.

Byłoby oczywiście tendencyjną złośliwością, gdyby ktoś chciał wyciągnąć z moich uwag taki wniosek, że namawiam do zaprzestania opisów zbrodni hitlerowskich. Wręcz przeciwnie: zbrodni niemieckich nie wolno ukrywać, a należy je piętnować, a nawet im złorzeczyć i przeklinać. Łapanki warszawskie, podziemia Gestapo muszą znaleźć swoje odbicie w literaturze i źle by było, gdyby ktoś próbował zamazać prawdziwe oblicze powstania ghetta warszawskiego, źle przede wszystkim dlatego, iżby zubożył przez to naszą wiedzę nie tylko o niezwykłych faktach historycznych, ale pozbawił materiałów, mogących służyć w przyszłości do wymiaru rozpiętości, do jakich sięgać potrafi zbiorowa ludzka zbrodnia z jednej strony, a bohaterstwo z drugiej. Ale ta część została już wykonana. Nikt nie może powiedzieć, że dymy Oświęcimia przeschachowano na mgiełkę zapomnienia. Oddają one strasznym, trupim swędem, jakim oddawały w rzeczywistości. To wszystko zrobiono. Zapomniano tylko o jednym, o najważniejszym: o człowieku. O tym, że obiektywne pojęcie zbrodni nie ogranicza się do popełnienia jej w stosunku do jakiegoś jednego narodu, ale w stosunku do: każdego człowieka.

I tu muszę zauważyć, że powojenna literatura niemiecka znacznie nas wyprzedziła w obiektywnym naświetleniu jednego z największych kryzysów ludzkości, jakim była druga wojna światowa. W obecnej jej tendencji „szukania człowieka” jest bardziej, po prostu, ciekawsza. Bo wiadomo, że w literaturze nie polityka, nie naród, a najciekawszy jest zawsze człowiek.

Literatura niemiecka potępiła hitleryzm i zbrodnie przez niego dokonane w doprawdy niezliczonych publikacjach, filmach i sztukach. Nie potrafiłbym nawet zacytować w przybliżeniu tych wszystkich druków, które bezpośrednio, pośrednio, czy tylko w wyniku akcji powieściowej, piętnują głupotę, barbarzyństwo i zbrodnie „własnego” hitlerowskiego rządu i systemu, popełnione w stosunku do obcych narodów, a w tej liczbie i Polaków. Po stronie polskiej, jak już wspominałem wyżej, nie ma ani jednej książki, a bodaj żadnego artykułu, czy wystąpienia, które by piętnowało zbrodnie obcego, bolszewickiego okupanta w stosunku do Niemców...

Niektórzy postawę dzisiejszej literatury niemieckiej zbywają wykrzyknikiem: „A bo przegrali wojnę! To teraz są „dobrzy”, ale gdyby... itd.” Zauważmy nawiasem, że myśmy tej wojny też nie wygrali... Ale co to ma zresztą do rzeczy? Idee ludzkie powstawały często korzystając z jakichś zewnętrznych, koniunkturalnych okoliczności, i w danym wypadku treść ich jest ważna, a nie przyczyna, która je zrodziła. Przyszłość, którą otwierają, a nie przeszłość zakopaną w cuchnącym, masowym grobie. Czy piękna książka może być tylko dlatego uznana za bez wartości, że nie byłaby napisana gdyby dziesięć lat te-

mu, ten, a nie inny generał wygrał był decydującą bitwę?

W odróżnieniu od przepisu soc-realizmu, szczerść każdego pisarza mierzy się nie tylko tym, o czym pisze, ale i tym co przemilcza. Z drugiej strony każdemu winno być wolno pisać co chce i co mu najbardziej leży na sercu. Jeżeli chodzi o mnie, nie wykreśliłbym nigdy ani jednego słowa nawet z tego co wypisuje książd Kantak, jeżeli poczuwa się za nie do odpowiedzialności zarówno wobec czytelników, jak i wobec własnej sukni kapłańskiej. Nie to jest ujemną stroną pewnego zespołu ludzkiego, że ktoś jeden pisze w nim — tak. Ale to, gdy nikt inny nie odważy się napisać — nie; zgłosić swoje indywidualne veto, czy chociażby odmienne zdanie, nawet wówczas gdy przebywa w wolnym świecie i ani Gestapo, ani NKWD nie grozi mu za to Oświęcimm czy Kołymą.

Trudno określić w tej chwili jaki procent Niemców potępia nie tylko Hitlera, ale wszystko cokolwiek ubocznie związane było z jego „reżymem”. Prawdopodobnie ponad 90%. Zdają się jednak wyjątki, a kto wie, może z 10%, może mniej, które byłyby skłonne nie całą przeszłość hitlerowską widzieć w równie czarnych barwach. Te wyjątki notowane są ze szczególnym nieraz podkreśleniem: „Spójrzcie-no na tych! Co oni wypisują!” A ja bym powiedział: chwała Bogu! Chwała Bogu oczywiście dla samych Niemców przede wszystkim. Bo naród, który wykazuje zbyt daleko posuniętą jednolitość opinii, zbyt wielką dyscyplinę, solidarność, przesadną monomysłowość, postulatowość, w którym nie ma nikogo, kto by mówił inaczej nie budzi zaufania w swoją szczerść. Tego rodzaju społeczeństwo wydaje się nieco sztucznie „podciągane” do jednego mianownika. Słusznie kiedyś napisał W.A. Zbyszewski w pięknym artykule, broniąc Władysława Studnickiego przed masowym potępieniem za zgłoszenie się na świadka obrony w procesie von Mansteina, że społeczeństwo dojrzałego narodu winno być jak rozwarty szeroko wachlarz. Niewątpliwie tak. Dodałbym od siebie, że czym więcej ponad 180 stopni rozwarcia tego wachlarza, tym więcej świadczy o dojrzałości, dynamice, a więc i bogactwie myśli społeczeństwa. Podczas gdy zwinięty w mocnej garści robi wrażenie raczej krótkiej pałki.



Powiada się u nas, że emigracja jest po to, żeby „służyła krajowi” i to przez duże K. Przyjmując to założenie za słuszne: na odcinku literackim, na czym ta wierna służba ma polegać?

Swojego czasu wojewoda Bociański konfiskował moje artykuły o pewnym powieściu, w którym chłopci nie mieli czym karmić bydła i zrywali strzechy z chałup na słomę do sieczki. Motywował te konfiskaty państwowym interesem wyższej miary: artykuły są żerem dla propagandy sowieckiej. Otóż wydaje mi się, że dziś na emigracji funkcję wojewody wypełnia zastęp-

czo źle pojęta służba krajowi: „Co kraj na to powie? Jakie to zrobi wrażenie w kraju?” Ta wieczna licytacja hasłami „Kraju” (przez duże K), ta ciągła obawa, żeby nie wyjść ze „służby”, czy co gorsza nie zostać z niej wyrzuconym, doprowadza w końcu do tego, że zamiast korzystać z szerokiego horyzontu wolności i nowych myśli, literatura emigracyjna dobrowolnie obkłada siebie cenzurą tzw. dyscypliny narodowej. Służba, jak każda służba, ma tylko ograniczone środki działania. Kto służy, ten nie rządzi. W rezultacie emigracyjny polrealizm nie jest żadnym przeciwstawieniem obowiązującego w kraju socrealizmu, tylko jego konkurentem, równie, a czasem (niestety!) bardziej ciasnym od tamtego. Przy tym chronicznie chorym na brak konsekwencji. Tak np. z jednej strony ubolewa się nad ubezwłasnowolnieniem literatów w kraju pod obcą przemocą, z drugiej wdaje się z nimi w poważne polemiki, stwierdzając tym samym, że są właśnie — własnowolni. Także drobne flirty poprzez Żelazną Kurtynę, per: Zbyszku! Kochany Pawełku, czy Dziubdziusiu, mało wnoszą, jeszcze mniej sprzyjają rodzeniu się niezależnej myśli, czy chociażby rozprostowaniu ramion przy codziennym wschodzie słońca. A tymczasem, jak wiemy, kula ziemską się obraca, i wraz z nią kręczy tzw. współczynnik czasu i postępu, pozostawiając zajętych drobnymi polemickami przy Żelaznej Kracie, na starym miejscu.

Zapytać by można: co mają wspólnego z tymi uwagami Niemcy? Jako Niemcy, zgoda nic. Natomiast jako „kompleks niemiecki” stanowią dosyć charakterystyczny przykład dreptania na miejscu.

Niedawno poznałem młodzieńca urodzonego w Stryju, dzieckiem deportowanego do Kazachstanu, szkolonego w Indiach, dorastającego w Afryce, zmężniałego w Londynie, który — ponad wszystko — nienawidzi Niemców. Nie był w Niemczech i nie zna ich. Nie zetknął się. Z całego, szerokiego świata tę rzecz wyniósł z emigracyjnego piśmiennictwa polskiego. Nad własnym poglądem się nawet nie zastanawia i nie chciałby go w sobie wyrobić. Tamto mu wystarcza. Jest przekonany, że inaczej być nie powinno. On, w swoim mniemaniu: służy w ten sposób krajowi.

Niemcy stanowią dziś dla całego świata jeden z najważniejszych problemów, wokół którego toczą się, bądź rozbijają konferencje najpotężniejszych mocarstw. Natomiast dla wielu Polaków są zamkniętym kręgiem i skamieniałym w tym ujęciu kompleksem psychicznym. Jeżeli stosunek do jednego tylko państwa, czy jednego narodu hamuje wszelką żywotną elastyczność i stanowi kamień do potknięcia na drodze samodzielności myślenia, to cóż dopiero mówić o możliwościach polskiego „wkładu”, czy „udziału” w postępie wszechświata.

Prawdziwa służba krajowi wydaje mi się polegać na czymś zupełnie odwrotnym. Na stworzeniu takiego słowa, takiej myśli twórczej, takiej literatury na emigracji, która by oderwała się

od hamulców na kraj nałożonych, maksymalnie pozbyła wszelkich kompleksów i możliwie zerwała z wszelką koniunkturalną służalczością.

W roku 1879 angielski działacz filantropijny, czcigodny pastor Henry Landsell przemierzył całą Syberię i odbronzowił cokolwiek ówczesne pojęcia o okropnościach carskich katord, czym ściągnął na siebie gwałtowne ataki ze strony liberalnej, antyrosyjskiej opinii europejskiej. W książkach wydanych w roku 1882 w Londynie i Jenie, polemizuje on w sposób trochę naiwny między innymi z „niejakim Teodorem Dostojewskim”, zarzucając mu, że w swoich „relacjach syberyjskich” (Za żywo pogrzebionnyje) mocno przesadził, sztucznie zgęścił barwy i zaplątał się w nieścisłościach. Landsell nie wiedział jeszcze kim jest i czym będzie dla świata Dostojewski. Traktował go wówczas za „niejakiego”. W rezultacie jednak wystąpił wobec opinii europejskiej z obroną ówczesnej Rosji przeciwko — pisarzowi rosyjskiemu... Przerzucając te stronicę dziś, trudno się oprzeć pewnemu zamyśleniu, powiedziałbym, trochę melancholijnej refleksji nad tym z jakim stopniem oburzenia i piętnowania spotkałby się pisarz polski ze strony rodzimego kolektywu, jaką formę przybrałyby zarzuty szkodnictwa, a bodaj zdrady narodowej, który by aż tak dalece wyłamał się z urzędowej interpretacji, żeby zgola obcy autor musiał ją bronić przed opinią europejską!

A przecież imię ówczesnej Rosji, jeżeli rozślawił w całym świecie, to — nie pismak rządowy i nie publicysta wiernopoddańczy — ale najbardziej ów właśnie „niejaki” Teodor Dostojewski. Odpowie ktoś może: Tak, ale geniuszem swego talentu, który nie każdemu jest dany. Słusznie. Obawiam się jednak, że gdyby się był narodził w Polsce i zadarł w ten sposób z kompleksem narodowym, to nawet przy największym geniuszu i talencie, groziłoby mu pozostanie na zawsze tylko — „niejakim”. Mówiąc konkretnie: za życia pogrzebany.

Józef MACKIEWICZ

Wszelkie leki i materiały dentystyczne wysiła do Polski i innych krajów poza Linie Curzona

Mgr. L. OLIWA **APTEKA** Ltd Mgr. B. DALSKI
(THE BROMPTON PHARMACY)

68, Fulham Rd., South Kensington, London, S.W.3.
Wszystkie zlecenia wykonujemy natychmiast. Ceny eksportowe.

Rozmowa z Gombrowiczem

Przez godzinę Gombrowicz, na swoim kursie filozoficznym, tłumaczył nam na czym polega „redukcja fenomenologiczna” i jakie są konsekwencje tej metody w kulturze. Jedną z pań zauważyła: — Gdy się pana bliżej pozna, jest pan zupełnie inny niż w tej legendzie, która się o panu wytworzyła. Odezwałem się: — Nieraz mnie pióro świerzbi, żeby tę legendę, szkodliwą dla pana i dla czytelników, zrewidować. Na co Gombrowicz: — A może byłoby dobrze, gdyby pan zrobił ze mną wywiad?

Ustaliliśmy następujący proceder. Najpierw w „Rexie” (sala szachowa, naładowana potencjami szachowego myślenia, zegary abstrakcyjnie wyznaczają czas posunięć a olbrzymie szyby grają kolorami neonów) przeprowadziliśmy rozmowę, potem na jej podstawie opracowałem w domu moje pytania na piśmie i na szkieciwałem odpowiedzi Gombrowicza. Maszynopis tego dialogu został przez Gombrowicza szczegółowo rozpatrzony i uzupełniony.

Ja: — Dokoła pana pisarstwa tworzy się atmosfera jakiegoś niezbadanego Mare Tenebrarum. Pan ciągle wyjaśnia, komentuje pan siebie w „Dzienniku”, w przedmowach, a jednak w dalszym ciągu niewielu rozumie. Cemu to przypisać?

Gombrowicz: — Pomówmy naprzód o mojej pracy czysto artystycznej. Te utwory są dla wielu niezrozumiałe po prostu dlatego, że nie są dla nich pisane. Ale skąd ta pretensja abym ja miał pisać dla wszystkich? Dlaczego komplikujecie takimi zadaniami niezmiernie prosty proces: 1. Siadam przy biurku i piszę dla siebie, na moim poziomie, dla własnej przyjemności, a może także dla garstki pokrewnej mi naturą i kulturą. 2. Wydawca ogłasza to drukiem gdyż, jego zdaniem, to może zainteresować pewnych czytelników. 3. Reszta nie jest obowiązana ani kupować tego, ani czytać.

Jestem człowiekiem prywatnym. Uprawiam literaturę prywatną, a nawet do pewnego stopnia, konfidenecjonalną. Nikt nie

powołał mnie na urząd Dostarczyciela Strawy Duchowej dla Mas — i zresztą nie nadaje się na urzędnika.

To nie znaczy abym lekceważył społeczeństwo. Poprzedzam moje utwory przedmowami dlatego właśnie, aby one nie stały się źródłem niepotrzebnych i szkodliwych nieporozumień. Nie wyjaśniam tego co w moim pisaniu jest sztuką, bo tego nie da się wyjaśnić. Ale mówię: nie, uspokójcie się, nie jestem demon, wariat, anarchista, nie szukam skandalu, jeśli to a to napisałem, to dla takich a takich racji.

Ja: — Czy nie sądzi pan jednak, że gdyby pan wypowiedział się w sztuce w sposób mniej szalony, nie na samym pograniczu dnia i nocy — że gdyby to nie było takie krańcowe jako świadomość, intuicja, forma, byłoby bardziej dostępne?

Gombrowicz: — Wzywam pana, panie Karolu, aby pan miał poważniejszy stosunek do pracy artysty.

Cóż to jest sztuka na serio? To próba wypowiedzenia tego co nie zostało powiedziane, dożeglowania do dziewiczych łądów, to właśnie najbardziej krańcowa sytuacja ducha, tam gdzie styka się on z Nieznanem i z Nienazwanem.

Cóż, u diabła, ma tu do czynienia czytelnik, ten w tuzinkowym wydaniu? Czy pisarstwo polskie ma być zawsze „dla czytelników”? Czyż nie stać nas na parę książek sięgających w noc, która otacza ludzkość? Nie wiem czy to robię dobrze, czy źle — w każdym razie miejsce moje jest tam, na samej granicy światła.

Powiecie, że w ciemnościach łatwo przemycić tandetę. Bardzo nad tym ubolewam, ale nie ma rady. „Pewność i zaufanie” to dobre było dla P.K.O. Surowe życie nie zna takich udogodnień.

Ja: — Jakże pan wytłumaczy, że nawet to co pan pisze „dla czytelników”, na przykład „Dziennik” drukowany w „Kulturze” tak opornie wchodzi w głowy, budzi tyle sprzecznych interpretacji?

Gombrowicz: — To już co innego. Tutaj rzeczywiście można zapytać: dlaczego jesteś niejasny, gdy chcesz być jasny? Co jest w sobie takiego, że prowokujesz i że twój sens się wymyka ludziom?

Odpowiedź: mój świat jest inny niż świat moich czytelników.

Ja: — Przyjrzyjmy się temu z bliska. Czy pański świat jest inny dlatego, że pańskie pojęcia są inne? To znaczy: czy nie uważa pan, że gdyby czytelnicy poznali współczesną dialektykę — mam na myśli przede wszystkim dialektykę heglowską i egzystencjalną — mieliby lepiej uitorowaną drogę do pana?

Gombrowicz: — Zapewne. Ja jestem z innej szkoły, a oni z innej. Według mnie ta polska inteligencja jest, pomijając wyjątki, zupełnie nieorientowana we współczesnym świecie. Powód? Dlatego że my, niestety, mamy własną narodową sztukę, literaturę, filozofię — tyle tylko, że one nie są dostatecznie za-

sadnicze i dość uniwersalne. Argentyńczyk, który nie jest zbyt obciążony balastem własnej historii, pożera, gdy chce, najważniejsze książki świata. Lecz my w szkole średniej musieliśmy wypychać w siebie romantyzmy lub mesjanizmy — wobec czego zabrakło nam czasu na zapoznanie się z człowiekiem, jego kulturą, historią, myślą, jego stwarzaniem się w świecie. Skazani zostaliśmy na drugorzędną i lokalną interpretację świata. Znamy Reja, ale nie znamy Montaigne'a. Znamy Skargę i dlatego nie znamy Pascala. Szekspira nie znamy, gdyż musimy znać dramaty Słowackiego. Nie przeczę, Francuz albo Niemiec także uczę się przede wszystkim na własnej literaturze — ale pomyślcie jaka to różnica: poznawać świat poprzez Moliera a poprzez Fredrę.

Literatura zachodnio-europejska rusza się, ona pragnie nadążyć czasowi. My wleczeni się w ogonie czasu. Inteligencji polskiej wymyka się sama istota współczesności. Większość z nas jest jeszcze intelektualnie w świecie Arystotelesa i Tomasza z Akwinu. Zamknęliśmy się na klucz przed człowiekiem takim jaki zaczął się rodzić ze dwieście lat temu — ten człowiek dziś dojrzewa, on już zabiera się nie na żarty do urzeczywistnienia siebie i obecność jego staje się groźnie namacalna. Człowiek Hegla, Nietzschego, dialektyki, historii, człowiek egzystencjalizmu, człowiek Freuda lub Heideggera, człowiek Dostojewskiego — oto człowiek, któremu się nie kłaniamy, ponieważ nie jest *comme il faut*. Nie nawiązemy z nim stosunków nawet wówczas gdy nas złapie za gardło. Jakże! Przecież my mamy Oleńkę, Skrzetuskiego, obrazy Matejki i w ogóle jesteśmy niewinni!

Cóż za idylla obsiadła nam mózgi! Nie wymagam od nikogo filozofii, ale trzeba mieć oczy otwarte na świat. Świat współczesny tym się różni od dawniejszego, że coraz bardziej się rusza. Ludzkość to statek, który na zawsze odbił od brzegu, nie ma już portów ani kotwic, tylko nieskończenie płynny ocean pod niebem pozbawionym nieruchomej prawdy. Musimy przyzwyczaić się do tej samotności. Musimy nauczyć się żeglugi w tych odmętach. Trzeba umieć pływać — i jeśli nie posiadziemy tej sztuki, zawsze będziemy wzdychali do jakiejś przystani. Ale nie nauczmy nas pływania nasza poezja liryczna, ani nasza literatura wspominkowa.

Mówię, rzecz jasna, o inteligencji. Osobom w ogóle w niczym nieorientowanym święty Boże nie pomoże.

Ja: — To „święty Boże” nasuwa mi pewne pytanie. Katolicyzm jest niewątpliwie taką właśnie przystanią, taką prawdą absolutną i nieruchomą, której pan przeciwstawia zdegradowane niebo współczesności. Czy, wobec tego, jest pan wrogiem katolicyzmu?

Gombrowicz: — Nie jestem wierzącym katolikiem. Proszę aby pańska gorąca wiara, panie Karolu, nie miała do mnie o to pretensji: nikt tego sobie nie narzuci siłą. Ale mój ateizm jest stokroć bliższy wierze niż ateizm XIX wieku. Dlaczego? Gdyż uznaję wiarę jako pewne rozwiązanie duszy, jako pewien

styl życia, dopuszczam możliwość tego „skoku egzystencjalnego” i mówię, już nie pamiętam za kim; nie można walczyć z tym co dusza sobie wybierze. A poza tym idee, doktryny, zasady niewiele mnie obchodzą. Patrząc na człowieka i mówię: ach, taki jesteś! Podobasz mi się, lub nie podobasz, jesteś szczerzy, uczciwy, rzetelny, ludzki lub — na odwrót — jesteś przerażającą szmirą i usztynwionym kretynstwem. Nie mogę być wrogiem katolicyzmu, gdyż katolik, pewien typ katolika, podoba mi się jako człowiek. Dlaczegoż miałbym zwalczać doktrynę która stwarza takich ludzi i takie życia?

Ale tu trzeba rozróżnić. Działanie katolicyzmu na człowieka może być dwojakie. Katolicyzm bywa środkiem pogłębiania i uszlachetnienia — wówczas człowiek nie traci nic ze swej ludzkości, przeciwnie, ona staje się giętsza, chłonniejsza, potężniejsza, bardziej jeszcze trudna. Ale katolicyzm może też doprowadzić do ośpienia, zastój, sklerozy i wówczas katolik staje się okropny: doktryna zaciska się na szyi jak obroża, rodzi się błogostan zrobiony z zarozumiałej „pokory”, ten człowiek już wszystko wie, więc niczego nie chce się dowiedzieć, jest sędzią w imię Najwyższego — i oto byle jejmość i byle jegomość wyrokują w pięć minut o najwyższych i zaiste krwawych osiągnięciach kultury, och, nie dlatego aby osobiście czuli się wyżsi, ale dlatego że są w posiadaniu prawdy objawionej. Tu katolicyzm podważa naturalną hierarchię wartości i ludzi, staje się ułatwieniem, dzięki niemu można w nim zamieszkać wygodnie, delektując się własną cnotą i lekceważąc pozostałe a bezmierne obszary trudu ludzkiego.

Ubolewam: nie zbywa nam na takich katolikach. Ten gatunek, trudno i darmo, musi być poddany masażowi. Katolicyzmowi polskiemu na gwałt trzeba dostarczyć nowych i trudnych treści, wpompować w niego całą najostrzejszą doktrynę naszego obecnego stawania się aby on się na niej urobił, pogłębił, oczyścił i wzmocnił. Prawda objawiona jest nieruchoma ale katolicy muszą się ruszać. Niech katolicyzm nie będzie synekurą duchową, uchylaniem się od konfrontacji, dziecinny lękiem przed „zgorszeniem”.

Więc, moim zdaniem, literaci jak ja, mogą być przydatni katolikom — bo my ich zmuszamy do konfrontacji ze światem.

Ja: — Być może, jednak pańska działalność byłaby skuteczniejsza gdyby nie zawierała w sobie prowokacji. Ale pan z rozmysłem prowokuje...

Gombrowicz: — Dla mnie literatura z istoty swojej jest prowokacją. Literaturę określam jako walkę o byt duchowy — równie bezwzględna jak każda inna walka o byt. Słowo, które nie potrafi ranić niewiele jest warte. Ale przecież jestem mniej dotkliwy od wielu innych...

Ja: — Gdyby pan nie jątrzył systematycznie uczuć narodowych...

Gombrowicz: — Jątrzę? To raczej oni je sobie jątrzą mną. No, to zdanie jest nieco skomplikowane.

Ja: — Może by je wyjaśnić...

Gombrowicz: — Wyobraźnia ludów prymitywnych (większość czytelników to lud prymitywny) z lubością robi z igły widły. Nie mogą się obejść bez diabła. Klują ich od czasu do czasu igielką a oni krzyczą, że to diabeł z widłami!...

Do tych prostaków nie mam pretensji. Są ciemni a demony lubią ciemności, więc nie dziwnego, że ich oblażą.

Ja: — Chciałbym w tej rozmowie dotknąć także nieporozumień najbardziej elementarnych, właśnie z tym czytelnikiem prymitywnym. Taki czytelnik nie obejmuje całości — wyłapuje tylko poszczególne zdania. Na przykład takie powiedzenie o Polsce w „Trans-Atlantyku”: „A że chuda była szkapa, niechaj zdycha!”.

Gombrowicz: — Wie pan gdzie zdanie to byłoby groźne? Gdyby ono pojawiło się na końcu książki, jako ostateczny wniosek. Ale ono jest na początku, a koniec jest wybuchem śmiechu!

Ja: — A pańskie przekleństwa rzucone na Polskę, gdy statek odbija od brzegu?

Gombrowicz: — „Trans-Atlantyk”, proszę nie zapominać, to jednak powieść humorystyczna. Więc, to utwór, który śmieje się z własnych przekleństw, załamań, rozpaczy. Tylko skończony tuman, pozbawiony już nie tylko poczucia humoru ale i jakiegokolwiek znajomości ludzi, może nie rozróżnić między przekleństwem na serio a przekleństwem za którym cza! się śmiech. I właśnie jest na odwrót: dla kogoś, kto umie czytać, takie i tym podobne zdania będą właśnie dowodem, że „Trans-Atlantyk” jest wyrazem najbardziej niewątpliwiej dumy narodowej, dumy napiętej rzeczywistości do ostateczności. Czyż tego nie rozumiecie? Idealizowanie ojczyzny to tchórzliwa forma patriotyzmu. Ale wyczerpać wszystkie nędze własne z uśmiechem, ze swobodą, jaką tylko może dać doskonała pewność siebie, pewność swojego istnienia... stworzyć i zachować ten dystans katoryczny w odniesieniu do całego naszego dramatu narodowego, do tego co z nami może się dzieć w teraźniejszości — w imię żywotności, rozwoju, stawania się... być Polakiem, który siebie przezwycięża i w tym przezwyciężaniu upatruje najgłębszy sens polskości... Ja bym zalecał taką postawę, bo to nie polskość oparta na zamydłaniu oczu sobie i innym, na idealizowaniu i „propagandzie” (co świat przyjmuje z pobłażliwym uśmiechem), ale coś, co naprawdę może utrzymać się na nogach i to w każdej okoliczności!

Ale, to, rzecz jasna, za mądre dla tuzinkowego „czytelnika”, któremu nie wiadomo, że i Polska, i życie są trudne, o wiele trudniejsze niż to on mógłby sobie wyobrazić. Natomiast, gdybym nie wiedział że życie jest takie niechlujne... miałbym pretensję właśnie do emigracyjnej Generalicji Intelktualnej, do tych przywódców, opiekunów i nauczycieli duchowych, wypowiadających się w szampańskim felietonie.

Ja: — Dlaczego?

Gombrowicz: — Proszę się zastanowić: panuje na emigracji zupełna posucha idei. Piach i pustynia. Od 1939 roku nie wymyśliliśmy absolutnie niczego, choć wszystko dokoła nas przeistoczyło się z kretesem. W tych warunkach ukazują się książka, będąca zaproszeniem do radykalnej zmiany całego sposobu bycia polskiego. Czyż nie należało oczekiwać, że to zostanie przynajmniej rozważone?

Dobrze, zgódźmy się, niełatwo wyłowić z „Trans-Atlantyku” jego myśl o Polsce. Ale przecież ją ją formułowałem niejednokrotnie w przedmowach, komentarzach, polemikach, w moim dzienniku, i dziś już każdy z tych panów musi zdawać sobie sprawę, że coś w nasze życie wniosłem — coś może niedorzecznego, ale radykalnego. Otóż ci myśliciele i przewodnicy, którzy już nawet w heraldyce szukają ucieczki przed brakiem tematu, ani drgnęli na widok rażącej idei. Przyjrząwszy się jej niemiłym okiem, ziewnęli i zasnęli. Jak rozumieć tę senność? Anemia? Dąsy? Obrazy? Pedagogiczne trwogi, żeby nie gorszyć małuczkich? Jakaś głupkowata „taktyka” (nie robić propagandy)? Strusie wsadzanie głowy w piasek własnej mielizny? Tak czy owak trudno o jaskrawsze świadectwo indolencji. I ten to intelekt, niezdolny na własnym terenie podjąć żadnego żywotnego problemu, aspiruje jednak do jakiegoś wpływu na Kraj.

Ja: — Co pan myśli o Kraju?

Gombrowicz: — Tamtejsza rzeczywistość jest ponura i upokarzająca, ale ma jedną właściwość niezmiennie twórczą: jest dotarciem do dna. Dotychczasowa kultura polska była wytworem warstwy wyższej, żyjącej życiem złagodzonym — więc ta kultura była nieskuteczna poza swoją sferą. Życie polskie mogło być zrewidowane tylko od podstaw — ale to zadanie przewyższało siły naszej „superstruktury”. Otóż czasy dzisiejsze w Polsce są pierwszym w naszej historii przeoraniem bytu polskiego do głębi, do najniższych jego pokładów.

Dlatego myślę, że nigdy nie działo się w Polsce tyle co teraz, ani tak fundamentalnie. Ale ten brutalny proces odbywa się w milczeniu: on nie jest głosem, on jest faktem. Skłamałe słowo tamtejsze jest zupełnie nieważne. Tam rządzi fakt — i my, tutaj, powinniśmy przyjąć go do wiadomości, jako coś nieodwołalnego. Przeważa między nami opinia, że komunizm w Polsce jest zjawiskiem sztucznym i że wobec tego, wszystko co się tam dzieje jest rodzajem maskarady. Tak nie jest. Gdyby nawet odszedł komunizm, zostawi ich czymś innym niż byli, zostaną sami ale odmiennymi, wstrząśnięci w samej swojej istocie, wypełnieni rzeczywistością dla której nie znajdują wyrazu. A z tego wynika, że jeśli pisarze emigracyjni wyobrażają sobie, że nadal są „osadzeni” w narodzie polskim, mylą się — ten naród dawno usunął im się spod nóg — i stąd taki a niezmiennie doniosły paradoks, że my już nie będziemy mogli dogadać się z nimi „jak Polak z Polakiem”, tylko „jak człowiek z człowiekiem”. To znaczy: musimy poczuć się ludźmi w świecie i do nich zwrócić się tylko jak do ludzi.

Ja: — Czy według pana literatura emigracyjna spełnia należycie swe zadania?

Gombrowicz: — Mam wiele szacunku dla jej trudu a nawet może poświęcenia, ale ośmieliłbym się powiedzieć że pod pewnym względem jest literaturą z nieprawdziwego zdarzenia. Czyż naczelną jej aspiracją nie jest zachowanie naszego duchowego stanu posiadania z roku 1939? Ten rezerwat ducha zalał tuje naftaliną. Zachowawczość większości tych piór jest cmentarna. Wygląda jakby chciała roztopić naszą, i bez tego nijaką, świadomość w tęsknocie i w anegdocie.

Właściwie nie powinienem się do tego wtrącać, gdyż jestem kotem który chodzi własnymi drogami. Uprawiam pisanie „pojedynczego człowieka”... Ale, jeśli pan pyta...

Jedyną co naprawdę wiąże piśmiennictwo emigracji z aktualnością świata to niezmordowany atak na komunizm. Ale na ogół nie przekracza on ram propagandy prasowej — jako postawa, gatunek, styl myślenia, to także jest słabe; a najlepszym tego dowodem jest, że antykomunistyczna diatryba polska nie wzbogaciła niczym wielkiej polemiki światowej na temat komunizmu, nie dostarczyła żadnego nowego przeżycia, żadnego własnego rozwiązania. I jakżeby to mogło się stać? Porównajcie choćby starcie Camusa z Sartrem w „Temps Modernes” sprzed paru lat, z tym co my piszemy. Ten intelektualizm Zachodu, aczkolwiek „zgnity”, ma jednak szersze horyzonty...

Ja: — A przecież nie zbywa nam na talentach.

Gombrowicz: — Te talenty, jak wojsko po przegranej bitwie, powinny być się zreorganizować i wycofać na silniejsze pozycje. Tego nie zrobiły.

W obliczu decydującej rozgrywki trzeba zmobilizować najgłębsze rezerwy, dojść w sobie do ostatecznej rzeczywistości — tylko tam, na gruncie tej absolutnej autentyczności, można naprawdę stawiać opór.

Ta teza określa zadania jakie stanęły przed naszą wygnaną literaturą — których ona, tak mi się zdaje, nie spełniła.

Przede wszystkim: jej obowiązkiem było przewyciężyć swą „klasowość”, swoją szlacheckość, burżuazyjność, to wszystko co ją określa jako produkt pewnej warstwy społecznej. Powinna była stać się surową literaturą ludzi nagi, ale pozostała literaturą pań i panów z pewnego środowiska, tworem życia złagodzzonego. W jaki sposób życie miękkie może się oprzeć życiu twardemu? Jak pewien wycinek egzystencji może wytrzymać napór całości bytu?

Po wtóre: należało dojść do tej autentyczności i szczerości w której człowiek staje się naprawdę sobą. Gdy się nie jest bezwzględnie sobą, nie można się opierać, nie ma na czym się oprzeć. Ale to nie jest to do osiągnięcia bez kategorycznego dążenia do wolności wewnętrznej — choćby kosztem zniszczenia w sobie najdroższych skarbów. Tej stanowczości im zabrakło. Mając do wyboru, z jednej strony wolność, a z drugiej to wszystko — mity, sentymenty, wiary, legendy — do czego byli

„przywiązani”, wybrali to drugie. Czyli pozostali tym czym byli. A zgadzam się z egzystencjalistami gdy mówią, że przeszłość zamienia człowieka w rzecz.

Poza tym my skarżymy się, ponieważ nas boli... ale to skarga dziecka. Antykomunizm polski może być przekonujący tylko, gdy stanie się wniknięciem tyleż w nieszczęście własne co w tamten ból, który zrodził komunizm, w ból, wydziedziczonych, w dynamikę tamtego, proletariackiego nieszczęścia. To znaczy: aby skutecznie przeciwstawić się komunizmowi muszę najpierw przeżyć świat od strony proletariatu, spojrzeć ich oczami, doznać ich racji, wyczerpać sens tej rewolucji. Aby powiedzieć „nie”, trzeba sporządzić bilans, ale bilans musi być uczciwy. Otóż, moim zdaniem, literatura emigracji nie zdobyła się na to aby spojrzeć w twarz komunizmowi. Ani dialektyce materialistycznej, ani życiu, które ją stworzyło. Literatura nasza jest propagandą — nie jest przeżyciem historii...

To wszystko można by streścić mówiąc, że historia domaga się od nas w tej chwili surowej i pełnej świadomości — świadomości ostatecznej — oraz pełnej swobody wewnętrznej. To nakaz naszej dramatycznej samotności. Nie pozostało nam nic, oprócz nas samych... Ale my pozostaliśmy wysadzoną z siodła burżuazją.

Ja: — Kogo w tej literaturze pan najbardziej ceni?

Gombrowicz: — Miłosza, jak łatwo się domyśleć — jego dotychczasowe utwory najbardziej ze wszystkich wprowadzają w historię. W publicystyce — Mieroszewskiego, to czujna, trzeźwa i rozumna głowa. Podziwiam wielu innych, ale prawie żaden nie trafia mi do przekonania.

Karol SWIECZEWSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Redakcja, administracja, drukarnia:
MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

“Iliady” Księga Pierwsza

OD TŁUMACZA:

Tłumaczyłem Homera polszczyzną prostą, na ogół nowoczesną, z lekka tylko archaizowaną, jako że i Homer archaizuje. Stylizowanie jednak języka na modłę archaiczną wymaga wielkiej oględności, by ustrzec się wyrażen typy ludowego i nie nadać „Iliadzie” znamion poezji ludowej, z którą nie ma ona nic wspólnego. Natomiast starałem się wydobyć dworsko-rycerski charakter poematu Homera, a przez to zapewnić przekładowi wierność nie tylko zewnętrzną, tekstową, ale i wewnętrzną. Tłumacząc Homera, czytałem Paskę, bo zdaje mi się, że atmosfera rycerskiego XVII wieku, przebijająca się w języku i stylu pamiętnikarza (niezależnie od jego łacińskich makaronizmów) zbliża się w pewnej mierze do greckiej epopei bohaterskiej.

Dalszą konsekwencją mego dążenia do wierności przekładu było zastosowanie wiersza heksametrycznego, tego samego, który występuje u Homera. Oczywiście, zgodnie z naturą języka polskiego, musiałem iloczasiem zastąpić akcentem. Jedyłą licencją, na jaką sobie pozwoliłem (możliwie niezbyt często), była tak zwana „anakruza” czyli odbitka, która polega na rozpozynaniu wiersza od zgłoski nieakcentowanej, co jednak nie zmienia zasadniczego rytmu wiersza. Użyłem heksametru w głębokim przekonaniu, że tłumaczyć Homera prozą lub wierszem nowoczesnym — to pozbawić jego poezję jej najistotniejszej cechy muzycznej. Homer przestałby być Homerem, a przekład byłby niewierny, gdyż ignorowałby znamioną rytmikę oryginału.

KSIĘGA I.

M ó r. — G n i e w.

Gniew Achillesa, syna Peleja, opiewaj, bogini,
Gniew złowrogi, co krocie klęsk na Achajów sprowadził,
Wiele potężnych dusz bohaterów w podziemia Hadesu
Stracił, zaś ciała na żer rzucił psom i ptakom-drapieżcom.
Tak swoją wolę spełniał Dzeus. A zaczęło się w ów czas,
Kiedy w sporze porywczym stanęli sobie naprzeciw
Mężów pan, Agamemnon Atryda, i boski Achilles.

Któryż to z bogów sprawił, że starli się w zwadzie zawziętej?
Syn Latony i Dzeusa. Bo ten, zagniewany na króla,
Zesłał na wojsko zarazę morderczą i rzesze ginęły —
Za to, że król Agamemnon znieważył Chryzesa, kapłana.
Chryzes oto podążył do chyłych okrętów Achajów,
By uwolnić swą córkę, a okup przynosił ogromny,
W rękę miał berło złociste zdalacelnego Apolla,
Na nim girlandy welniane. I korne zaniósł błaganie
Do Achajów, najbardziej zaś wodzów ich, obu Atrydów:

„Synowie Atreja i inni golemiozbrojni Achaje,
Niech wam pozwolą bogowie, co na Olimpie mieszkają,
Zburzyć Priamów gród i do kraju szczęśliwie powrócić.
Ale zwolnijcie mi dziecko najdroższe i weźcie ten okup,
Przed synem się korząc Dzeusowym, zdalacelnym Apollem.”

Wówczas Achajów tłum potakiwał życzliwym pomrukiem,
By uszanować kapłana i przyjąć okup bogaty.
Lecz obruszył się na to król Agamemnon Atryda,
Który go wygnał okrutnie, te twarde słowa wyrzekłszy:

„Niech cię ja, starcze, nie spotkam tu więcej u wklęsłych okrętów!
Ani mi teraz nie marudź, ani tu później nie wracaj;
Bo nie pomoże ci wtedy Apollina berło czy wieniec.
Ja nie wypuszczę twej córki. O, prędzej дочека starości
W moim pałacu w Argosie, z daleka od milej ojczyzny,
Nad krosnami schyłona lub łożu moje sposobiąc.
Ty zaś ruszaj, nie drażnij mnie, abyś cało stąd uszedł!”

Rzekł, a przeraził się starzec i króla rozkazu usłuchał.
Poszedł w milczeniu wzdłuż morza, co przewalało się z szumem.
Potem ustronie znalazłszy, modlitwę zaniósł żarliwą
Do Apollona, potomka Latony o lokach trefionych:

„Słysz, Srebrnoluki, me modły, o ty, co otaczasz swą pieczę
Chryzę, Killi świętej patronie i władco Tenedu.
O Smintejczyku, jeżeli ci kiedy храм wdzięczny zbudował,
Jeśli ci tuszczem kapiące na zbożne palił ofiary
Udźce byków czy kóz, wysłuchaj mego błaganie:
Ukarz, o boże, Danaów za łyż moje twymi strzałami!”

Tak oto modlił się Chryzes. Wysłuchał go Fojbos Apollon:
Ruszył z wierchołków Olimpu, a serce mu gniewem płonęło,
Łuk na ramionach unosił i kołczan w okół zamknięty.

Strzały mu z barków, gniewnemu bogu, dzwoniły rozgłośnie
Wraz za każdym krokiem; on szedł zaś do nocy podobny.
Przysiadł następnie opodal okrętów i pocisk wypuścił:
Brzęk się rozległ pośpepny z cięciwy łuku srebrnego.
Najpierw muły poraził Apollon i psy śmigłonogie,
Potem zasię na mężów swój grot skierowawszy niechybny,
Bił; a gęste wnet stopy z trupami płońć poczęły.

Dziewięć dni po obozie srożyły się boże pociski,
Dziesiątego na wiec zastępy zwołał Achilles.
Myśl tę poddała mu Hera, bogini białoramienna,
Żal ją bowiem zdjął, gdy widziała, jak marli Achaje.
Skoro się już zgromadzili i wiec się rozpoczął powszechny,
Powstał wśród nich szybkonogi Achilles i wyrzekł te słowa:

„Widzi mi się, Atrydo, że teraz przypadnie nam wszystkim
Los tułaczki powrotnej, jeżeli śmierć nas ominie,
Kiedy wojna po społu z zarazą powali Achajów.
Żywo więc, wieszczka jakiegoś poradźmy się albo kapłana
Czy też snów wykładacza (boć także sen jest od Dzeusa),
Żeby wyjawił nam, czemu tak srodze rozsierzdził się Fojbos,
Czy o złamany gniewa się ślub, niezłożenie stuwołu —
A może ofiamy dym z baranów i kozłów dorodnych
Sprawi, że dopust moru oddali od nas Apollon.”

Rzekł tak Achilles i usiadł. A z miejsca swego się podniósł
Kalchas, Testorów syn, ptasich lotów najlepszy wykładacz.
Wiedział on wszystko, co było, co jest i co miało nastąpić,
On też okręty Achajów na Troję wiódł, bo Apollon
W jasnowidztwa wieszczego dar wyposażył go szczodrze.
Teraz, chcąc pomóc Achajom, w te słowa do nich przemówił:

„Miły Dzeusowi Achillu, polecam ci tu tutaj
Mówić o gniewie Fojbosa, zdalacelnego mocarza.
Powiem jak każesz, lecz ty mi przysięgnij po dobrej rozwadze
Bronić mnie zawsze ochotnie, osłaniać mnie słowem i czynem.
Dobrze bowiem ja wiem, że władcę rozgniewam możnego,
Pana wszystkich Argiwów, którego słuchają Achaje.
Zbyt potężny jest król, gdy niższy go stanem rozjątrzy:
Jeśli nawet na razie swą wściekłość potłumi i przełknie,
Przecież zachowa ją w głębi swej piersi tak długo, aż zemsty
Dziela dokona. Więc powiedz, czy mnie w potrzebie ochronisz.”

Na to odparł wróżbicie Achilles o nogach polotnych:
„Dobrej bądź myśli i snadnie nam wyjaw swą wieszczą wyrocznię.
Na Apollona, miłego Dzeusowi, Fojbosa, któremu
Słuchasz, Kalchasie, i w jego imieniu tu nam prorokujesz,
Nikt, dopóki ja żywię i ziemię oczyma oglądam,
Nikt z Danaów nie zrobi ci krzywdy u wklęsłych okrętów,
Nawet gdyby to był sam król Agamemnon Atryda,
Co to najznamienitszym ze wszystkich Achajów się mieni.”

Wówczas nabrał odwagi i ozwał się wieszczek wybomy:
„Nie o złamany bóg gniewa się ślub, niezłożenie stuwołu,
Lecz z powodu kapłana, którego znieważył Atryda,
Nie uwolnił mu córki i nie wziął okupu szczodrego.

Przez to zesłał cierpienia Apollon i jeszcze je ześle.

I nie pierwszej oddali obrzydły mór od Danaów,
Aż bystrooką dziewę zwrócimy ojcu miłemu
Bez okupu — i świętą stuwolę zawieźmiem ofiarę
Do Killi. Wtedy zdolamy Fojbosa może przebłagać."

Rzekł tak Kalchas i usiadł, a z miejsca podniósł się gniewnie
Król Agamemnon Atryda, szerokowładny bohater.
Krew rozjątrzona mu czarnym bluznęła w serce zalewem,
Oczy zaśie płonęły do ognia żywego podobne.
Wzrok złowrogi w Kalchasa utkwivszy, w te słowa przemówił:

Wrózu nieszczęścia, nigdyś mi ty nic dobrego nie wieścił,
Zło przepowiadać jest zawsze najmiłsze sercu twojemu,
Zacne zaśie prorocstwo lub czyn — do tegoś niezdolny.
Tak i teraz Danaom ogłaszasz swoją wyrocznię,
Że dlatego ich nęka Zdalekacelną plagami,
Iż ja bogatego okupu za dziewczkę Chryzejdę nie chciałem
Przyjąć, lecz właśnie wolałem posiadać ją w domu dla siebie.
Miłsza mi bowiem jest snadnie od mojej ślubnej małżonki,
Klitemnestry, a ta nie przewyższa jej niczym: bo obie
Równie są piękne i smukłe, przemyślne i zdadne do robót.
Ale i tak ja oddam Chryzejdę dla dobra Achajów;
Nie chcę sprowadzać ich zguby, szczęśliwie niech ocaleją.
Wy zaś nagródzcie mi to rycerskim darem zdobycznym,
Żebym jedyny nie został bez daru, boć to się nie godzi.
Wszyscy przecież widzicie: com dostał, odchodzi ode mnie."

Na to królowi rzekł szybkonogi boski Achilles:
„Synu Atreja przesławny, najchciwszy ze wszystkich Argiwów,
Jakież to mogą ci dać wielkoduszni Achaje nagrodę?
Czy gdzie widzisz tu u nas zdobyczy stopy bogate?
To, co złupiliśmy z miast, to wszystko dawno rozdano,
A nie godzi się znowu tych łupów odbierać rycerstwu.
Ty odesłaj dziewczkę, jak żąda bóg, a Achaje
Trzykroć, czterokroć nagrodzą cię w dniu, w którym kiedyś
Dzeus da nam Troi gród o murach warownych wziąć szturmem."

Władny król Agamemnon odrzecz na to w te słowa:
„Mężem jesteś wspaniałym, do bogów podobny Achillu,
Lecz mnie oszukać nie próbuj, bo podejść się nie pozwolę.
Chcesz-li samemu mieć dziewczkę zdobyczną, a żebym ja swoją
Oddał i siedział spokojnie, złupiony z tego co moje?
Albo przyznaję zdobycznym mi dar wielkoduszni Achaje,
Taki, co będzie mi miły i godny straconej Chryzejdy.
Albo, jeśli nie dadzą, ja sam sobie wezmę, co zechcę:
Twoją część łupu, Ajasa lub przemyślnego Odyssa.
Może wtedy się sierznić ten z was, którego to spotka!
O tym wszystkim atoli czas będzie myśleć i później.
Teraz spuśćmy co żywo na boskie morze łódź czarną,
W niej jak się patrzy zgromadźmy wiosłarzy, zwierzętą ofiame
Też załadujmy i wraz pięknicą Chryzejdę umieśćmy.
Jeden zaś mąż niech będzie dowódcą do rady sposobnym,
Ajas czy Idomenej czy bogom podobny Odysej

Albo ty, najgroźniejszy ze wszystkich rycerzy, Pelido,
Jedź, by składając ofiarę, przebłagać Zdalekacelnego."

Patrząc na niego spode łba, Achilles rzekł szybkonogi:
„Och, ty bezwstydnym chciwcze, węszący chytrze za zyskiem,
Dziw, że masz posłuch ochotny, gdy rozkaz dajesz Achajom
Na wyprawę wyruszyć czy iść do boju na wrogów!
Nie przez Trojan włóczników przybyłem ja tutaj, by walczyć,
Nie skrzywdziłem mnie w niczym i ja nie mogę ich winić.
Nie uprowadził mi nigdy z nich żaden król czy rumaków,
Ani w mej Ftyi, co mężów swą żyzną rolą wykarmia,
Nie niszczyli mi pólów — boć siła świata oddała
Troję od Ftyi: i morze huczące i gór mroczne pasma.
Lecz gwoli ciebie, nędzniku bezwstydnym o ślepiach sobacznych,
Powolni twej chęci na Trojan ruszyliśmy, broniąc honoru
I Menelaja i twego, choć ty wolisz tego nie pomnić.
A oto teraz grozisz, że łup mi odbierzesz rycerski,
Znojem bitewnym zdobyty, przez synów achajskich mi dany.
Nigdy też mnie nie dostaje się równa twojej części łupu,
Ileokroć wezmą Achaje gród jakiś ludny Troady.
Trud zaiste najcięższy na wojnie o wściekłych podrutach
Moim przypada ręką, lecz kiedy zdobyc się dzieli,
Najwięcej dostaje się tobie, a mnie sprawia radość i krzyknia —
Biorę ją, bojem uznojon, i idę z nią na okręty.
Teraz zaś wracam do Ftyi, boć przecie lepiej jest snadnie
Na krzywodziobych okrętach do kraju jechać, niż tutaj
Daś się łupić niesławnie i skarby dla ciebie gromadzić."

Wówczas taką odpowiedź dał mężów pan, Agamemnon:
„Owszem, uciekaj, jeżeli do tego dusza cię skłania.
Nie będę cię błagał, byś dla mnie tu został; toć jeszcze są inni,
Którzy mnie darzą szacunkiem, a pierwszym z nich Dzeus, cny doradca.
Żaden tu król bogumili nie jest mi tak, jak ty, wrogi;
Wasi i walki i zwady są zawsze tobie najmiłsze.
Jeśliś, Achillu, jest silny, tę siłę masz z łaski boga.
Bierz swą drużynę i wsiadaj na statki i ruszaj do kraju,
Władaj tam Myrmidonami — ja nie dbam, byś tu pozostał,
Ani mnie gniew twój obchodzi; lecz to ci wręcz zapowiadam:
Skoro zabiera mi moją Chryzejdę bóg Fojbos Apollon,
Poślę na statku ją wraz z załogą mych własnych żołnierzy,
Sam zaś pójdę do twego namiotu i sam uprowadzę
Pięknicą Bryzejdę, twą brankę zdobyczną, byś wiedział,
Żem potężniejszy od ciebie i aby nikt inny też nie śmiał
Mienić się równym mnie i mierzyć się ze mną beczelnie."

Tak oto rzekł, a w Pelidzie boleśnie krew się wzburzyła,
Serce zaś w piersi kosmatej wahało się, co by uczynił:
Czy dobywszy ostrego miecza, co miał go u boku,
Wojsko poderwać do buntu i króla Atrydę uśmiercić,
Czy też wściekłość okiełzać i w ryzach gniew swój utrzymać.
Kiedy więc tak to wszystko w umyśle ważył i sercu
Z pochwy miecz wyciągając ogromny, zstąpiła Atena
Z nieba. Posłała ją Hera, bogini białoramienna,

Obu ich bowiem wraz ogarniała miłością i troską.
 Za Achillesem stanęła, za płowy włos go chwyciła
 Pallas, by jemu się tylko objawić, a z innych nikomu.
 Zdumiał się heros, obrócił się w tył i w chwili tej samej
 Poznał boginię Atenę; a płomień jej oczu przerażał.
 Wówczas Pelida do onej w te słowa się ozwał skrzydlate:

„Czemuż tutaj przybyłaś, o córo Egidodzierzcy?”

Czy aby widzieć zuchwałstwo Atrydy Agamemnona?
 Więc oświadczam ci szczerze i to, jak myślę, się spełni:
 Obelżywą swą pychę on rychło życiem przypłaci!”

A modrooka bogini Atena odrzekła mu na to:

„Gniew twój uśmierzyć przyszedł i tuszę, że spełnisz mą wolę.
 Hera posłała mnie z nieba, bogini białoramienna,
 Obu was bowiem po równi ogarnia miłością i troską.
 Żywo więc, wasni poniechaj i miecza z pochwę nie ciągnij;
 Możesz wszelako grozić Atrydzie i kasać go słowem.
 Przepowiadam ci zaś i to na pewno się spełni:
 Przyjdzie dzień, kiedy dary trzykrotnie bogatsze otrzymasz
 Za zniewagę dzisiejszą. Więc zdzierż i bądź nam powolny!”

Na to odparł Atenie Achilles o nogach polotnych:

„Wasze rozkazy, boginie, szanować godzi się snadnie,
 Chociażby czleka gniew trawił srogi; tak bowiem lepiej.
 Bo kto bogom posłuszny, słuchają próśb jego bogi.”

Rzekłszy tak ciężką dłoń na srebrną opuścił rękojeść
 I słowom Ateny posłuszny, do pochwy wepchnął miecz wielki.
 Pallas zasię na Olimp wstąpiła, do bogów siedziły,
 Gdzie w przybytku swym władał sam Dzeus, egidę dzierzający.

A Pelida na nowo jał pełne jadu wyrazy
 Miotać na króla Atrydę, gdyż wcale nie zbył się gniewu:

„Opoju, masz ślepie bezczelne jak pies, a serce jelenia!

Ruszyć zbrojno do boju na czele achajskich zastępów
 Lub na zasadzkę wyprawić się wraz z najtęższymi wojami,
 Na toś się nigdy nie zdobył, gdyż groźba cię śmierci przeraża.
 Pewnie, o wiele jest lepiej w rozległym obozie Achajów
 Dary zabierać zdobyczne, gdy ktoś się tobie sprzeciwi.
 Na własnym ludzie żerujesz, boś władcą jest słabych nędzników.
 Gdyby nie to, Atrydo, nie mógłbyś ponowić swych zniewag.
 Ale toć uroczyste oświadczam i świącie przysięgam:
 Klnę się na berło to moje, co nigdy już liści ni pędów
 Nie zdoła wypuścić, gdy raz zostawiło swój pień w górskim lesie,
 Ostrze zasię toporu listowie mu zdarło i korę;
 Nie zazieleni się berło me. Teraz synowie Achajów
 Dzierżą je w dłoniach, gdy w Dzeusa imieniu a w sędziów godności
 Stoją na straży praw. Więc wielka jest moja przysięga:
 Przyjdzie dzień, kiedy wszyscy zatęsknią synowie Achajów
 Za Achillesem; lecz wówczas ty nic im pomóc nie zdołasz,
 Patrzac w rozpacz, jak trupem ścielą się gęstym od miecza
 Mężobójcy Hektora. I serceć rozdierać się będzie
 Z żalu, żeś rzucił zniewagę pierwszemu z rycerzy achajskich.”

Tak powiedział Pelida i berło cisnął o ziemię
 Cwieki złotymi raz w raz nabijane; a sam zasię usiadł.
 Naprzeciw Atrydą wciąż kipiał wściekłością. Wówczas to powstał
 Nestor nadobnosłowy, ów dźwięczny mówca pylijski.
 Z jego języka płynęła wymowa słodsza od miodu.
 Dwa pokolenia ludzi śmiertelnych już ziemia pokryła,
 Które ongi w poświętym Pylosie za jego pamięci
 Przyszły na świat i wzrosły: on teraz nad trzecim panował.
 Pragnąc pomóc zwaśnionym, w te słowa do nich przemówił:

„Biada nam, żalność ogromna na całą spada Achaję!

Cieszyć się mógłby zaiste król Priam i dzieci Priama,
 Radość wielką przejęłaby każde serce trojańskie,
 Gdyby wieść do nich doszła o zwadzie zawziętej was obu,
 Którzy stoicie na czele Danaów i w radzie i w boju.
 Więc posłuchajcie mnie — obaj jesteście wszak młodszy ode mnie.
 Niegdyś z jeszcze lepszymi, niż wy, przestawałem mężami,
 A przecież nigdy mi czci nie skąpili, szanując mnie wielce.
 Nie widziałem zaiste i chyba więcej nie ujrzę
 Takich jak Pejritoosa, Dryasa, ludu pasterza,
 Eksadiosa, Kajneja czy Polifema boskiego
 Lub Tezeusza równego niebianom, potomka Egeja.
 Najmocarniejsi to byli mężowie ze wszystkich na ziemi,
 Sami najmocarniejsi i z mocarnymi walczyli,
 Z potworami górskimi — i tym sprawili rzeź srogą.
 Do takich to ludzi przybyłem z Pylosu dalekiej krainy,
 Stowarzyszyłem się z nimi, bo mnie do siebie wezwali.
 Boje toczyłem w ich gronie, lecz dbały o własną mą sławę.
 Żaden dzisiejszy śmiertelnik by tamtym w walce nie sprostał,
 A przecież słuchali mych rad, ze zdaniem moim się licząc.
 Tedy słuchajcie i wy, bo tak zaiste jest lepiej.
 Ty, choć najpierwszy, Atrydo, pozostaw brankę Pelidzie,
 Skoro synowie Achajów przyznali mu ją jako zdobycz;
 Ty zaś, Achillu, poniechaj zuchwałę z królem rozprawy.
 Godność jego nie równa jest twej, bo to król berłowladny
 I sam Dzeus egidę dzierzający obdarzył go chwałą.
 Jeśliś silniejszy od niego, zawdzięczasz to matce bogini,
 On zaś przedniejszy od ciebie, gdyż ludem rządzi liczniejszym.
 Agamemnonie, pohamuj swój gniew i — błagam cię, królu —
 Przystań się srożyć przeciwko Pelidzie, co wszystkim Achajom
 Jest jako szaniec obronny, potężny, w strasliwej tej wojnie.”

Władny król Agamemnon odrzeczł na to w te słowa:

„Pewnie, starcze, to wszystko, coś rzekł, sprawiedliwie nam rzekłeś.
 Ale ten człowiek chce ponad całe wywyższać się wojsko,
 Panem chce być nad wszystkimi i rząd nad wszystkimi sprawować,
 Wszem rozkazywać, lecz wiem, że jest ktoś, kto się przed nim nie ugnie.
 Jeśli wieczni bogowie zrobili go chrobrym rycerzem,
 Czyż dlatego ma prawo obelgi miotać na innych?”

Patrzac na króla spode łba, odrzeczł boski Achilles:
 „Na tchórza lichego bym miano zasłużył, nędznika niesławę,
 Gdybym był gotów się poddać każdemu słowu twojemu.”

Innym sobie rozkazuj, bo ze mną to na nic się nie zda,
Ja nie myślę się korzyć przed tobą ni być ci posłusznym.
Ale to ci oświadczam i to niech ci w duszę zapadnie:
Walczyć nie będę ja z tobą ni z nikim innym o dziewczkę,
Coście mi najpierw ją dali, a teraz mi ją zabieracie;
Lecz z reszty zdobyczy, co jest u chyżego czarnego okrętu,
Nic na przekór mej woli nie weźmiesz i nie uprowadzisz.
Chcesz, to — żywo! — popróbuj: niech widzą wszyscy naokół,
Jak twa krew czarną strugą po włócznie mojej popłynie!”

Tak to się obaj wodzowie gniewnymi słowy swarzyli.
Teraz powstali i skończył się wiec u okrętów Achajów.
W obóz poszedł Pelida namiotów i kształtnych okrętów,
A z nim wraz jego drużyna i syn Menojtiosa, Patroklos.
Atryda zaś zepchnął rozkazał na słone morze łódz chyżą,
Wybrać dwudziestu wioślarzy, ofiarne woły dla boga,
Za czym wprowadził na pokład Chryzejdę o licach nadobnych;
Jako wyprawę zaś wódz Odysseusz wyruszył przemyślny.

Ci więc, wsiadłszy na łódz, popłynęli wodnymi szlakami.
Wojsku zaś król oczyszczalną nakazał kąpiel Atryda,
Myli się tedy rycerze i w morze brud swój zrzucali;
Potem Apollonowi bogate składali ofiary
Z byków i kóz na wybrzeżu jałowej morza pustyni;
I skrzy się dymu wznosiły ku niebu wraz z wonią tłustości.

Tak się krzątano w obozie; atoli król Agamemnon
Nie zapomniał sporu i tego, czym groził Pelidzie.
Wezwał do siebie wraz Taltybiosia i Eurybatesa,
Swoich heroldów i giermków skwapliwych i tak do nich rzecze:

„Do namiotu pośpieszcie Achilla, syna Peleja,
I przywieźcie mi tutaj Bryzejdę o licach nadobnych.
Jeśli zaś on jej nie wyda, naówczas ja sam po nią przyjdę
Z kupą zbrojnych i wezmę ją siłą — tym gorzej dla niego.”

Tak to ich wysłał Atryda, ów twardy rozkaz wydawszy.
Poszli niechętnie skrajem jałowej morza pustyni,
Aż w myrmidońskim stanęli obozie namiotów i statków.
Przed namiotem siedział Achilles, przy czarnym okręcie,
Tam go znaleźli. Lecz ów, gdy ich zoczył, radości nie doznał.
Oni stanęli strwożeni, nie śmieli spojrzeć na króla,
Głosu dobyć nie mogli i trwali przed nim w milczeniu.
Wówczas Pelida zrozumiał ich w duszy i tak do nich rzecze:

„Witajcie mi, cni heroldowie, zwiastuni Dzeusa i ludzi,
Bliżej podejdźcie! Nie wasza to wina, lecz wina Atrydy,
Który was oto tu do mnie przysłał po dziewczkę Bryzejdę.
Żywo, Patroklu, Dzeusowy potomku, wyprowadź dziewczynę
I heroldom ją wydaj. Niech oni mi będą świadkami
Przed szczęśliwymi bogami i przed śmiertelnymi ludźmi,
Przed tym królem zbójcekim, jeżeli kiedyś Achaje
Zapagną, bym od nich oddalił straszną klęskę zagłady.
Iście, zgubne szaleństwo zmoczyło duszę Atrydy,
Nie wie, co to spożerać zarazem w przeszłość i w przyszłość,
By ocalić Achajów, gdy walka dojdzie do statków.”

Tak oto rzekł, a Patroklos usłuchał druha milego.
Wyprowadziwszy z namiotu Bryzejdę o licach nadobnych,
Wydał ją posłom; i poszli z powrotem wzdłuż statków Achajów,
Wiodąc niechętną dziewczynę. Atoli boski Achilles
Usiadł w samotnym ustroniu, we łzach, z daleka od druhów
Na brzegu morza siwego; i patrząc na wodne bezmiary
Ręce wyciągnął i modły gorące do milej słał matki:

„Matko ma, skoro to życie, coś dała mi, trwać ma tak krótko.
Czci przynajmniej rycerskiej powinien był Dzeus mi nie skąpić,
Grzmiący z wyżyn Olimpu; a on i tę mi odebrał.
Oto król Agamemnon, szerokowładny Atryda
Zdobyczyn dla siebie zagrabił mi dar i honoru mnie zbawił.”

Tak się on żalił we łzach: usłyszała go cna pani matka,
W głębiach morskich siedząca u boku starca-rodzica.
Z wód wynurzyła się siwych, do mgły obłoku podobna,
I przy synu płaczącym przysiadła bogini Tetyda,
Pogładziła go czule i w te ozwała się słowa:

„Czemu płaczesz, mój synku? przez ból nawiedził twe serce?
Powiedz, nic nie ukrywaj w swej duszy, niech wiemy oboje.”

Z jękiem boleśnym odrzeczł Achilles o nogach połotnych:
„Wiesz przecie wszystko, a skoro wiesz, to pocóż mam mówić?
Na Tebę poszliśmy świętą, grodzisko Eetiona,
Tę zrównaliśmy z ziemią i wzięliśmy łupy niezmiernie.
Rozdzielili je wraz między siebie synowie Achajów,
A dla Atrydy wybrali Chryzejdę o licach nadobnych.
Wówczas Chryzes, jej ojciec, co jest Apollona kapłanem,
Przybył do chyżych okrętów Achajów w spiżę odzianych,
By uwolnić swą córkę, a okup przynosił ogromny,
W rękę miał berło złociste zdalacelnego Apolla,
Na nim girlandy wełniane. I korne zaniósł błaganie
Do Achajów, najbardziej zaś wodzów ich, obu Atrydów.
Wówczas Achajów tłum potakiwał życzliwym pomrukiem,
By uszarować kapłana i przyjąć okup bogaty.
Lecz obruszył się na to król Agamemnon Atryda,
Który go wygnął okrutnie, wyrzekłszy twarde doń słowa.
Gniewnie oddalił się Chryzes. A Fojbos Apollon wysłuchał
Jego modlitwy błaganej, gdyż wielce sprzyjał starcowi,
Zaczął więc razić Argiwów zgubnymi strzałami, a rzesze
Gęstym słały się trupem. I szyły boże pociski
W obóz szeroki Achajów. Naówczas mądry wróżbita
Wyrocznię wyjawiał nam wieszczą zdalacelnego Łuczніка.
Zaraz ja wtedy wezwałem Achajów, by boga przebłagać.
To rozwściekiło Atrydę, zerwał się z miejsca i groźbę
Cisnął we mnie — i oto ta groźba się teraz spełniła.
Łódz bystroocy Achaje połotną do Chryzy wysłał,
Na niej jest dziewa i dary bogate dla boga mocarza.
Młoda zaś Bryzejdę, przez synów mi daną achajskich,
Też heroldowie Atrydy zabrali mi właśnie z namiotu.
Jeśli więc możesz, matko, obrony użyć synowi.”

Idź na Olimp i zanieś do Dzeusa błaganie o pomoc,
Ty, co mu serce ucieszyć umiałaś uczynkiem i słowem.
Nieraz bowiem słyszałem, jak w ojca Peleja pałacu
Dumnie chlubiłaś się tym, że ty jedna z Olimpian od zguby
Ochroniłaś straszliwej Kronidę czarnochmurego.
Wtedy inni bogowie, Posejdon i Hera i Pallas,
Knuli spisek po spolu, by zakuć Dzeusa w kajdany.
Ale ty, o bogini, od więzów tych władcę zbawiłaś:
Sturękiego wezwiałaś olbrzyma na Olimp wysoki —
Briareusem bogowie go zwą, Ajgajonem zaś ludzie —,
Siła zaś jego jest taka, że ojca nią swego przewyższa.
Ten tedy zasiadł przy Dzeusie a groźna moc z niego biła;
Lęk zdjął bogów szczęśliwych i Dzeusa skować nie śmieli.
Teraz więc usiądź przy nim, podejmij go za kolana,
Tamto przypomnij i proś, by raczył pomóc Trojanom,
Zasię Achajów do morza, do statków niech zepchnie wśród rzezi.
Wtedy ukażą się wszem dobrodziejstwa, co król na nich zsyła,
A ujrzy też sam Agamemnon, szerokowładny Atryda,
Jakim szaleńcem był, gdy znieważył pierwszego z Achajów."

Na to tak mu odrzeczła Tetyda łzami zalana:
„Ach, moje dziecko, na zło cię zrodziłam, na zło wykarmiłam!
Czemuś nie siedział w obozie przy statkach bez łez, bez mozołów?
Przecież z losu wyroków nie długi pisany ci żywot.
I oto teraz przed śmiercią rychliwą żalosne dni pędzisz.
Zaiste, na twoje nieszczęście powiłam się, synu, w komnatach.
Pójdę na Olimp śnieżysty, do Dzeusa radego piorunom,
Wszystko to wiernie mu rzeknę, a może wysłucha mej prośby.
Ty zaś siedź, Achillesie, przy chyżych okrętach beczynnie,
W gniewie trwaj na Achajów i stroń uparcie od boju.
Dzeus bowiem wczoraj pośpieszył ku rzece Okeanowi
Na ucztę do cnych Etiopów, a z nim wraz wszyscy bogowie.
Za dni dwanaście powróci na Olimp — i wtedy dopiero
Pójdę zaraz do jego pałacu o progach spiżowych,
Podejmę go za kolana i myślę, że próśb mych wysłucha."

Rzekłszy tak Tetis odeszła i sam pozostał Achilles.
W duszy żuł gniew i tęsknotę za dziewą o pięknej przepasce,
Co mu ją wbrew jego woli zabrali. Tymczasem zaś Odys
Właśnie przybijał do Chryzy z wołami na świętą ofiarę.
Skoro tedy wpłynęli w okole głębokiej zatoki,
Żagle zwinęli i wraz na czarnym złożyli okręcie,
Liny masztowe zluźnili i maszt wpuszcili w imadło,
Wreszcie chwycili za wiosła i wwieśli łódź do przystani,
Zakotwiczyli i rufę do brzegu przycumowali.
Za czym sami na piach wyskoczyli i bydło ofiarne
Wyładowali dla boga, zdalekacelnego Apolla.
Gdy zaś Chryzejda na ląd z prującego morze okrętu
Zeszła, przemyślny ją Odys przed ołtarz zawiódł świątynny,
Oddał ojcu milemu i w te odezwał się słowa:
„Mężów pan Agamemnon, Chryzesie, wysłał mnie tutaj,
Każąc zwrócić ci córę, Febowi zaś świętą ofiarę

Złożyć gwoździ Danaów, ażeby przebłagać mocarza,
Co oplakane dopusty na rzesze zesłał Argiwów."

Rzekł i w ręce ojcowskie Chryzejdę oddał, a starzec
Dziecię swe miłe przytulił radośnie. Tymczasem zaś tamci
Bydło na świętą ofiarę zebrali przy kształtnym ołtarzu
I po ablucji rąk garść jęczmion wzięli ofiarnych,
A Chryzes wśród nich wyciągnął ramiona i takie wznosił modły:
„Słysz, Srebrnoluki, me modły, o ty, co otaczasz swą pieczę
Chryzę, Killi świętej patronie i władco Tenedu!
Oto spełniłeś, o boże, o com cię prosił gorąco:
Przywróciłeś mi cześć, poraziłeś zaś rzesze Achajów.
Więc i dzisiaj powtórnie wysłuchaj mego błagania:
Zechciej już ninie oddalić obrzydły mór od Danaów!"

Tak oto modlił się ów i wysłuchał go Fojbos Apollon.
Tymczasem przybysze wśród modłów ofiarne sygnęli jęczmiona,
Bydłom zadarli łby, poderżnęli gardziele i skórę
Zdarli z nich, udźce wycięli i w platy je tłuszczu podwójne
Spowili, a zasię na wierzchu znów mięs kawały złożyli.
Piekł je starzec na szczapach i zlewał perlącym się winem;
Wokół stali młodzieńcy, a każdy miał rożen-pięciozęb.
Skoro się udźce spaliły, pojedli serc i wątroby;
Resztę w drobniejsze pocięto kawałki, nadziano na rożny,
Zmyślnie pieczono i wreszcie ściągnięto z ognia mięsiwo.
Gdy ukończyli zaś pracę i była gotowa biesiada,
Syccili się jadłem porówni a w bród, ile dusza zapagnie.
Gdy zaś żądzę napitku i jadła głód ukoili,
Wina po brzegi w amfory mieszalne nalali giermkowie,
Krople ofiarne strząsnęli i wkrag napelnili puchary.
Dzień ten synom Achajów na pieśniach zeszedł, bo chcieli
Łaskę śpiewaniem odzyskać zdalekacelnego Łucznika;
Hymn więc zawiedli mu piękny, a bóg ich słuchał z radością.

Skoro już słońce zaszło i wraz zapadły ciemności,
Ułożyli się do snu Argiwi na statku przy rufie.
Gdy błysła ze świtu zrodzona różanopalcą jutrenka,
W drogę ruszyli znów tam, gdzie rozłożył się obóz Achajów,
A wiatr pomyślny im zesłał zdalekacelnego Apollon.
Ustawili więc maszt i białe żagle rozpięli,
A te się wyduły, gdy wichur w nie wpadł i uderzył sam środek;
Ciemna fala syczała rozgłośnie, gdy prul ją dziób łodzi,
Drogę sobie torując przez morskie wzburzone odmęty.
Kiedy przybili tam, gdzie rozłożył się obóz Achajów,
Na wysoki piaszczysty brzeg wyciągnęli łódź czarną;
Spoczęła na ziemi, a spód jej na długich żerdziach oparto.
Tamci zaś wnet się rozeszli po swych namiotach i statkach.

Boski tymczasem Peleja syn, szybkonogi Achilles,
Siedział u chyżych okrętów, a gniew w nim wrzał nieustannie.
Ani na wiecach rycerskich, co mężom sławę przynoszą,
Ani się w boju nie zjawiał, lecz tylko w serca udręce
Marniał, a duszę mu żarła tęsknota za wrzawą bitewną.

Ale kiedy dwunasta jutrenka weszła poranna,
Nieśmiertelni bogowie na Olimp wrócili po społu,
Na ich czele szedł Dzeus. Tetyda zaśię bogini,
Pomna synowskich prośb, skoro świt wynurzyła się z morza
I w przestworza się wzniosła ku niebu, na Olimp ogromny.
Wszzechwidzącego Kronidę znalazła z daleka od innych:
Spoczywał na szczycie najwyższym Olimpu o licznych wierzchołkach.
Przy nim usiadła bogini, podjęła go za kolana
Prawą ręką, a lewą podbródka dotknęła moczara
I poczęła tak prosić władnego Dzeusa Kronidę:

„Ojcie Dzeusie, jeżeli ci kiedy wśród bogów wieczystych
Czynem czy słowem pomogła, wysłuchaj mego błagania:
Przywóć cześć synowi mojemu, co młodo ma umrzeć.
Bo oto król Agamemnon, szerokowładny Atryda
Zdobyczny zagroził mu dar i honoru go zbawił.
Pomścij go tedy, o Dzeusie, najmędrzy spośród Olimpian:
Daj tak długo zwyciężać Trojanom, dopóki Achaje
Czci nie oddadzą powinnej synowi i długu nie spłacą.”

Tak powiedziała, a Dzeus chmurowładny nie odrzekł nic na to,
Długo siedząc w milczeniu; a Tetis ciągle uparcie
Nie puszczała kolan Dzeusowych i tak znowu rzekła:

„Daj obietnicę mi pewną i potwierdź głowy skinieniem
Albo odmów mi wprost, wszak nie boisz się, ja zaś się dowiem,
Że ze wszystkich najmniej poważaną jestem boginią.”

Z sercem strapionym odrzecz Tetydzie Dzeus chmurowładny:
„Zła to sprawa, nieszczęsna. Toć chcesz, bym ściągnął na siebie
Hery nienawiść! O, ta na mnie natrze językiem kąśliwym.
Ona przecież i tak wobec bogów wieczystych bez przerwy
Swarzy się ze mną i mówi, że Trojan w boju wspomagam.
Ty więc odejdz teraz, bo może cię Hera zobaczyć;
Ja zaś rozważę i starań dołożę, by spełnić twą prośbę.
Patrz — oto mojej głowy skinienie, więc możesz mi ufać.
Pewniejszej bowiem rękojmi nie znają bogowie wieczyści:
Nieodwołalne, rzetelne i zawsze spełnione jest wszystko,
Na co dam obietnicę i głowy potwierdzę skinieniem.”

Rzekł i brwiami ciemnymi Kronida skinął potężny,
A nieśmiertelne kędziory z boskiego głowy moczara
Fala spłynęły. I zadrżał ogromny Olimp w posadach.

Po tej naradzie rozeszli się. Z jaśniejszego Olimpu
Tetis w morskie śmignęła głębiny, a Dzeus gromowładny
Poszedł do swego pałacu. Podnieśli się z miejsc swych bogowie
Wszyscy po społu, ujrawszy rodzica, bo żaden z nich nie śmiał
Przyjąć go siedząc, lecz oto gromadnie przed nim powstali.
On zaś zasiadł na tronie. Wszelako Hera przejrzała
Tajne narady i plany misterne, co z nim budowała
Srebrnonoga Tetyda, morskiego starca latorośl.
Wnet skierowała do Dzeusa Kronidy te słowa zjadliwe:

„Któż to z bogów znów z tobą spiskował, zwodniku podstępny?
Zawsze najmiłsze ci jest ukradkiem coś postanowić,

Kiedy mnie nie ma w pobliżu; a nigdy chęć ci nie przyszła,
Aby szczerze się ze mną zamiary swymi podzielić.”

Odpowiedział jej na to cny rodzic bogów i ludzi:
„Hero, nie żyw nadziei znać wszystko, co tylko zamyszę;
Choć małżonką mi jesteś, nie zdzierzysz pojąć mych planów.
Co ci wszelako usłyszeć przystoi, nikt inny zaiste
Z bogów ni ludzi śmiertelnych nie dowie się o tym przed tobą.
Ale jeżeli zapragnę bez wiedzy coś bogów zamyslić,
Ty nie wypytuj mnie o to ciekawie i nie bądź natrętna.”

Na to odpowie mu tak wolooka Hera władczyni:
„Synu Kronosa straszliwy, i cóż to za słowa wyrzekłeś?
Wszakże dotąd nie zwykłam cię pytać o nic natrętnie;
Zawsze roztrząsas w spokoju, co chcesz obmyślić samotnie.
Ale oto przejmuję mnie lęk, że zmała cię słowem
Srebrnonoga Tetyda, morskiego starca latorośl;
Bo rano przy tobie usiadła, podjęła cię za kolana
I myślę, żeś przyrzekł jej głowy skinieniem przywrócić Pelidzie
Cześć, a skazać na rzeź u okrętów zastępy Achajów.”

Na to odrzecz bogini w te słowa Dzeus chmurowładny:
„Zawsze, nieszczęsna, w domysłach się gubisz i trudno przed tobą
Ukryć coś; ale i ty wbrew woli mej nic nie osiągniesz,
Chyba tylko mą niechęć, a toć nie wyjdzie na dobre.
Jeśli to prawda, coś rzekła, to tak mi się właśnie podoba.
Siadaj zatem i milcz, posłuszna słowu mojemu,
Bo nie pomogą ci tutaj Olimpu wszyscy bogowie,
Kiedy zechcę na ciebie me ręce podnieść potężne.”

Rzekł, a ogarnął lęk wolooką Herę władczynię,
Cicho usiadła i duszę miłą ugięła pokornie.
Sposepniali bogowie niebiańscy w pałacu Dzeusowym;
Ale wnet Hefajst, słynący swym kunsztem, jął mówić, by pomóc
Matce swej miłej, Herze, bogini białoramienną:

„Zła to jest sprawa i snadnie nieżnośne sprowadzi dopusty,
Jeśli wy dwoje będziecie się swarzyć z powodu śmiertelnych
W waśni zawziętej wśród bogów. Nawet szlachetna biesiada
Miła nie będzie nam, jeśli wśród nas się złość rozpanoszy.
Matce więc radzę, choć sama to wie najlepiej, ażeby
Z Dzeusem, miłym nam ojcem, pojednać się chciała, by znowu
Nie rozszarpał się rodzic i uczył nie zmać nam gorzko.
Jeśli przyjdzie mu chęć, olimpijski władca błyskawic
Precz z niebiańskiej nas strąci siedziby, bo moc ma niezmierną.
Ty więc zmiękczyć jego serce, o matko, słowy ciepłymi,
A wtedy wnet Olimpijczyk łaskawość nam swoją okaże.”

Rzekł i powstał pośpiesznie i puchar dwuuszny ująwszy,
Podał go matce miłej i w te odezwał się słowa:

Zdierz, moja matko, i żal swój okielzaj, choć pierś ci nurtuje.
Nie chcę cię bowiem, najdroższa, na własne oczy zobaczyć
Bitej! O, wtedy — choć strapion — nie zdołam ci pomóc ni trochę:
Straszny jest przecież władca Olimpu, gdy stawić mu czoła.
Wszakżem już raz się wysilał daremnie, by ciebie obronić.
On zaś za nogę mnie chwycił i cisnął, strącając z nieb progu.

Dzień calutki spadałem, aż duch ze mnie prawie uleciał,
Dopiero o słońca zachodzie na Lemnos ległem półżywy;
Tam mnie Syntiowie podnieśli, zabrali i dali gościnę."

Rzekł; uśmiechnęła się Hera, bogini białoramienna,
Wzięła z rąk syna pucharek, a uśmiech nie schodził z jej lica.
Zasię Hefajstos ją teraz nalewać z amfory mieszalnej
Słodki nektar kolejno wszystkim innym niebianom.
Niepokromiony wnet śmiech wśród bogów wybuchł szczęśliwych,
Gdy po pałacu Hefajstos uwijał się, kuśtykając.

Tak to przez cały dzień ucztowali do słońca zachodu,
Sycąc się jadłem porówni a w bród, ile dusza zapragnie;
Na precudnej formidze przygrywał im Fojbos Apollon,
Muzy zaś głosy wdzięcznymi śpiewały pieśni na zmianę.

Ale kiedy świetlisty krąg słońca w ciemności się zapadł,
Na spoczynek się wszyscy rozeszli do siebie bogowie,
Gdzie każdemu z niebianów przybytek zbudował domowy.
Umiejętnym swym kunsztem Hefajstos, przesławny kulawiec.
A Dzeus, olimpijski władca błyskawic, w łóżnicę swą wstąpił,
W której zawsze zwykł spać, gdy sen go słodki ogarnął:
Tam oto spoczął bóg przy Herze, co tron miała złoty.

Ignacy WIENIEWSKI

Baśka i Barbara

PIERWSZA UCZENNICA

Mademoiselle Henriette mierzy mnie wzrokiem znad okularów, znad śpiczastego nosa. Ma kołnierzyk z kremowej koronki, krzywo spięty pod szyją koralową broszką. Stoi na schodkach, w ręku trzyma łańcuszek od dzwonka. Dzwonek wisi nad wejściem do „dużych” klas, jest pokaźny, pękaty, taki jaki u nas na wsi zwykł wołać ludzi na południe.

I jak nie szarpnie za łańcuszek! Dyń, dyńdyń, dyń, dyńdyń — zachłystuje się dzwonek nad moją głową. Ręka Mademoiselle Henriette, w mankieciku z kremowej koronki, nie popuszcza łańcuszka, emblematu swej władzy. Znad okularów, znad śpiczastego nosa, para oczu przewierca mnie na wylot. Co mi przypomina to spojrzenie? Robię się mała, malutka, coś bym chciała powiedzieć, usprawiedliwić się, ale dzwonek nie daje mi dojść do słowa. Zaraz dygnę i zacznę kręcić w palcach róg fartuszka. Dyń, dyńdyń! — dobija się dzwonek do drzwi klas, za którymi szum rośnie, jak w podrażnionym ulu.

— No, na ten raz — mówi wreszcie Mademoiselle Henriette nadzwoniwszy się do syta — zwalniam pani Barbarę. Ale na przyszłość proszę pamiętać, że to już nie przedszkole.

I puszcza łańcuszek, który jeszcze chwilę dynda i wycyznia łamańce na murze jakby przedrzeźniał sam siebie. Dyń, dyńdyń, coraz słabiej. Dy...ń — ostatni raz. I cisza.

Na podwórzu „dużych” dwa kasztany zrzucają już po trochu liście. Chrząści pod stopami żwir i te pozwijane, spieczone naleśniczki. Na ostatnie dy...ń dzwonka drzwi klas otwierają się i wychodzi wzorowa defilada. Ja myślę, że to nie przedszkole! Gęsiego, rączki w małdrzyk, grzecznie. Danielle, gdzie się spieszysz, Chantal, proszę się nie oglądać, Barbara...

Barbara z akcentem na ostatnim a.

Barbara już mnie widzi, przepadło, już łamie szereg.

— Mama, mówi na pół z płaczem, mama, ja nie chcę do takiej szkoły.

A tymczasem na podwórzu „małych” niefrasobliwy wrzask i bałagan. Mademoiselle Suzanne, najmłodsza z siostr, jeszcze komuś wyciera nos, komuś zdejmuje fartuch poplamiony farbami. W wielkiej skrzyni z piachem, w rogu podwórza, jakiś tłusty kopciuszek w skupieniu przebiera kamyki.

— Dlaczego, mówi moja Barbara, dlaczego jak człowiek skończy pięć i pół lat to już nie może do przedszkola?

Właśnie, dlaczego? Zgadza się z nią całkowicie. Za „moich” czasów zaczynało się szkołę w wieku lat siedmiu.

— No, a teczka? — próbuję perswadować. A piórnik? A... a tabliczka z rysikiem?

— Phi!, wydyma usta z pogardą. Przecież ja i tak już umiem pisać!

— Ale po polsku. A musisz jeszcze po francusku. I po angielsku i po niemiecku, dorzucam szybko, dla większego tłoku, żeby to nie był pojedynek Dawida i Goliata, małego polskiego domu z wielkim francuskim światem.

Popołudnie, darowane wyjątkowo, przez Mademoiselle Henriette, spędzamy na Champs de Mars przedszkolackim sposobem. U końca alei wieża stoi w rozkroku na swoich pokracznych nożyskach. Kiedy zadrzeć głowę do góry widać, jak się ta masa żelastwa chwieje, jak huśta się jej wierzchołek mocniej niż drzewa na wietrze, aż strach.

Na Champs de Mars od siurpryz aż się roi. Można pojeździć sobie na osiołku albo na karuzeli, wynudzić u mamy żółty balonik albo cukierka na patyku (dlaczego nie jedno i drugie? Dlaczego zawsze w życiu jedno albo drugie, wybieraj człowieku?). Można też przesiewać piasek przez sitko, albo zbierać liście, takie są teraz kolorowe. Jakby nigdy nic, jakby nie było szkoły, kłopotów, niefortunnnych pięciu i pół lat na karku.

— A Isia? — dopytuje się Baśka w autobusie. Czy ona też już nie może do przedszkola?

— Nie, Isia jeszcze może, bo jest mała. Więc nie będzie miała teczki jak ty. Ani piórnika. Ani nic.

To nieprawda, że teczka nie liczy się jako argument. Taka teczka! Śliczna, prawdziwa, którą można nawet, jeśli by się chciało, zamknąć na kluczyk. Albo piórnik, piórnik proszę państwa, także skórzany, nakrapiany w centki, ze swoim aksamitnym wnętrzem pełnym różności, niepokalaną gumką, nienapoczętym ołówkiem, strugaczką, obsadką, rysikiem... A tu jeszcze po drodze kupujemy zeszyty. Białe, nietknięte strony budzą pasję, nowy zeszyt, nowy rok, nowe życie, pierwsza strona kusi, biała plama na mapie.

Nazajutrz rano odstawiam córkę do furtki bez buntu i bez łez.

Furtka Basinej szkoły tai się między dwoma brzydkimi kamienicami na czarnej, przedmiejskiej ulicy zaczadzonej benzyną. Popycha się tę furtkę i bez siedmiomilowych butów jest się na wsi, na jakiejś najgłębszej prowincji, wcale nie koniecznie we Francji. Domek, gdzie mieszka Mademoiselle Henriette, dyrek-

torka, z siostrami, stoi bez żadnych pretensji, zgrzybiały, opatulony w grube poduchy drzew. W słońcu, w szczeliny ścian cisną się jakieś bluszcze, jakieś powoje, tu coś kwitnie, tam usycha, bez ładu i składu, w jesiennym pośpiechu. Okrągły klombik wywalczyły chwastom dalie i same zdziczały, beczceremonialnie pokrzyżowane ze sobą, skundlone. Mija się ten domek wąskim pasażykiem, gdzie za skraj płaszcza chwytają dziady łopianów, prosperujących pod murkiem. Werandę zamieszkują papugi. Jest ich cztery — żółta, niebieska i dwie zielone. Tylko jedna z nich gada. Wysadza żółty łeb przez pręty klatki i skrzeczy coś gardłowym, nieprzyjemnym tonem. Tamte siedzą naburmuszone i drzemia.

Zawsze przemycam chyłkiem, żeby nie zwrócić uwagi żółtej papugi. Ale gdzie tam! Już mnie zobaczyła. „Enkorrr... enkorrr” — wrzeszczy cudzoziemskim, przykrym akcentem.

Przed domem pań nauczycielek rozciąga się ogród, wąski jak kiszka. Jedna tylko ścieżka mieści się pośrodku, ale, choć taki niewielki, ogród ten przeważyl szalę. To dla niego zapisałam Baśkę do Mademoiselle Henriette, a nie do wielkich koszar miejskich.

Jest to właściwie nie ogród a sad, sadek i pachnie sadem. Po obu stronach jedynej ścieżki rosną drzewa, każdego po jednym, jak w raju: jedna wiśnia, jedna brzoskwinia, jedna grusza, jedna jabłoń. Aha, i jeden porzeczkowy krzak. Żółte pigwy jeszcze nie zerwane, obrodziły w tym roku tak, że każda gałąź omdlewa na swojej podpórce, obarczona ponad siły. Badyłe słoneczników poschły, wielkie łbiska ciążyą im ku ziemi. Ciekawe, co robi ze słonecznikami Mademoiselle Henriette? Łuska? Czy zostawia ptakom?

Na tej ścieżce zwalniam zawsze kroku, patrzę, wacham. Z werandy umilkło, już zeszedł z oczu cudakom. Grządka kapusty połyskuje fioletem, cóż za szlachetna jarzyna. W niektórych listkach przechowane krople przedwzorojszego deszczu.

Ogród wychodzi na podwórze „małych”. Mijam je z zalem, jeszcze nie przywykłam go mijać. Mademoiselle Henriette stoi już na schodkach „dużej” szkoły. Z kieszonki kostiumu wyjęła zegarek na srebrnym łańcuszku. Sprawdza godzinę. Grupa matek przerywa gadanie, patrzą na Mademoiselle Henriette, a Mademoiselle Henriette jak co dzień, od pięćdziesięciu lat, patrzy na zegarek, na to jak jej w rękę ubywa czasu, ubywa minuty, tej ostatniej minuty trzeciego dnia szkolnego roku. Już! Minęła. Chowa zegarek z powrotem do kieszonki, sięga po łańcuszek dzwonka, powoli, liturgicznie. Matki zwilżają wargi językiem, pełne emocji. Zadzwoń!

Trzeciego i czwartego dnia prawdziwej szkoły Baśka z nudy i rozpaczki przerzuciła się w skrajną gorliwość.

— Mam dziś masę lekcji do odrobienia! — mówi mi z ważną miną.

Zaglądam do notesika. Dwie linijki na trzeciej stronie pierwszej, francuskiej czytanki. Przepytyuję, myśląc sobie w du-

chu, czy też polski elementarz, przerobiony z chwałą, nie wejdzie jej w parę przy interpretowaniu francuskich samogłosek? Ale nie. *Ré, rè, rê* — czyta, jakby nigdy w ustach innego języka nie miała. A przecież ma, wiem najlepiej że ma, ten drugi język, a raczej ten pierwszy, a w głowie dwie przegródki, w jednej myśl, a w drugiej *la pensée*.

Była Baśka. Ale teraz jest już i Barbara. Z akcentem na ostatnim a.

Jestem zadowolona, ale coś mi mówi, że nie wolno zasypiać gruszek w popiele. Barbarę hoduje tutaj samo słońce, samo powietrze. Baśce spryjam tylko ja.

Kupujemy więc nową porcję zeszytów, zaczynamy na dobre zabawę w polską szkołę w domu. Na pierwszej, magnetycznej stronie kaligrafujemy: dyktando. Będą też stopnie. Jak szkoła to szkoła.

Ze stopniami w tej francuskiej szkole to doprawdy przesada. Zaraz na drugi dzień Baśka zażądała pudełeczka. Tylko żeby się dobrze zamykało.

— Na cóż ci znowu pudełeczko?

— Jakto? Na *bons points*.

I z triumfem otworzyła garść w której trofea, dwa czy trzy numerki z tektury.

Gorsze się, bo czy to pedagogiczne? Niepedagogiczne, pewnie, jak samo życie. Z miejsca wyścig i walka. Z miejsca współzawodnictwo. Za każdą odpowiedź, za każdy kulfonik na tabliczce, rysikiem, tyle i tyle punktów, takie i takie miejsce w kompetencji klasowej. Nie ma rady, te tryby już chwyciły, już nie puszczą. *Bons points* w pudełeczku, które się przelicza starannie każdej soboty, którymi się można dorobić *croix* na cały tydzień, a może nawet *croix d'honneur*, to jeszcze jeden atut dla Mademoiselle Henriette, dla Goliata.

Croix a nie krzyż albo medal, bo to nie to samo. Z rzeczą przychodzi słowo, z obcą rzeczą obce słowo, któż to u nas słyszał, żeby dla bachorów z miejsca urządzić takie kompetencje. Ale chowam krytyki dla siebie, na nic się nie zdało porównywać broń, która szlachetniejsza, lepiej przerzucić się na bardziej skuteczną. Pracujemy więc i my na punkty, dorabiamy się nie krzyżów a lizaków.

Rano szkoła, popołudniu szkoła. Cztery razy dziennie tam i z powrotem ulicą, zaczadzoną spalinowym gazem. Cztery razy dziennie furtka otwiera się w świat, który ma pozory swojskości. Bo już wiem, dlaczego zapisałam Baśkę tutaj, na początek. W radomskiej „Oświacie” czyż nie było takiego ogródka? Taki sam ogródek ślicznie zapuszczony, także, jesienią, jabłczane zapachy, takież koronkowy żabocik krzywo spięty broszką pod brodą pani dyrektorki. Tylko dzwonek w „Oświacie” był inny, ręczny, a potrzasała nim stróżka w fartuchu z czarnej alpagi. Wszystko zresztą inne, poza tym ogródkiem, tą broszką...

Dni mijają i francuska Barbara rozpycha się łokciami w skórce polskiej Baśki. Stoje w kuchni, patrzę podejrzliwie na

mleko, które jakby nigdy nie miało zamiaru wykipieć, niewinne, aż tu nagle wpada Baśka z wypiekami i rymś na kolana.

— *Au nom du Père et du Fils et de Sēsēsprī* — *ainsi-soit-il!* Umiem, woła triumfalnie, prawda, że umiem?

Bo to jest jeszcze lekcja, nie pacierz. Nie przychodzi jej do głowy, wieczorem, powiedzieć: *Notre Père*, choć też już umie. Bardzo się zdziwiła, gdy jej powiedziałam, że *le petit Jésus* to jest właśnie ta sama mała Bozia, którą ma w swojej stajence z tektury.

— To jak mu właściwie na imię? — pyta rzeczowo.

Na jej przykładzie widzę cały mechanizm dwujęzyczności. To nie tak jak ze mną, kiedy dziesięć lat temu wykuwałam z kajecikiem w ręku „słówka”:

kruk — *le corbeau*.

Dla Baśki, tak samo jak dla Chantal czy Danielle *le corbeau* siedzi na drzewie z głupią miną, z otwartym dziobem, ośmieszony i oszukany przez lisa, ptaszysko z bajki Lafontaine'a. Polski kruk ma całkiem inną aurę skojarzeniową wokół siebie, polskiego kruka jeszcze właściwie nie znamy. Najwyżej wronę.

Jedna wrona bez ogona,
Druga wrona bez ogona,

i tak aż do utraty tchu. Czysta zabawa. Obydwa języki są dla niej jak dwa systemy planetarne, w których słowa podlegają sobie właściwym prawom przyciągania. To ja usiłuję jej podsuwać przekłady, stawiać znaki równania.

— Nie Sēsēsprī, tylko *Saint-Esprit*, gapuniu, mówię. Przecież wiesz, Duch święty. Jak się zegnasz? W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen. No widzisz. *Saint* — święty, *esprit* — duch. *Saint Esprit*.

— No, powtórz, mówię zła, bo mleko tymczasem, oczywiście, wykipiało.

Na razie wymieniamy złote na franki, polskie słowa na francuskie. Więcej rzeczy, więcej spraw przyszło do Baśki polską, domową drogą. Ale rano szkoła, popołudniu szkoła. Tu domowa skarbonka, tam konto w banku.

— Sēsēsprī, Sēsēsprī, powtarza, zacznie lepszym akcentem od mojego i wraca zadowolona do zabawy. Wdzięczna mi jest za korektę dźwiękową, od czasu do czasu. Jeśli uwierzy. Bo czasami upiera się, że „a właśnie pani tak mówiła”. Z nowych słów podchwytuje dźwięk, pierwsza rzecz, jak przenika do jej pamięci to aspekt fonetyczny mowy. Ta sama, niezawodna, oseskowa metoda, którą przyswoiła sobie polski język. Często gęsto osiołek popłacze, poskleja dźwięki na wspak, przesłysz się. „A właśnie pani tak mówiła!” Poprawiam i triumfuję, gdy na moje wychodzi.

Może to i nie zła polityka? Faworyzując Goliata pokazuję, że jestem o Dawida spokojna. Niech nie będzie tym, o którego się drzy, którego się gwałtem narzuca: pobaw-że się, córeczko,

z tym chłopczykiem, on taki grzeczny, weźże polską książeczkę do ręki...

Jak dotąd, czyżbym się łudziła, nie ma o Baškę obawy. Co to jednak znaczy solidnie pękata skarbonka, ciułanie od pierwszego dnia! W domowym zeszyście kulfoniki nabierają co raz lepszego wyglądu, troszczymy się nawet o ortografię, wynajdujemy słowom koligacje. Czasami Baška trafia jak kulą w płot, ale jak na pięć i pół lat, mój Boże, w radomskiej „Oświacie” też niejedno głupstwo człowiekowi się trafiło. „O kreskowane, woła, róża, bo przecież mówi się różek”. Niech będzie. Cel uświęca środki, skoro różek pomaga róży, głosujemy na różki. Elementarz dawno poszedł w kąt, zaczynamy wielką literaturę.

Lubię słuchać, jak Baška czyta, pracowicie, przeciągając sylaby. Czyta — jakby każda Baška czytała, w Radomiu czy Warszawie. Język toczy mocne spółgłoski, prawidłowo wibruje mu koniuszek przy r, cofa się i miło szeleści przy ć i przy ś. Gorzej z cz i sz, bo w zębach z samego przodu szczerba, mleczone wypadły a nowe jeszcze nie wyrosły i ta szczerba psuje rezonans, zmiękcza, no, seplenimy. Ale takie seplenienie groźne nie jest, nie jest obce, zresztą zęby niedługo wyrosną. Słucham i aż poruszam wargami bez głosu, tak jak kiedy dawno już, w pierwszych latach, karmiąc ją przetykałam ślinę.

A jednak śni mi się czasem żółta papuga i jej skrzek, cudzoziemski, przeraźliwy: Enkorrr... enkorrr...

Zresztą, kiedy do głosu przychodzi Barbara, skłamałabym, gdybym powiedziała, że słucham z przykrością. Wtedy polski język zamienia się we francuski języczek, delikatny języczek u wagi każdej wyczelowanej samogłoski. Wargi, którym było wszystko jedno, które nie kłopotowały się bynajmniej o nic, tyle, żeby się zawrzeć gdy przyszła pora na okluzję, teraz teraz układają się w dokładny model fonetyczny, z którego wyfruwa ani nie za bardzo zamknięte, ani nie za bardzo otwarte é, è, ê — niedościgłe dla mnie wzory.

— *Votre fille a une belle prononciation* — chwali Mademoiselle Henriette.

No to i dzięki Bogu.

Pudeleczo ledwie pomieściło wszystkie *bons points* pod koniec tygodnia. W sobotę idę po Baškę do szkoły, cieszę się, bo się rozpogodziło, a jutro niedziela, może się uda jakiś las, jakaś wieś. Za furtką coraz jaśniej — to żółkną drzewa. Papugi w klatkach śpią, ciepło im. Jeszcze nie minęłam pigwy, a tu już dzwonek.

— Masz, mówi po drodze Baška, musisz mi to przypiąć do paltka.

I wciska mi do ręki medal, właśnie medal, wcale nie gorszy od medala za wierną służbę. Jestem *première*! woła jeszcze i leci przodem żeby podrażnić papugi.

Nie pierwsza, a *première*. Ale rozumiem, nie poprawiam. Szkolna rzecz, szkolne słowo, jakoś się nie boję.

Idę wolno ścieżką, trzymam medal ostrożnie w dwu palcach,

myślę, na jakiej to ja wstążce Bašce go do paltka przyczepię. „*Au mérite*” — pisze w środku krzyża — za pilność, można by przetłumaczyć. Pigwy zerwane, został tylko zapach i jeszcze parę z nich wala się w trawie. Słońce już zaszło w ogródku, ale to fałszywy zachód, zasłaniają go po prostu sąsiednie kamienice.

Baška stoi przy klatkach i przekomarza się z żółtą papugą. Enkorrr... enkorrr... woła. Pierwszy triumf spłynął po niej jak woda po gęsi. To ja triumfuję.

— Chodź, mówię, chodź prędko, funduję ci lizaka.

No bo czy nie zasłużyła? Baška czy Barbara?

VERCINGETORIX CONTRA KRAKUS

— Mama, mówi Basia z wyższością w głosie — ty nawet nie wiesz, jak się przedtem nazywała Francja.

— No jak?

— *La Baule*!

Trzymamy się za ręce i wracamy ze szkoły. Deszcz padał rano i jeszcze śni. Najgorsze, że moknie teczka, Baška troskliwie okrywa ją rogiem swojej peleryny. Na ulicy pełno mokrych liści. Liście platanu, twarde, czerstwe, mogłyby jeszcze pożyć z tydzień, żeby nie ten deszcz, nie ten wiatr. Kasztany gubią po ostatnim paluchu. I jeszcze inne jakieś liście, może dzikie wino, oberwane bez szypułki, u nasady, sposobem dzieci, które skubią same łebki kwiatów. Z nich oczywiście nie da się zrobić bukietu, nawet gdy suche.

— Jaka tam *la Baule*, gapuniu, prostuję. *La Baule* to letnisko. A Francja nazywała się dawniej *la Gaule*. Galia, tłumaczę prędko, żeby nowe słowo zaraz obstać polskim cieniem. A Francuzi nie nazywali się Francuzi, tylko Gallowie. *Les Gaulois*.

— A dziewczynki *les Gauloises*. Jak twoje papiroski, cieszy się mała.

— Tak, Gallijki. Więc, ci Gallowie mieli długie, długie wąsy i zbierali jemiołę. Wiesz, to co rośnie kępami na drzewach i ma białe jagody. Jemioła — *le gui*. Czy tak wam pani mówiła?

— Skąd wiesz?

— I jeszcze ci Gallowie pili sycony miód, który się nazywa *l'hydromel*. I taki sam sycony miód pili też Słowianie. Bo kiedy we Francji mieszkali Gallowie, w Polsce...

— A czy ty znałaś tych... *Gaulois* jak byłaś mała?

Uprowadziła mnie! Mademoiselle uprowadziła mnie ze swoim pierwszym rozdziałem historii, ze swoim „*nos ancêtres les Gaulois*”. I już bym biegła, tak się boję, że jestem spóźniona. Jak ktoś, kto sobie siedzi spokojnie, spacerkiem, pewny że ma kupę czasu, a tu pociąg rusza mu przed nosem grubo wcześniej niż przewidziano w rozkładzie.

Można powiedzieć, że do tej pory karmiłam Baškę piersią, samym mlekiem. Teraz pora przejść na własny garnuszek. I oto raptem aż dwa garnuszki podsuwamy jej na wyścigi, jeden Mademoiselle Henriette, drugi ja. W jednym Krakus. W drugim Vercingétorix.

Jeszcze przed niespodziewanym najazdem Gallów miałam parę sygnałów alarmowych. Tak i na przykład *petit cochon qui colle...*

— Jaki znowu *cochon*, co za świnka, wpadłam z drugiego pokoju jakby się paliło, ratować. Baška miała gościa i właśnie chciały się bawić w chowanego, więc trzeba było policzyć kto kryje. Stąd: *le petit cochon qui colle* — jak w parku, jak u dzieci.

— A elemeledudki? — przypominałam rozgoryczona.

Prawda! Zapomniały sobie. Całe szczęście, że elemeledudki miało korzonki dość głęboko zapuszczone we wspólne zabawy i mogło stanowić równowartość, a nie surogat.

Co robić, przychodzi taka pora, kiedy z doniczki przesadza się roślinę do ziemi. Dom pęka, jak za ciasna skorupa. Trzeba czegoś większego, grzędy, ziemi właśnie, grupy, społeczeństwa, narodu. Mademoiselle Henriette ma to wszystko, może dać. Ja mogę tylko opowiedzieć.

Od razu odczułam co się święci pierwszego już chyba dnia, kiedy zostawiłam Baškę w klasie. Siedziała jak trusia, odrobinę zaniepokojona, ale już podana wprzód, tam gdzie wciaga niewidzialna, ssąca maszyna, której na imię edukacja. Przed nią Chantal, za nią Danielle — mamy francuskie, wspinając się jak ja na palce aby raz jeszcze zajrzeć przez okno do klasy, miały jak ja śmiesznie puste ręce. To się nazywa *sevrage* — odłączenie od piersi. Ale dla mnie gorzej, ale dla mnie w podwójnym znaczeniu.

Chociażby ta sama klasa! Widzę ją co dzień, przez uchylone drzwi, kiedy na dzwonek Mademoiselle Henriette wychodzą grzecznie, gęsiego, elewy, wśród których córka moja, Barbara. Na ścianie nie ma nigdzie profilu Marianny, bynajmniej, bo szkoła nie jest państwowa tylko prywatna, a dyrektorka pobożna osoba. Nie ma więc Marianny w rogatym czepku na głowie, ani prezydenta Republiki, pana René Coty, tylko Joanna d'Arc w hełmie, z oczami wzniesionymi w niebo. Ale dla mnie Joanna czy Marianna, to na jedno wychodzi.

No bo chociażby taka klasa, przecież to się przetrwawia, przecież z tego się później jest! Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, wraz z Marszałkiem Józefem Piłsudskim, wisząc zgodnie nad czarną tablicą w „Oświacie” patronowali mojej edukacji i jakby tam później nie było, tego się nie wymaże, jestem jaka jestem, i nie ja jedna, dlatego. A Joannę d'Arc poznałam z okazji rozdziału w podręczniku historii, zatytułowanego: Wojna stuletnia, grubo później. Odwrotny układ sił.

Kasztany na szkolnym podwórzu są już prawie nagie. W przezroczystych płaszczach plastikowych, które wydyma

wiatr, matki czekają na dzwonek, opuszczone, nieswoje, jak meduzy wyrzucone przez fale. Z klasy dochodzi gruby, prawie męski głos Mademoiselle Henriette:

— Jak się nazywał wódz Gallów?

— *Le chef des Gaulois s'appelait Vercingétorix* — skanduje chór cienkich głosików.

Co robić?

Zastanówmy się. Deszcz siąpi, Mademoiselle Henriette spóźnia się z dzwonkiem. Podnieśmy kołnierz płaszcza i zastanówmy się.

Nie chodzi o żadną wojnę, o to żeby coś zwalczać, kogoś zwyciężać. Ani nawet o pakt, ani o koegzystencję, tylko o coś znacznie trudniejszego: o symbiozę. O to, żeby Baška na polskim garnuszku, Barbara na francuskim rosły z wzajemną dla siebie korzyścią. Bo jeśli jedna drugą przerośnie, to tamta zwiędnie w cieniu. A każdej byłoby szkoda.

Przecież lubię Joannę d'Arc i jej tors dziewicy-bohatera. U nas zwie się ona Emilią Plater (tak jak w wierszu pt. Śmierć pułkownika). Nic też nie mam przeciwko Mariannie, jej gipsowe popiersie w hallu merostwa, gdzie chodzimy po różne papierki, albo jej profil ze znaczków pocztowych za piętnaście franków, to bóstwo przyjazne i gościnne. Lubię też Mademoiselle Henriette, jej koralową broszkę, jej kremowy żabocik, jej profesorskie spojrzenie. W garnuszku, który podsuwa Barbarze jest papka pożywna, standardowa, na której się wykarmiły całe pokolenia małych Francuzi i proszę, czy to im na złe wyszło? *Le chef des Gaulois s'appelait Vercingétorix, Paris est notre capitale, deux fois deux font quatre*. Wyrosło z tego sporo ludzi dla Francji i dla całego świata. Tak jak w ulu, gdzie pszczoły-niańki obsługują larwy zależnie od ich późniejszej funkcji. Jedząc papkę królewską, wiadomo, zostanie się królową.

Ale jedząc dwie różne papki? Jedno zmartwienie.

Drugie zmartwienie: co włożyć do mego garnuszka? Jak przypawić, w jakiej podać kolejności? Tego zmartwienia nie znają zwykłe matki.

Basia wie już oczywiście o Piaście Kołodziejcu, o Krakusie i Wandzie, o Smoku Wawelskim. Ale obawiam się, że ich nie traktuje dosyć poważnie. Są to duchy prywatne, domowe, płaczą się po jej pokoju wieczorową porą, razem z krasnoludkami i sierotką Marysią, pakowane do szufladki z rzeczami na niby. Podczas kiedy to, czego uczą w szkole jest rzeczą publiczną, ważną, aktualną i podbitą gwarancjami osób trzecich.

— A wiesz, mówię, Piast to był właśnie Słowianin. Jak przyszedł do niego aniołowie, pamiętasz, aby ochrzcić jego małego synka, to inni aniołowie, tacy sami, wybrali się wtedy do Gallów...

Co tam ścisłość historyczna! Podbudowuję Piasta Wercyngetoryksem. Obu im to wyjdzie na dobre.

Wszystko to jednak zamiana mniejszej doniczki na większą.

Gdzież te echa, gdzież te przedłużenia każdego słowa, każdego postępu, gdzie rywalizacja bez której nagroda jest mdła, postęp nie ma smaku?

Zaczyna się więc polowanie na polskie przyjaciółki.

Nie takie to łatwe jak się zdaje. Jedne są za małe, drugie za duże. Z tymi znowu zabawa się nie klei. Siedzą osowiałe w dwu kątach pokoju, albo wrywają sobie zabawki z ręki. Wreszcie jestem szczęśliwa, myślę że mi się udało znaleźć białego kruka. Po długiej wymianie listów między matkami, po kilkukrotnym ustalaniu terminów, bo i daleko i zawsze coś wypada, w jednym domu odra, w drugim grypa, szykujemy nareszcie z Bašką podwieczorek dla wyczekiwanego gościa. Przychodzą, siadają koło mamy na kanapie i rozglądają się oniesmielone.

— Zaśpiewaj-no, Marysiu, tego krakowiaczka, wypycha mama jedną z pociech dla przełamania lodów. Wie pani, ona ślicznie śpiewa po polsku.

Marysia boczy się, ceregieli, bardzo nieszczęśliwa. Nareszcie wychodzi na środek pokoju, nie bez lekkiego kuksańca od matki, mały, niebieskokoki blondas, istna pyza mazowiecka, dyga, bo musi i, bo musi, zaczyna:

— Khahowjaszek szy ja...

Nie, tego słuchać nie mogę. Enkorrr... Enkorrr... drze się papuga Mademoiselle Henriette. Biorę Baškę na kolana, zanim to się nie skończy, mało że się nie żegnam na odczynienie złego.

— Dlaczego Marysia do nas nie przychodzi? — dopytuje się potem Baška tygodniami.

Okazuje się, że tamta mama bała się o francuski garnuszek. Że Marysia będzie miała trudności w szkole. No i najpierw nauczycieli ją po francusku, sami ledwo dukając, pożał się Boże. A teraz przepało. Skarbonka pusta, język i wargi nastrojone do innych tonacji stwardniały, polskie dźwięki wychodzą z nich zbędkarcone, niesamowite, jak z krzywego dzioba papugi. Co mi tam krakowiaczki, dygi i wierszyki! Dlaczego Marysia nie przychodzi? Wykręcam się jak mogę, bardzo miła w zabawie ta Marysia. Nie mogę przecież powiedzieć, że o akcent, o akcent mi chodzi!

W końcu dobieramy się jak w korcu maku. Zaczynają się zabawy czwartkowe, kiedy szkoły nie ma. Październikowe, listopadowe popołudnia, pada deszcz, nie żal spaceru. *Le petit cochon qui colle* rzadko kiedy pokazuje koniec ryjka, elemeledudki triumfują, a także konopie, konopie i chodzi lis koło drogi, nie ma ręki ani nogi i róża, która stoi w zielonym wieńcu. Największe powodzenie mają gry i zabawy imitujące życie, w których się coś dzieje, poprzez które można wziąć w czymś udział. A przy okazji trawimy Piasta i Popiela, oraz podśpiewujemy krakowiaczka. Jednak. Bo, jak się okazuje, tamten Marysin zostawił niezatarte wrażenie. Czyli szkoła, co tu dużo mówić, a raczej szkołka, czwartkowy katechizm tak zwanego polskiego dziecka na obczyźnie.

Świat się rozszerza, rozszerza, pęka doniczka pod naporem korzonków, którym wszystkiego mało. Jakoś Barbarze czwartkowe popołudnia w szkole nie szkodzą. Mademoiselle Henriette chwali, że i akcent dobry i słownik bogaty.

I tylko myślę, co z tego wyniknie? Szukam przykładów i nie znajduję, albo mi nie pasują. Mały Józio Mickiewicz, kiedy mu tata kazał się przedstawiać gościom, mówił podobno: „Jestem Józef Mickiewicz, Polak, emigrant”. Owszem, zgrabna formuła, utoczona przez tatę wieszczą. Ale jak on to „Mickiewicz” wymawiał, ciekawa jestem? Kto tę kupę dzieci Mickiewiczom wychowywał? Pewno jakaś francuska bona, z tych tańszych. Więc nie mam się co przejmować, że nawet po takim tacie polskość poszła sobie na bory na lasy, nie czekając nawet zbyt odległych pokoleń. No a Maria Curie-Skłodowska? Ta namiętnie wychowała córki po francusku, żeby im oszczędzić komplikacji losu, a, podejrzewam, także dla uproszczenia, żeby żadne problemy nie stuknęły do drzwi laboratorium. Więc się też nie liczy ten precedens.

Nie ma skąd zaczerpnąć rady, przykładu. Rośnie Baška i rośnie Barbara, hybryda polsko-francuska, jak Bóg da, zobaczmy. Kiedy się jej pytać, kto ty jesteś, mówi: jestem ja, Basia. Ani Polka, ani emigrantka. To są rzeczy, których się nie załatwia dygając. Emigrantka, w odniesieniu do pięcioletniego herbecia to w ogóle śmieszny termin, tylko wielki wieszcz mógł sobie pozwolić na taki brak poczucia humoru. Jestem Basia i urodziłam się we Francji, *je suis Barbara et mes parents sont Polonais* — dwie strony tego samego medalu. Odrywać jedno od drugiego byłoby skazywać dziecko na życie w świecie płaskim, pozbawionym trzeciego wymiaru.

Nie wiadomo więc jeszcze wcale, na co się to zda, co wyrośnie z larwy karmionej dwiema papkami? Na razie powstał tylko nowy gatunek matek. Poznać je łatwo, wszystkie są do siebie podobne. Przychodzą do szkoły grubo przed dzwonkiem, krążą pod oknami klasy, nadsluchując, jakby to była twierdza, gdzie codziennie muszą oddać dzieci na zakładników. Chorują wszystkie na przerost słów — mówią, dotykają palcem przedmiotów, nazywają, powtarzają nazwę, układają w zdania, głośno, kolory i zapachy, czekają chwilę czy nie ma echa, powracają jeszcze raz do tego słowa, jak kwoki co postukując dziobem, przywołują kurczęta do ziarna. Zamartwiają się, gdy im w szkolnym ogrodzie mignie jakiś ptak nieznajomy, a dziecko już wie, *c'est une fauvette*, mówiła pani. Więc wertują słowniki, oczywiście piegza, żalują, nikt ich nigdy ptaków nie nauczył. Poduczają się cichaczem gramatyki, powtarzają wyjątki na ó kreskowane, kompletują Jagiellonów i Piastów. Zebrawszy się, nadstawiają ucha jak w drugim pokoju dzieci bawią się w chowanego, w ciuciubabkę. Elemeledudki? Dobrze jest, tyk herbaty, moja Krysia, proszę pani, zawsze mi myli biernik z mianownikiem, a już przy przeczeniu rozpacz, to wyraźna deformacja składni. *Le petit cochon qui colle?* Herbata niedopita, stygnie,

mamy biegać na odsiecz róży w zielonym wieńcu, konopiom, lisowi. Wstępują do koła, koło się obraca, mają same po pięć i pół lat, tańczą także krakowiaczka. Niespokojne i zapobiegliwe, czy aby czego nie zaniedbały, czy aby nie przegapiły, nie spóźniły się, nie pozostały w tyle? Temu gatunkowi karmicielek instynkt nie wiele pomoże, one improwizują swoje macierzyństwo. Nie taka łatwa rzecz.

*Ty różyczko śpiesz się, śpiesz
I wybieraj, kogo chcesz...*

Czwartek się kończy, październikowy, listopadowy, o szyby deszcz tnie ukosem. A wiecie, u nas pada już może śnieg. Goście zabierają swoją loteryjkę historyczną, zeszyty z dyktandem, dom pustoszeje. Prędko kolacja i spać. Jutro rano musimy do szkoły. Do *prawdziwej*.

— Mama, pyta Baśka zamyślona nad talerzem zupy. Jak się nazywał ten, no wiesz, ten co to jak aniołowie przyszli do Piasta, mieszkał w... *la Baule*?

— *La Gaule*, poprawiam, mile poglądzona. A nazywał się Vercingétorix. Przeklnij i powtórz.

DZIAD I BABA

Takie czytanie to jest dopiero czytanie!

Baśka wodzi nosem po stronicach. Złęklam się kiedyś, że to krótkowzroczność, ale nie, wzrok ma normalny. Czytanie jest jednak żmudną pracą. Lego, mówi się po łacinie, zbieram. Zbiera więc pracownice kreskę po kresce, brzuszek po brzuszku, tu kropka, tam zawijas — każda litera jest jak osoba dość dobrze już niby znajoma, ale, w tłumie, nie zawadzi przyjrzeć się porządnie zanim człowiek się wypowie co do czyjejś identyczności. Ileż znaków szczególnych, pałek, zakrętasów, zanim lego, legere, uzbiera się słowo.

Słowo, tak zdobyte, traktuje się poważnie, osobiście, nie polyka byle jak, byle prędzej, jak to robią dorosłe osoby, przeskakujące linijki oczami. Nie ma mowy o lekceważeniu. A cóż dopiero zdanie! Baśka czyta gorliwie, sumiennie, wodząc nosem po stronicy. W jednym wierszu dziecinnej opowieści zbiera większe niżwo niż uczony filolog.

To tak jak z jej spacerami, kiedy była jeszcze „mała”, czyli dwa, trzy lata temu. Od naszej bramy do rogu ulicy nie było dla mnie nic, dosłownie nic ciekawego. Za to dla niej! Krok za kroczkiem, w bufiastych rajtuzach, przerabiała, sylabizowała ulicę. Były więc płyty trotuaru popękane w zastanawiające wzory. Były tajemnicze drzwiczki, nisko przy ziemi, z napisem: „gaz”, albo „woda”. Były okna piwnic, zakratowane, których szyby, matowe od kurzu, przesłaniały festony pajęczyn. Był

pies do którego zaglądało się z bijącym sercem przez szparę między sztachetami. Zaszczeka czy nie zaszczeka?

— Basiu, ja idę dalej.

Idę, odchodzę na wabia, nad słuchuję, czy nie tupią za mną buciki. Cisza. Oglądam się: Baśka przykucnęła, czemuś się pilnie przygląda. Wołam, czekam, nie przychodzi. Wracam biorę za rękę.

— Co tam było, co ty widzisz, powiedz?

Nie wiem, nigdy się nie dowiem. Rączka wierci się, wymyka, w końcu zostaje mi w dłoni pusta rękawiczka. Gorliwe kroczki, bufiaste rajtuzy pobiegły dalej.

Tak samo jest teraz z czytaniem. Odkąd potrafi sama, nie potrzebuje mojej ręki.

— Basiu, już ciemno.

— Basiu, twoje lalki płaczą.

— Basiu, przecież znasz już tę bajkę na pamięć.

Trudno się dowołać, żeby wróciła. Od naszej bramy do rogu ulicy był cały świat. W krótkiej powiatce stary Roch siał groch jest, ktoś to wie, może całe życie?

W książkach są też ilustracje. Tekst i obrazek, oryginał i kopia, porównywane są z pedanterią. Jeśli siedzi na drzewie pisanym, kot musi siedzieć i na malowanym drzewie. Małgosia w niebieskim fartuszu nie śmie ustroić się w czerwony, bo to już będzie inny fartuszek, inna Małgosia, inna zupełnie historia. Po obrazku wodzi się nosem tak samo uczciwie i serio, jak po znaczkach, które tworzą słowo. I potem skąd ja mogę wiedzieć, kto tu jeszcze mieszka w naszym domu, z kim prowadzi Baśka długie monologi w kącie, gdzie lalki czekają biernym stadkiem, aż im rozda odpowiednie role?

Pewnego razu, na ulicy, spotkałyśmy tym sposobem śmierć.

Była to nie tyle śmierć, co jej buty. Czarne buty z cholewami, po których panna, wracająca z maneżu, traskała sobie dla fantazji pejcem. Nigdy bym nie zwróciła uwagi na te buty, gdybym nie poczuła, że rączka w rękawicze, zamiast mi się wyrwać, wymykać, przeciwnie, tuli się przerażona. Na ulicy nie było prawie nikogo. Kałuża pełna świeżego deszczu odbijała w sobie drzewo rozebrane z liści. Buty kroczyły miarowo, coraz bliżej, zboczyły trochę z drogi, ominęły kałużę, ominęły nas, poszły sobie dalej.

— Dlaczego śmierć? Skąd buty? Czego ty się boisz?

U wylotu ulicy zaświstał pociąg, trysnęła para. Wyrwała rękę i pobiegła liczyć wagony. Dopiero w domu odkryłam skąd się wzięła na spacerze śmierć ubrana w czarne buty z cholewami.

Jakaś przyszywana ciotka przysłała tomik kolorowy, zabawnie ilustrowany, drukowany dużymi literami. „Dziad i baba”. Komużby przyszło do głowy konfiskować bajkę, oswobodzoną przez własne wspomnienia z dzieciństwa? Baśka zaraz się do niej dorwała.

Czytam i po niewczasie truchleję jak cenzor, co pod niewinną okładką przepuścił utwór o dywersyjnej treści. Denuncjuję niniejszym „Dziada i babę”! To oni są winni, że głos dzwonka nie znaczy już tylko „goście” albo „listonosz”.

Nie wiem, co więcej zawiniło, tekst czy ilustracje?

— *Żyli sobie szczęśliwie
I spokojnie jak w niebie,
Czemu ja się nie dziwię
Bo przywykli do siebie.* —

Na pierwszej stronie dziaduś i babunia, uśmiechnięci, rumiani, siedzą na ławeczce przed domem, pod czerwoną jabłonią. Ale odwrócić kartkę i już się zaczyna ich zabawa w chowanego.

Śmierci nie widać nigdzie — jest napisana, nie jest namalowana, i to tym gorzej, bo cały czas stoi przecież za drzwiami. Kiedy dziadek wpycha się pod ławę, babka zagrzebuje w pie-rzynie, widać na ich twarzach strach, brzydki strach. I wiadomo, że za tymi drzwiami czeka ktoś, czeka coś strasznego.

— Dlaczego oni tak się boją? — odpowiada mi Baśka pytaniem na pytanie. I jeszcze: — Czy jak śmierć przychodzi, to ludzie już się nie kochają?

Czyżby aż tyle rzeczy było w tych paru staroświeckich zwrotkach, na tych paru obrazkach? Jakże tu mi teraz kamuflo-wać prawdę, na którą przecież o tyle lat za wcześniej, czym za-gadać i ludzką samotność i strach, który nie daruje miłości i to, co stoi za drzwiami?

— *I byłaby lat dwieście
Pode drzwiami tak stała
Aż znudzona nareszcie
Kominem wleźć musiała.*

Na ostatniej stronie ta sama chałupka, co na pierwszej, ta sama jabłoń i ławeczka pod ścianą, puste. A tymczasem śmierć się przepycha do środka i widać jej czarne, chłopskie buty z cholewami, które jeszcze wystają z komina.

— A oni?

— Jakto oni?

— Co zrobili, jak ją zobaczyli?

Więc czy można być spokojnym, minutę? Daje jej do ręki książeczkę z obrazkami, książeczkę dla dzieci, zabawkę. Siada, wodzi noskiem po stronicach, zbiera znaczki, litery, słowa i do-wiadamuje się rzeczy, które leżą na samym spodzie ludzkich wia-domości. To tak, jakbym ją wypuściła na spacer do małego ogródka przy domu, gdzie niby ani psa złego, ani pokaleczyć się nie ma o co, ani wpaść do głębokiej wody. A tu, okazuje się, džungla.

— Ale my się będziemy zawsze kochały? — upewnia się przed zaśnięciem.

Uklepuję, reperuję tamę raz jeszcze, sztukuję zbawczy mit. Opowiadam o raju i aniele, o trąbie, która wszystkich obudzi. A z butami to w ogóle nieprawda.

— Więc to sen? Więc to się zasypia?

Też źle. Zasypia się, owszem, ale inaczej. Inny zupełnie sen. I nie teraz, a za wiele, wiele lat. Z niedomówień, szpara-mi, wieje coś, czemu próżno staram się zastawić drogę.

Z mamą Krysi śmiałyśmy się właśnie z dawnych, macie-ryńskich kłopotów z bocianem. Bocianów już nie ma, bez bo-cianów obejść się teraz żadna sztuka. Od jednej przynajmniej strony można sobą zagrozić przepaść. Początek? Proszę bar-dzo, byłaś ze mną, byliśmy razem. Przynajmniej jedna łatwa odpowiedź, jedna odpowiedź po myśli. Zaśmiewamy się z ma-mą Krysi z rumieńców, którymi pałały zaciśnięte w fiszby ma-trony, uchowane aż do zamążpójścia w gwarantowanej nieświa-domości. Naszym dzieciom prawda bardzo się podoba i też jest po ich myśli. Więc zwracają ciekawość tam, skąd wieje niedo-powiedziane, tam, gdzie między pytaniem i odpowiedzią wyczu-wają ułamek milczenia.

Szukając w ambarasie precedensów, nieraz mówimy o tych matkach w gorsetach, noszących narodową żalobę. Czy tak sa-mo jak my *opracowywały* odpowiedź, kiedy, na paryskim bruku, zasypiając, pytały ich dzieci, jak to jest właściwie z tą Polską, o której tyle było mowy w salonie? Co im na to mówiły, nasze poprzedniczki?

Nie wiadomo. Pewno tak jak my, o kraju lat dzieciennych, o sadzie, gdzie się biegało po rosie, boso, o stawie, gdzie kum-kały żaby, o choince na Boże Narodzenie, o pisankach na Wiel-kanoc, o tataraku na Zielone Świąta. Słowem o sobie. Opowia-danie, którego dziecko słucha wieczorem, na brzegu własnych słów i kocha jak przez mgłę, z drugiej ręki.

Ale w książkach? W książkach Polska była bolejącą damą o włosach rozpuszczonych aż do pasa, w płaszczu gronostajo-wym i boso, żebraczka i królowa.

— A co ma na rękach?

— Kajdany.

— A co ma na głowie?

— Cierniową koronę.

Romantyczna symbolika stroiła daleką ojczyznę w melan-cholię rzeczy skrzywdzonych i słabych. O Matko Polko! Złe twój syn się bawi! Małym synom wielkich emigrantów wciska-no gwałtem do ręki drewniane krzyżyki, blaszane kajdany, jak-by tyle tylko było potrzeba, żeby się z nich dochować mścicieli. Starzy płakali, trzęsły im się ręce, gdy z koperty wypadał na obrus biały opłatek. Więc czy można mieć do nich zaufanie, oprzeć się na nich? A tymczasem za oknem był świat silny i mę-ski, gdzie żalobę się nosiło najwyżej rok, gwardia jechała na koniach, w szkole uczono dat czerwonych a nie czarnych, świę-

cono zwycięstwa, a nie klęski. A tymczasem w owym dalekim kraju rówieśnicy małych emigrantów biegali po rosie, słuchali kumkania żab, zaś opłatek przynosił do domu gruby proboszcz, któremu płacono się psie figle. Te psie figle, te żaby, ta rosa decydowały pewno o nich gdy dorośli, bardziej niż jakaś smutna pani z obrazka.

Więc mówimy z mamą Krysi: byle nie tak. Ale jak? W takim razie jak, kto nam powie?

A czas biegnie i jeszcze do tego zabiegają mu drogę pytania. Ze szkoły Barbara przynosi ich sporo. Na przykład: co to znaczy *La Toussaint*? Święto. Ale jakie, dlaczego, a my?

Wszystkich Świętych! Zaduszki! Już od tygodnia miasto szykuje się z wizytą do swoich umarłych. Na targu zastępy chryzantem o strzępionych głowach. Narożna kwaciarnia wyległa aż na chodnik z doniczkami, istny klomb żółty i biały, a za szybą już przygotowane wielkie wieńce z nicejskich goździków, świeże zamówienie. Słońce świeci, grzeje nie wiele, ale świeci i tym sposobem tutejsze Zaduszki są we wrześniu, a nie w listopadzie, w samej pełni tego co by u nas nazywało się złotą jesienią.

— Czy i my pójdziemy na cmentarz? Pani mówiła...

Baśka nigdy jeszcze nie była na cmentarzu, widać, jak to ją korci, jak to ją prześladowe. Spodziewa się pewnie, że się tam nareszcie wszystkiego dowie i nawet zapomina stawiać pytań, cała oddana nadziei i trwodze. A my? Pod niebem jednostajnie niebieskim, szosą sprószoną jasno liśćmi i słońcem, jedziemy i milczymy także. Jedziemy w myśli na *nasze* Zaduszki — te prawdziwe, kiedy zaczyna deszcz, czasem ze śniegiem, pachną ciężkie wieńce z jedliny i świece mrugają prędko, roniąc białe, stearynowe łzy.

Montmorency promienieje. Zmarli w swoich kamiennych domach przyjmują tu umiejętnie, uśmiechem, najwidoczniej pogodzeni z losem. Baśka, która z początku trzymała się kurczowo mojej ręki, odprężyła się wśród tej pogody, tej ciszy. Zanim obdzieli kogoś kwiatem, czyta sumiennie napis, kamienna płyta jej nie zadawała, dom o zamkniętych drzwiach, za którymi sen, taki twardy, że boją go się nawet dorośli. Chodzę za nią, przystaję, gdzie ona przystaje, czytam, co ona czyta, chciałabym widzieć tak, jak ona patrzy.

— Sami Polacy — dziwi się, czytając nazwiska.

Pod murem pokrytym tablicami późne wnuki, świeże daty, ziemia tyle że się uleżała. Prowadzę Baśkę w górę, gdzie skupili się starzy, wielcy, tak jakbym na cmentarzu w Radomiu prowadziła ją na grób pradziadków. — Cyprian Norwid — sylabizuje, śmieszne imię, a tu drugiego Cypriana wyszperała obok — Godebski. Dla obydwu Cyprianów wystarczyło jeszcze po żdźbale drobnej chryzantemy. I tu był ktoś przed nami. Trzy goździki, dwa białe, jeden czerwony znaczą trop.

— Adam Mickiewicz — sylabizuje wreszcie.

Adam Mickiewicz — no, wiesz przecież — podpowiadam — ten, który pisał takie piękne wiersze po polsku.

Schyla się, żeby położyć ostatnią gałązkę, a potem podnosi oczy do góry. I wiem, że coś się dzieje i po raz pierwszy widzę ja także ten medalion z maską boleści, oczy ściśle zawarte, grymas ust okolonych bruzdą. Baśka patrzy i czyta. Odzyfrowuje skamieniałość, bystrzej ode mnie. Ale nie pytam: co widzisz?

— To on tak tutaj śpi? — mówi wreszcie.

— Ależ nie, to tylko jego podobizna, tłumaczę. Jego zabrano stąd, przeniesiono do Polski.

— A inni?

— Inni tu zostali.

Patrzy dokoła, na groby spływające w kaskadach, gęsto upstrzone kropkami czerwonych goździków, aż po mur gdzie tablice bieleją nowym marmurem, a potem pyta mnie w wielkim zdumieniu:

— Jakto? To oni tutaj Polski nie mają?

Zofia ROMANOWICZOWA

NAJTAŃSZY POLSKI DOM WYSYŁKOWY

WHITE EAGLE TRADING Co.

Morley House, 320 Regent St., London W.1., England

zapewnia najlepszą obsługę każdego zamówienia na wysyłkę

LEKARSTW,

ŻYWNOSCI,

MATERIAŁÓW, itp.

Wysyłając paczki przez Londyn

skrucasz drogę do Kraju.

MATERIAŁY — LEKARSTWA — ŻYWNOSĆ

PLASTYKI — NYLONY I INNE ARTYKUŁY

idą szybko do Polski przez

WHITE EAGLE STORE

(SKŁADY „POD BIAŁYM ORŁEM”)

8A, Thurloe Place, LONDON S.W.7, England

Archiwum polityczne

Dialog polsko-litewski

Jerzy IWANOWSKI

I

Szczęśliwie się złożyło, że „Kultura” zdecydowała się otworzyć swoje łamy dla „Dialogu polsko-litewskiego”. Dobrym prognostykiem jest iż pierwszym zabierającym głos w tym dialogu jest pan Girnius, pozbawiony przesądów nacjonalistycznych, a więc wykluczający ze swej argumentacji szereg specyficznych argumentów, najczęściej nie wnoszących do sporu nowych elementów lecz niepotrzebnie zaostrażających klimat dyskusji. Ma rację pan Girnius uważając iż spór nie może być rozstrzygnięty w płaszczyźnie czysto politycznej. Nasz spór zresztą, jak większość sporów międzynarodowych, może być skutecznie rozstrzygnięty jedynie na podłożu etycznym, wyrażającym się w czynach wzajemnej pomocy i współdziałaniu. Przyjazna współpraca dla obupólnego dobra opartego o prawdziwie demokratyczne pojęcia i wzajemny szacunek i życzliwość stanowić winny o metodach i taktyce porozumienia. Jeśli w polityce światowej panoszą się jeszcze sobkostwo, oportunizm i egoizm to pamiętajmy, iż obydwa nasze narody padły ofiarą tych zasad i że nie możemy ich stosować dla osiągnięcia układu, który ma stać się znowu na długie wieki podstawą dobrych sąsiedzkich stosunków i wzajemnych korzyści.

II

W publicystyce politycznej litewskiej unia Polski z Litwą jest oceniana ujemnie, natomiast polskie argumenty historyczne podnoszą dodatnie skutki unii i podają szereg wzajemnych korzyści wynikających z układu dla obydwa połączonych narodów.

Państwo litewskie, ogromną potęgą i obszarem przewyższające ówczesną Polskę, otoczone było przez licznych wrogów. Na

północnym zachodzie Krzyżacy zapędzali się aż pod Wilno, na południu i wschodzie Witold walczył z Tatarami (bitwa pod Worskłą 1399 roku) i przeciwko Moskwie. Grunwald był korzystny dla obu narodów: Litwa odzyskała Żmudź w 1411, Pomorze wróciło do Polski dopiero w 1466 roku. W ciągu XIII i XIV wieku szereg genialnych władców Litwy, jak Mendog, Gedymin, Olgierd, Kiejstut, Jagiełło, Witold posunęli granice litewskie aż do brzegów Morza Czarnego i aż pod Psków i pod Moskwę. Nic dziwnego iż współczesny Litwin patrząc na mapę swego państwa w XIV-XV wieku urzeczony jest jego wielkością i boleśnie odczuwa nikielne rozmiary obecnego kraju. Lecz nie należy zapominać, że od chwili zawarcia unii ciężary wojenne spadały w równej mierze na obydwa narody i że ta właśnie współpraca wzajemna pozwoliła przez wieki zachować i rozbudować potęgę Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Wypowiadane są zdania iż przyjęcie chrześcijaństwa z rąk Polski było przyczyną osłabienia ducha litewskiego i zahamowało rozwój państwowo-twórczych talentów Litwinów. Lecz trzeba pamiętać iż w ówczesnej sytuacji Litwa mogła również dobrze podpaść pod wpływy kościoła prawosławnego, który używał coraz większe znaczenie dzięki dominacji języka ruskiego którym mówiła przeważająca większość ludności Wielkiego Księstwa. Za religią szły wpływy kulturalne, rezultatem czego byłaby późniejsza dominacja kultury wschodniej. Unia i przyjęcie chrześcijaństwa podług obrządku zachodniego otworzyły przed Litwą drogę na zachód, przyłączyły ją do wielkiej rodziny narodów europejskich pozostających pod wpływem kultury łacińskiej, korzystających z jej owoców i przyjmujących udział w jej rozwoju. Unia przesądziła przynależność narodu litewskiego do tej kultury. Dziś jeszcze zwiedzając ziemię Wielkiego Księstwa Litewskiego łatwo zauważyć możemy jak bliskie pokrewieństwo zachodzi w architekturze i sztukach plastycznych dawnej Litwy z arcydziełami odrodzenia Włoch i zachodniej Europy. Te piękne gotyckie czy barokowe wieże kościelne, frontony rezydencji magnackich, krzyże i figury przydrożne, wyraźnie i raptownie kończą się na wschodnich rubieżach Księstwa Wielkiego Litewskiego, świadcząc iż granica Księstwa była granicą wpływów kulturalnych cywilizacji łacińskiej.

III

Twierdzi pan Girnius, że Litwini dali Polakom dużo, sami wzamian nic nie otrzymując. Nie będę przeczył że Polska otrzymała wiele od Litwy. Otrzymała przede wszystkim dynastię Jagiellonów obdarzoną wyjątkowymi talentami. Lecz z wyjątkowych zalet i umiejętności panowania dynastii Jagiellońskiej korzystali w równym stopniu Polacy jak i Litwini. Poza tym najgenialniejsze posunięcia tych wyjątkowych władców nie mogłyby być zrealizowane bez bezwzględного oparcia warstw przodują-

cych Polaków, Litwinów i Białorusinów, które znalazły język wzajemnego porozumienia na korzyść wspólnego państwa. Obrona wspólnych interesów i braterstwo broni wpłynęły na bliższe zespolenie przodujących warstw społecznych obydwu narodów i doprowadziły do ściślejszego związania obydwu państw w końcu XVIII wieku. Nic dziwnego, że w tych warunkach pewno ilość Litwinów wrosła w kulturę polską i spolonizowała się tworząc nowy typ obywatela zjednoczonych państw Polaka-Litwina — *gente Lithuanus natione polonus*. Odwrotnego procesu litwinizowania się Polaków i wrastania ich w kulturę litewską w tym okresie dziejów nie widzimy przypuszczalnie dlatego, że ówczesna kultura litewska nie odznaczała się dostateczną prężnością. Jak wiadomo, żywiołowemu odrodzeniu kultury litewskiej dała impuls dopiero Wiosna Ludów i uwłaszczenie włościan, które sprawiły iż w stosunkach społecznych zjawia się nowy czynnik antagonistyczny klasowy wsi mówiącej po litewsku i dworu mówiącego po polsku. Wśród Litwinów rozpoczyna się dopiero wówczas proces przerabiania archaicznej kultury ludowej na intelektualną i dominuje rozumiała tendencja do zaspakajania wszystkich swoich narodowych potrzeb w języku ojczystym. Młoda inteligencja litewska wychodząca z ludu z zapalem zabiera się do pracy regeneracji własnej kultury i zajęła wrogie stanowisko względem panującej dotychczas kultury polskiej. W społeczeństwie białoruskim odbył się mniej więcej ten sam proces emancypacyjny kulturalno-narodowy z opóźnieniem zaledwie o kilkadziesiąt lat. W ten sposób jesteśmy świadkami kulturalnego rozczłonkowania się dawnych mieszkańców Wielkiego Księstwa Litewskiego na trzy odłamy; Litwinów, Polaków i Białorusinów. W średniowieczu kultura litewska w najszerszym tego słowa znaczeniu ograniczała się do sfer ludowych. Inteligentny Litwin, pragnący kształcić się lub żyć życiem wychodzącym poza granice kraju, musiał nawiązać łączność z Polską, bo Polska była tym oknem przez które życie kulturalne Zachodu przenikało na Litwę. Rozszerzył swoje horyzonty umysłowe można było jedynie za pośrednictwem kultury polskiej. Dziś, gdy kultura litewska znalazła odpowiednie jej miejsce w stosunkach intelektualnych świata, gdy jej żywiołowa ekspansja pociąga coraz więcej obywateli Wielkiego Księstwa Litewskiego, wielu Polaków nawet nie pochodzenia litewskiego dołącza się do niej w poczuciu głębokiego przywiązania do kraju, w którym się urodzili lub wychowali.

A poza tym w wyniku specyficznych warunków życia, otoczenia, przyrody, tradycji wierzeń, ludności z którą współżyli, wytworzył się pośród Polaków mieszkających na Litwie historyczny nowy typ Polaka-Litwina; tak jak w architekturze barok, renesans czy gotyk uległy na Litwie wpływom tradycyjnych form budowlanych i w rezultacie dawały oryginalne formy architektoniczne, związane z miejscową tradycją, tak też powstał nowy typ kultury polskiej grupy etnicznej. To ci Polacy-Litwini zasilali odradzające się ruchy kulturalne pośród Litwinów i Białorusinów i wrastali w odpowiednie kultury. Takimi byli Michał

Romer, publicysta, redaktor „Dziennika Wileńskiego”, później — profesor uniwersytetu kowieńskiego. Tadas Iwanowskas, zoolog, profesor uniwersytetu kowieńskiego; rodzina Jaczynowskich w Szawłach; rodzina Zubowych i wielu innych, nazwiska których uleciały mi z pamięci.

Odrodzenie kultury białoruskiej równie w znacznej mierze odbyło się dzięki współpracy Polaków. Wybitną rolę odegrali dwaj bracia Łuckiewicz: inż. Nekanda Trepka, Wacław Iwanowski i wielu innych szczerych demokratów, którzy za swój obowiązek względem ludu uważali współpracę nad odrodzeniem jego kultury narodowej. Ciekawym przykładem w jaki sposób układ stosunków społecznych i politycznych odbija się na określeniu się oblicza etnicznego Polaka-Litwina daje historia mojej rodziny. Pochodzimy z powiatu Szczuczynskiego z okolicy zamieszkałej przez ludność białoruską, rodzina nasza osiadła tu od kilku wieków i uważała się zawsze za Polaków. Ojciec inżynier spędził większą część życia w Rosji, poczuwał się jednak zawsze do polskości i przyjmował udział w życiu społecznym polskim. Trzej synowie od wczesnej młodości zdradzają głębokie przywiązanie do rodzinnego kraju, które się wyraża w wieku chłopięcym pracami nad poznawaniem jego fauny i flory (zbiory ornitologiczne, ofiarowane później uniwersytetowi kowieńskiemu) czy też w studiowaniu miejscowego folkloru i języka, a później w walce o uwolnienie kraju spod jarzma carskiego. W ciągu lat uniwersyteckich zarysowują się oblicza etniczne braci. Jeden z nich, pod wpływem socjalistów litewskich, staje się żarliwym Litwinem, uczy się języka, żeni się z Litwinką i przyjmuje żywy udział w organizacjach litewskich. My dwaj, starsi, podpadamy pod wpływ PPS-u, stajemy się jej członkami i oddajemy się studiom nad sprawami narodowościowymi ówczesnej carskiej Rosji. Zagadnienie przyszłości naszej bliższej ojczyzny, Wielkiego Księstwa Litewskiego, zajmuje nas przede wszystkim. Nawiązujemy łączność a wkrótce stosunki przyjacielskie z Litwinami (Kejrys, Syrutowicz, Markunas, Maciejunas). Oddajemy sobie szereg wzajemnych usług, a widząc że ruch litewski rozwija się w słusznym kierunku emancypacji narodowej i zwalczania carskiej Rosji, w porozumieniu z kierownictwem PPS organizujemy grupę białoruską, która zajmuje się wydawnictwem pierwszych białoruskich pism socjalistycznych o kierunku niepodległościowo-narodowym. Z grupki tej powstała później białoruska Hromada. Po ukończeniu studiów Tadeusz udaje się do Kowna, gdzie wkrótce obejmuje katedrę w Uniwersytecie. Wacław porzuca karierę naukową i jedzie do Wilna, gdzie pracuje w Syndykacie Rolniczym, ja zaś, aresztowany i skazany na wysyłkę, po uwolnieniu mnie przez rewolucję w roku 1905 staję w Wilnie w szeregach PPS-u. W ten sposób każdy z nas zapałszy w przyszłość swojej ściślejszej ojczyzny ożywiony jej miłością poczuwa się do obowiązku pracy i walki

o nią, w innej grupie etnicznej nie osłabiając więzów wzajemnego braterstwa.

IV

Składną prostą sprawę komplikują się zwykle przez wprowadzenie do ich rozwiązania tak nieobliczalnego nowego elementu jakim jest uczucie. Wszyscy obywatele Wielkiego Księstwa Litewskiego a więc Polacy, Litwini i Białorusini żywią gorące uczucia przywiązania do Wilna tego „miłego” miasta, miasta Gedymina, lecz i Batorego, lecz i Mickiewicza, miasta Finaretów, Uniwersytetu Wileńskiego. Wszystkie trzy grupy etniczne przytaczają szereg racji prawnych i gospodarczych dla posiadania Wilna; wszystkie ich argumenty mogą być słuszne lub nie uznawane przez przeciwnika lub odrzucane lecz wszystkie są o tyle nieistotne, że dążąc do oddania Wilna jednej grupie etnicznej krzywdzą przez to dwie pozostałe. A przecież wszyscy walczymy pod jednym hasłem wolności człowieka jako podstawy dla wolności narodów. Czy możemy więc rozstrzygnąć ten spór w ten sposób, by któraś ze stron była pokrzywdzona? Nie, przyszłość którą chcemy budować musi dać wolność każdemu na swej ziemi, musi dać każdemu równe prawa do wszystkiego co kocha, a przede wszystkim do kolebki jego przeszłości historycznej. Wilno musi należeć do wszystkich trzech grup etnicznych, musi stanowić kondominium polsko-litewsko-białoruskie.

V

Pierwsza wojna światowa i rozbudzenie przez nią nacjonalizmu wszystkich narodów pozbawionych wolności, zmobilizowała dookoła hasła niepodległości Litwinów i skłoniła do zerwania z historyczną tradycją Wielkiego Księstwa Litewskiego, budzącą pośród młodej ludowej inteligencji obawy polskiej dominacji.

Na początku 1919 roku, gdy Sowiety zdołały zająć większość ziem historycznej Litwy, a Polska potrafiła już założyć pierwsze zręby niepodległego państwa, znaczna liczba uchodźców z Litwy zebrała się w Warszawie i rozpoczęła narady nad losami swojej bliższej ojczyzny przy udziale przedstawicieli rządu R.P. i pod auspicjami Naczelnika Państwa. Narady odbywały się w moim mieszkaniu przy placu Wareckim nr 4 (*). Przedstawicielem Naczelnika Państwa był Aleksander Prystor, on też informował Piłsudskiego o przebiegu zebrań. Łączność z rządem (gabinet Moraczewskiego a później Paderewskiego) utrzymywali dwaj ministrowie Iwanowski i Downarowicz. Uczestnicy zebrań przedstawiali szeroki wachlarz opinii politycz-

nej i społecznej ziem Litwy historycznej z przewagą Wilnian. Byli tam Witold Abramowicz, Zygmunt Jundziłł, Michał Romer, Bronisław Krzyżanowski, Wacław Makowski, Jerzy Osmałowski, Aleksander Rożnowski i wielu innych. Na zebraniach omawiano ogólne zasady ustroju wschodniej Europy po uwolnieniu jej od bolszewików i organizację władz ziem uwolnionych przez wojska polskie. Nastrój panował optymistyczny. Nikt nie wątpił w zwycięstwo a z nim razem w uwolnienie Wilna od wroga. Piłsudski przygotował swą piękną i mądrą odezwę do mieszkańców W. K. Litewskiego. Myślą jego przewodnią było wspólne wystąpienie razem z przedstawicielami Kowna do miejscowej ludności w momencie wejścia do Wilna wojsk polskich. Ten akt solidarności polsko-litewskiej byłby korzystny dla obu krajów i płodny w skutki historyczne. Litwie zapewniłby on związanie jej terytorium etnicznego ze stolicą Wilnem i uzupełniłby jej terytorium tworząc całość o poważnym obszarze. Należało przede wszystkim uzyskać zgodę Litwinów. W tym celu zostali delegowani do Kowna negocjatorzy w osobach Z. Jundziłła, Michała Romera i pana Łukowskiego. W Kownie odbyło się zebranie z członkami rządu litewskiego w obecności p. Prezydenta Smetony w wyniku którego propozycja polska została odrzucona a nazajutrz Z. Jundziłł został aresztowany. W ten sposób została opuszczona rzadko zdarzająca się okazja powstrzymania biegu wypadków, które zdążyły do rozbicia na dwie odrębne części terytorium Litwy historycznej z nieobliczalną szkodą dla obydwu części.

Lecz myśl nawiązania łączności z Litwą etnograficzną nie opuszcza Piłsudskiego. Przy otwarciu uniwersytetu wileńskiego w przemówieniu swym mówi on: „*Niechże więc ta wszechnica, którą tu dziś otwieram, zgodnie z tradycją tej ziemi nie ziele nigdy jadem nienawiści, niech nie kroczy nigdy drogami, które dla nas Polaków tak ciężkimi były*”.

3-go sierpnia 1919 roku minister L. Wasilewski i major Kasprzyski po uprzednim porozumieniu z Z. Birżyszczą, ówczesnym redaktorem „Głosu Litwy” w Wilnie, wysłani byli przez Piłsudskiego do Kowna w celu przedstawienia rządowi litewskiemu projektu zwołania wspólnej konstytuancy w Wilnie dla obszaru ziem byłego W. K. Litewskiego. Rząd litewski propozycję odrzucił. W październiku 1919 roku Piłsudski projektował zwołanie do Wilna konferencji Finlandii, Estonii, Łotwy, Litwy i Polski w celu odtworzenia związku polsko-bałtyckiego i wspólnego frontu przeciw-bolszewickiego. Litwa odmówiła udziału wskutek czego związku nie udało się odtworzyć.

Sprawa sporu polsko-litewskiego przeszła w ręce Ligi Narodów. Po zaniechaniu myśli plebiscytu (na skutek protestu Sowieta) belgijski minister Hymans przedstawił stronom projekt rozstrzygnięcia sporu na zasadzie rozwiązania kantonalnego. I ten projekt został odrzucony przez stronę litewską.

A w dwa dni po oficjalnym przejęciu Wilna przez Rzeczpospolitą na zasadzie jednogłosnej decyzji Sejmu wileńskiego

(*) Z. Jundziłł w swoich wspomnieniach o tych zebraniach mylnie podaje, że zebrania odbywały się w mieszkaniu A. Prystora.

Piłsudski mówił: „...Lecz przez cześć dla przeszłości, przez szacunek dla krwi wspólnie przelanej, dzisiaj w dniu wielkiego triumfu, triumfu polskiego... nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący ręki do tych, tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego triumfu uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki nawołując do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci...”

VI

W połowie września po zwycięstwie pod Warszawą a przed bitwą nad Niemnem konfiguracja sił na froncie dawała możliwość dwojakiego rozstrzygnięcia: albo uderzenia z rejonu Polesia prawym skrzydłem, lub też lewym z okolic suwalszczyzny. Pierwszy plan, którego autorem był generał Rozwadowski, miałby na celu zepchnięcie bolszewików na północ; przy realizowaniu jego, w pościgu za cofającym się nieprzyjacielem Wilno byłoby zajęte a ostateczna rozgrywka z czerwoną armią odbyłaby się na terytorium Litwy etnograficznej. Plan ten, uznany za osiągalny pod względem strategicznym, był odrzucony przez Piłsudskiego, który oświadczył, iż Litwini nigdy by nam nie wybaczyli żeśmy wepchnęli bolszewików na ich ziemie. Przystąpiono do uderzenia lewym skrzydłem przez Druskienniki na Lidę. Akcja była w pełnym rozwoju, gdy pod presją aliantów w Suwałkach podpisano prowizoryczne porozumienie, mocą którego Wilno pozostaje poza linią demarkacyjną. Było to 7 października 1920 roku gdy gen. Żeligowski był o 25 klm. od Wilna. Gen. Żeligowski nie wstrzymał marszu i 9-go zajął Wilno. Dla wyjaśnienia sytuacji należy przypomnieć, iż Sowiety, dekretem Rady Komisarzy Ludowych z dnia 29. 8. 1918 roku, unieważniły traktaty rozbiorowe Polski z czego wynikało iż rząd sowiecki rzekł się prawa własności nad terenami, które przypadły Rosji na mocy rozbiorów. Pomimo to w dwa lata później traktatem z dnia 12. 8. 1920 rząd sowiecki przekazuje Litwie tereny z Grodnem, Wilnem i Suwałkami ogółem około 27.000 klm. kw., których się przedtem rzekł na rzecz Polski. Na mocy tajnej klauzuli tego traktatu Litwini współdziałali z bolszewikami a Wilno, jako poważny węzeł kolejowy, nabierało wielkiego znaczenia dla wojsk, mających go w posiadaniu.

Litwa środkowa miała być próbą tworzenia polskiego kan-tonu w projektowanej przez Piłsudskiego federacji kowieńsko-wileńsko-mińskiej a jej istnienie mogło posłużyć za argument w ewentualnych pertraktacjach z Litwinami. Istniała również obawa, iż po zajęciu Wilna przez polskie wojska podległe sejmowi, to jest wojska nie „zbuntowane” (jakimi były wojska gen. Żeligowskiego) nastąpi uchwała sejmu, przeciwstawiającego się federalistycznym projektom Piłsudskiego do bezpośredniego wcielenia Wilna do Rzeczypospolitej Polskiej, uniemożli-

wiając w ten sposób wysłuchanie opinii miejscowej ludności i nawiązanie pertraktacji z Litwinami.

Zatrzymałem się dłużej nad motywami marszu na Wilno gen. Żeligowskiego wobec twierdzenia pana Girniusa, iż pośród Litwinów fakt ten zniszczył zaufanie do narodu polskiego. Nie czuję się powołanym do wydania opinii o uczuciach narodu litewskiego, wywołanych przez marsz gen. Żeligowskiego, lecz chciałbym w tej chwili przypomnieć jak przykre wrażenie na społeczeństwie polskie zrobiły wiadomości o współpracy Taryb z Niemcami i włączenie tajnego punktu o współdziałaniu z bolszewikami w traktacie z dnia 12. 7. 1920 roku, o negatywnym stosunku ministra Purickisa do uznania niepodległości Litwy przez rząd polski, o stordedowaniu przez Litwę Konferencji państw bałtyckich w dniu 12. 10. 1919 roku w Wilnie a później w Tartu, o stanowisku Litwy na konferencji bałtycko-czarnomorskiej w Bulduri, kiedy Litwa sprzeciwiała się dopuszczeniu do obrad Ukraińców, twierdząc iż sprawa ukraińska jest wewnętrzną sprawą rosyjską. Nie chcę poruszać tych bolesnych momentów w historii naszych wzajemnych stosunków. Są one w tej chwili zaledwie fragmentarycznymi przyczynkami do dziejów prób pojednawczych i nie mogą mieć wpływu na ułożenie się stosunków między dwoma narodami w najbliższej przyszłości, tak jak, w moim mniemaniu, nie może mieć pod tym względem znaczenia i marsz gen. Żeligowskiego. Dziś warunki się radykalnie zmieniły i Litwa i Polska jednakowo zagrożone są przez groźnego wspólnego wroga. Ich kultura, ich życie umysłowe, ich gospodarstwo narodowe, znalazły się pod tą samą presją, ich łączność intelektualna ze światem zerwana, komunikowanie się z najbliższymi sąsiadami uniemożliwione. W tych warunkach nasze narody po 20-letniej przerwie znów stanęły przed kardynalnym zadaniem zachowania swego bytu narodowego przez wywalczenie sobie niepodległości, zapewniającej pełny i swobodny rozwój życia zbiorowego. Zarysowuje się obraz nowej, upartej ciężkiej walki o byt, o zabezpieczenie sobie spokojnej przyszłości, o znalezienie odpowiedniego miejsca w społeczności narodów środkowej i wschodniej Europy. Czy możemy stawiać za wzór dla przyszłości historycznej przeszłość W. K. Litewskiego? Historia nie powtarza się, szczególnie w tak zmienionych społecznie i politycznych warunkach w jakich żyją obecnie nasze kraje. Natomiast dzieje W. K. Litewskiego są żywym przykładem, iż solidarność trzech narodów polskiego, litewskiego i białoruskiego, wytworzona pod wpływem wspólnej postawy przyrodniczej, przesądziła na długie wieki ich charakter i przyszłość. Położenie geograficzne obszaru Litwy historycznej było zasadniczą przyczyną ciężania jej ekonomiki i cywilizacji ku Bałtykowi i zachodowi. Z drugiej znów strony sąsiedztwo ze wschodu i zachodu z potężnymi organizacjami gospodarczymi i militarnymi zdecydowało o konieczności połączenia sił do walki na dwa fronty, wytworzyło warunki współistnienia i współpracy trzech indywidualności narodowych

przy których właściwości poszczególnych grup etnicznych znakomicie się uzupełniały.

Czyż przyszły układ stosunków międzynarodowych centralnej i wschodniej Europy nie wykorzysta doświadczeń wiekowego współżycia tego wielkiego zespółu narodów o wspólnym podłożu geograficznym dla nowych form bytowania. I czy nie jest wskazane aby mając na oku przyszłość narodów przystępowali do budowania tej przyszłości jako przyjaciele a nie wrogowie?

Powinniśmy jasno zdać sobie sprawę iż przed nami leżą jedynie dwie możliwości, albo dobrowolny związek wolnych narodów, złożonych z wolnych ludzi, dający gwarancję siły i bezpieczeństwa, albo niewola narzucona przez barbarzyństwo z całkowitym zanikiem wolności i godności ludzkiej.

Moje przystąpienie do „Dialogu” chciałbym zakończyć jeszcze jednym wspomnieniem, które jak barwny kwiat wylania się na ciemnym tle różnic polsko-litewskich w okresie 20-lecia. Jest to stosunek społeczeństwa i ludu litewskiego do rozbitków wojsk polskich i uchodźców cywilnych, szukających schronienia w granicach Litwy przed grozą nawały niemieckiej i bolszewickiej we wrześniu 1939 roku. Takiego współczucia, tak delikatnie pojętej wyrozumiałości, tak szczerej pomocy nie okazał nam żaden naród. Jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej umilkły wszelkie animozje, wszelkie wrogi nastawienia, wszelkie dawne pretensje, a odżyły uczucia szacunku dla pokonanego przeciwnika, uczucia współczucia dla rozbitków, którym trzeba pomóc. Może już wówczas podświadomą rolę odgrywały obawy o przyszłość własnego kraju, los którego miał być zrównany z nieszczęściem spadającym na niedawną nieprzyjazną Polskę? Ten ostatni akt naszych bezpośrednich zetknięć bezwątpienia będzie miał głębokie znaczenie dla układu przyszłych stosunków polsko-litewskich a wspomnienie o nim niech nam przyświeca w inicjatywie podjętej przez „Kulturę”.

Tadeusz KATELBACH

Od kilku lat nie zabierałem głosu w sprawach polsko-litewskich. W całym okresie emigracyjnym tylko dwa razy spotkałem się z wybitniejszymi politykami litewskimi. Raz — bodaj w początku 1941 roku w Lizbonie, gdy w drodze do Stanów Zjednoczonych zatrzymał się w tym mieście ostatni prezydent Litwy — Smetona. Towarzyszył mu dobry mój znajomy, jeden z współtwórców litewskiego odrodzenia, również dziś nieżyjący — Iczas. Później, już w kilka lat po wojnie, brałem udział w interesującym spotkaniu polsko-litewskim w Londynie. Stronę litewską reprezentował minister Sidzikauskas i pani Avietinajtie, stronę polską — ministrowie: Tarnowski, Sokołowski,

Gwiazdoski i — ja. Do tych paru spotkań ogranicza się moje czynne zainteresowanie sprawami litewskimi w okresie emigracyjnym. Natomiast nigdy nie zrywałem z nimi kontaktu, wiedząc z grubsza, co się na tym odcinku dzieje i, w miarę możliwości, śledząc głosy litewskie na wspólne obu narodom tematy.

Po przeczytaniu w „Kulturze” artykułu p. dr. Juozasa Girniusa („W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego”), postanowiłem przerwać długotrwałe milczenie. Czy dlatego, że w ogóle odczuwałem potrzebę włączenia się do dialogu polsko-litewskiego? A może dlatego, że artykuł p. Girniusa wniósł do tematyki polsko-litewskiej pod względem merytorycznym jakieś nowe elementy? Ani jedno, ani drugie.

Mam za sobą w sumie dobrych kilka lat życia w czasie których głównym moim zajęciem było właśnie prowadzenie dialogów z Litwinami. Z politykami, dziennikarzami, literatami, wojskowymi, księżmi, lekarzami, prawnikami, nie wyłączając tzw. szarych ludzi. W tych dialogach przegadałem wszystko. Nie chciało mi się do nich wracać. Zwłaszcza, że — choć od czasu moich rozmów upłynęło bez mała lat dwadzieścia, a cała Europa zdążyła zmienić nie do poznania swe oblicze — wydawało mi się, iż nie wiele uległo zmianie w tematyce polsko-litewskiej. Artykuł p. Girniusa jest zresztą — gdy o merytoryczną stronę jego wywodów chodzi — świeżym tego przykładem. Wywody jego, poświadczone różnicy poglądów polskich i litewskich na niedawną czy historyczną przeszłość, nie wnoszą nic nowego. Również do tematów dawno obustronnie przegadanych należą: Umowa Suwalska, akcja Żeligowskiego, rzekomo „intensywne” prześladowania Litwinów na Wileńszczyźnie, czy wreszcie temat nad tematami, zwany przez Litwinów „problemem Wilna”, od którego rozwiązania — jak pisze dr Girnius — zależy przyszłość polsko-litewska.

Lecz jest w wywodach litewskiego pisarza coś, co zasługuje na uwagę i co spowodowało, że włączam się do dyskusji. To jego szlachetny idealizm. P. Girnius poszukując właściwej płaszczyzny przyszłych dialogów polsko-litewskich pragnie ją oczyścić z „czystej polityki”. Wychodzi on z założenia, że całości kształtu stosunków między obu naszymi narodami „nie da się sprowadzić do problemu czysto politycznego”. Chce te dialogi wyzwolnić z „przesądów nacjonalistycznych”, „spod destruktywnego wpływu wspomnień niedalekiej przeszłości, obfitej w absurdałne nieporozumienia i konflikty”. Dążąc szczerze do trwałego ułożenia przyszłych stosunków polsko-litewskich, szuka „kryteriów moralnych”, uważając że „czysta polityka” jest synonimem siły i podstęp, nie zaś prawa i pokoju. „Tragiczne doświadczenie drugiej wojny światowej — pisze — zmusza nas do zademonstrowania naszego obrzydzenia polityką, która zasady moralności poświęca kompromisom dnia...” „Tęsknota za wolnością, którą żyją, zarówno Polacy jak i Litwini, powinna iść w parze z tęsknotą za nowym duchem między naszymi narodami”.

Ten szlachetny idealizm litewskiego autora, pragnącego oprzeć stosunki polsko-litewskie na kryteriach moralnych, wzajemnym zrozumieniu i dobrej woli, wywołał we mnie odległe wspomnienia jesieni 1933 roku. Przyjechałem wówczas do Kowna. Choć byłem politykiem, widocznie „czystym politykiem” nie byłem. Udając się bowiem wprost z Berlina do stolicy odrodzonego państwa litewskiego, zabierałem i ja z sobą bogaty bagaż idealizmu. Nie tylko pragnąłem likwidacji anormalnych stosunków między obu państwami. Chodziło mi o wzajemne zrozumienie, o zbliżenie psychiczne dwóch narodów, żyjących w bezpośrednim sąsiedztwie, a wciąż oddzielonych od siebie murem nieprzebytym. Przecierając Litwinom dyskretnie ich okulary stale zaproszone pyłem, bądź niemieckiej bądź sowieckiej nienawiści do Polski, owemu tematowi wzajemnego zrozumienia poświęciłem lata rozmów i dziesiątki korespondencji pisanych do Polski z Kowna.

W korespondencjach tych tłumaczyłem Polakom, że historia Polski i Litwy — to bezpowrotna przeszłość i że współcześni Litwini dawno już dostrzegli w niej najgroźniejsze niebezpieczeństwo dla swej kultury i własnej odrębnej, państwowości.

„Dziś — pisałem w październiku 1933 roku — dumni są, że ta samobrona kulturalna uwieńczona została powodzeniem i że dzięki odcięciu się od Polski wąż roślina narodowej kultury litewskiej rozrosła się już do rozmiarów rośliny, której kwiat nie rozkwitł jeszcze zbyt wielkim bogactwem barw, za to pędy jej poszły głęboko w ziemię”. A do Litwinów zwracałem się w listopadzie tegoż roku: „Nie lekceważę narodowych haseł litewskich, nie lekceważę żalów litewskich pod adresem Polski. Nie piszę też tych słów po to, aby namawiać Litwinów do rozpoczęcia zmiany kursu politycznego wobec Polski. Lecz wydaje mi się, że zupełnie niezależnie od tego kursu, we własnym interesie, winni skończyć z istniejącym paradoksem. Właściwa treść tego paradoksu polega na tym, że naród litewski od kilkunastu lat wypowiada żądania i żale pod adresem narodu polskiego, z których do Polski przedostają się tylko stereotypowe formuły, nie przedostaje się natomiast rzecz najważniejsza — głęboka, żywa treść życia litewskiego. Trudno i darmo: naród, który chce być zrozumiany przez inny naród, musi do niego przemawiać, choćby najtrudniej, lecz nie zza muru, którego trzynastoletnia budowla tamuje przenikanie do Polski właściwego dźwięku litewskiej mowy”.

Chodziło mi więc wówczas, jak dziś chodzi p. Girniusowi, przede wszystkim o wzajemne zrozumienie. Nie zapomnę nigdy, z jakim zapalem doglądałem wszystkiego w Kownie, by wydany został na czas „litewski numer” warszawskich „Wiadomości Literackich”. Nie zapomnę, jak ucieszyła mnie w tym samym, 1934 roku, wiadomość, że nawet młodzi nacjonaliści litewscy, grupujący się wokół pisma „Nova Romuva”, zdecydowali wydać „polski numer” swego pisma. Ale równocześnie, ani przez

chwilę nie zapomniałem o tym, że centralnym punktem dialogu polsko-litewskiego — jest tzw. sprawa Wilna.

Przed swym wyjazdem do Kowna w długich, poufnych rozmowach, prowadzonych z mym nieodżałowanym przyjacielem Kazimierzem Wyszyńskim snuliśmy warianty różnych projektów takiego rozwiązania sprawy, które przekształcałoby Wilno w miasto wspólne obu narodów, w miasto, co te narody łączy, a nie dzieli. W tych samych rozmowach doszliśmy do wniosku, że należy robić wszystko, aby w przyszłości nie były użyte z naszej strony wobec Litwy środki przymusu lub siły. Tak wewnętrznie uzbrojony sądziłem, że zdołam skłonić Litwinów do stopniowej normalizacji stosunków polsko-litewskich. Wierzyłem, że ich dobrowolna zgoda na akt normalizacyjny otworzy możliwości rozmów na temat Wilna. W wierze tej utwierdzały mnie słowa Marszałka Piłsudskiego. Lecz równocześnie Marszałek nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że w tym czasie (1933-1935) warunkiem sine qua non wszelkich, dalszych dyskusji polsko-litewskich musi być zgoda Litwy na normalizację stosunków z Polską. Wiedziałem, że nikt w Polsce, prócz Piłsudskiego, nie będzie miał siły postawienia kiedyś sprawy Wilna, jako miasta, które ma się stać własnością obu narodów. Dlatego sugerowałem ministrowi spraw zagranicznych Litwy, panu Łozorajtisowi, myśl, przynajmniej na razie, utworzenia stałych delegacji: litewskiej w Warszawie i polskiej w Kownie, których zadaniem byłoby przygotowanie normalizacji stosunków polsko-litewskich. Ostrzegałem, że czasu jest mało, gdyż w razie śmierci Marszałka trzeba będzie pogrzebać wszelkie nadzieje na takie rozwiązanie spraw polsko-litewskich, które umożliwiałoby w przyszłości załatwienie „problemu Wilna”. O ile mnie pamięć nie myli na dwa czy trzy dni przed śmiercią Marszałka przyjął mnie p. Łozorajtis. Zadowolony, choć zawsze ostrożny w doborze słów, dał mi wyraźnie do zrozumienia, że moja sugestia została pozytywnie potraktowana przez Prezydenta Smetonę. Gdy uszczęśliwiony tą wiadomością przygotowywałem się w drodze do Warszawy, otrzymałem z Berlina telefon zawiadaniający o śmierci Marszałka. W kilka miesięcy potem, po okresie wyraźnie zarysowującego się odprężenia w stosunkach polsko-litewskich, nastąpił szybki odwrót na dawne pozycje — jakby powiedział dr Girnius — „czystej polityki”. W początkach 1937 roku musiałem opuścić Kowno. Błędy Kowna wywołały ostrą reakcję Warszawy. Pod presją polskiego ultimatum, w marcu 1938 roku, dokonana została normalizacja stosunków polsko-litewskich.

Piszę o tym wszystkim dlatego, aby powiedzieć dr. Girniusowi, że nawet jego szlachetne wezwanie o znalezienie kryteriów moralnych, jako podstawy rozmów polsko-litewskich, nie jest pełnym — novum. Należałem już przed laty do tych, którzy w podobny sposób jak on, podchodzili do zagadnienia. I, mimo zawodów i rozczarowań, pozostałem nadal wyznawcą kryteriów moralnych, nie mieszczących się w martwych formu-

lach „czystej polityki”. Co więcej, o konieczności pogłębiania tych kryteriów w dzisiejszej dobie przekonała mnie lektura różnych wypowiedzi litewskich. Exempli modo wspomnę tylko o jednej.

W sierpniu ubiegłego roku na łamach „Europos Lietuvis” ukazał się długi artykuł omawiający stosunki polsko-litewskie p. Simasa Sužiedelisa. Artykuł świadczy, zarówno o opanowaniu przez autora tematu, jak i o jego absolutnej niemocy wyzwolenia się z istnej dżungli nonsensów, urazów, antypolskich żalów i sądów, których szkoda byłoby tu powtarzać. P. Sužiedelis straszy po staremu Litwinów widmem zaborczej Polski, wyciągającej chciwe ręce po Lwów, Wilno i... Królewiec. Uspakaja ich tylko tym, że w razie zwycięstwa nad Moskwą, na przeszkodzie zaborczym zapędowi polskiemu staną większe siły sojusznice, okupujące przejściowo całą Europę środkowo-wschodnią. W mniemaniu p. Sužiedelisa siły te mogą odegrać rolę gwaranta granic dzisiejszej sowieckiej republiki litewskiej, ba, może nawet powiększonej! P. Sužiedelis nie może się bowiem uspokoić, że w granicach obecnej Polski znalazła się południowa część Suwalszczyzny... Po takich oto zachęcających do polsko-litewskiego dialogu wywodach, wypowiada się łaskawie za szukaniem zbliżenia z „rzeczowymi” Polakami, lecz przede wszystkim wzywa Łotyszów i Estończyków do tworzenia wspólnej federacji, ostrzegając ich, że w razie oddzielenia Litwy od Niemiec przez Polskę, Bałtowie zostaną otoczeni przez Słowian i pozostawieni z nimi sam na sam.

Jakich „rzeczowych” Polaków ma na myśli ten „czysty polityk” litewski — trudno jest odgadnąć. Nie ma bowiem naprawdę rzeczowego Polaka, który nie uważałby dzisiejszej, zachodniej granicy Polski za nienaruszalną. Nie ma również Polaka, który wyrzekałby się Lwowa i Wilna. Lecz każdy myślący Polak wie dobrze, że po zerwaniu więzów komunistycznej niewoli, Polska może stanąć na swej wschodniej granicy w obliczu nowych zagadnień. Rozpadające się imperium sowieckie pozostawi w spadku po sobie republiki, które samo kreowało. Dziś, posłuszne każdemu sowieckiemu skinieniu, jutro — wołą ludności autochtonnej proklamują swą niepodległość, zrywając więzy z moskiewskim centralizmem. Każdy Polak musi się liczyć z tą ewentualnością, rozumiejąc, że wyzwolona Polska może graniczyć nie tylko z wolną Litwą, lecz z wolną Białorusią i Ukrainą. Nie ulega wątpliwości, że z narodami tymi naród polski będzie pragnął nie tylko współżyć po sąsiedzku, lecz razem wykuwać własną i ich przyszłość. Na ołtarzu tych nadrzędnych, wspólnych celów i zadań, każde państwo tego rejonu, nie tylko Polska, będzie musiało składać ofiary. Tylko wówczas Polacy gotowi byłiby zgodzić się na rozwiązania głoszące, że Wilno nie jest ani wyłącznie polskie, ani litewskie, lecz wspólne i że tak samo wspólny, to znaczy ani ukraiński, ani polski, jest Lwów.

Kto w takim podejściu pragnie z chorobliwym uporem do-

szukiwać się ukrytego żądla polskiego imperializmu — niech bredzi dalej. Kto jednak z Litwinów da temu wiarę, że współczesna myśl polska rozwija się po linii koncepcji wyzwolonych „spod destrukcyjnego wpływu wspomnień niedalekiej przeszłości” i oparcia ich na szerszych podstawach moralno-politycznych, ten przekona się, że dialog z Polakami jest nie tylko konieczny, lecz nawet wcale łatwy.

Oswojenie się z nowym duchem czasu nie jest przemianą, która może się dokonać z dnia na dzień. Na pewno nie wszyscy Polacy już się z nim oswoiili. Ale wszyscy w tym mickiewiczowskim roku mówią z dumą o sobie, że nieraz potrafili być heroldami wielkich, moralnych idei uniwersalistycznych i, mimo błędów „czystej polityki” polskiej, zachowali te idee w kości i krwi. I dlatego prędzej lub później zrozumieją — nowego ducha wielkiego zakrętu historii, na którym się znajdujemy.

Byłe go tylko inni w czas zrozumieli.



LEKARSTWA

D O P O L S K I

WYSYŁAMY NATYCHMIAST PO OTRZYMANIU ZAMÓWIENIA

TAZAB

Streptomycyna 10 gr. ...	£ 3,20
Streptomycyna 20 gr. ...	£ 6,00
Streptomycyna 30 gr. ...	£ 8,80
Penicylina ol. 5 x 10 cc. (15 ml.) ...	£ 4,15
Witamina B-12, 50 amp. @ 50 mg. ...	£ 3,40
Witamina B-12, 25 amp. @ 100 mg. ...	£ 2,60
Witamina A. D. (tran) 500 kaps. ...	£ 3,50
Serpasil @ 0,25 mg. 100 tabl. ...	£ 2,80
Reazid 100 tabl. ...	£ 1,80

Na specjalne żądanie (za opłatą £27.0 za pierwsze 10 kg. wagi i po 6/- za każdy następny kilogram) wysyłamy leki i inne towary

FRACHTEM SAMOLOTOWYM przez B. E. A. i LOT

co gwarantuje otrzymanie paczki w Warszawie w 24 godziny, a w centrach prowincjonalnych, gdzie jest lotnisko Lotu w 48 godzin. Kolumna samochodów TAZABA odwozi przesyłki na lotnisko.

22. ROLAND GARDENS + LONDON + S.W.7

Wolna Trybuna

O reorganizację polskiej akcji zagranicą

Zamieszczając niezmiernie ciekawy i charakterystyczny artykuł p. T. Brzezińskiego spodziewamy się, że wywoła on ożywioną dyskusję ze strony przedstawicieli organizacji polonijnych i z innych terenów, a przede wszystkim Polonii Amerykańskiej. Tym ewentualnym wypowiedziom chętnie użyjemy miejsca na łamach „Kultury”.

Jeśli najbliższe lata nie przyniosą zmian w obecnej sytuacji politycznej i jeśli obrona praw narodu polskiego do niepodległości spoczywać będzie w znacznej mierze i na dłuższy okres czasu na Polakach zagranicą, to wypadnie zastanowić się poważnie nad najwłaściwszą formą organizacyjną celem spełnienia tego zadania.

Wypadnie zatem poddać rewizji dotychczasową koncepcję ukształtowaną dokoła podstawy tzw. państwa na wychodźstwie. Koncepcja ta miała swą pełną wymowę w okresie wojny i wykonała dla sprawy polskiej pozytywną i rzeczywistą służbę. Również w okresie pierwszego dziesięciolecia po zakończeniu wojny i narzuceniu Polsce rządu komunistycznego, istnienie zagranicą symbolu niezawisłego rządu polskiego, aczkolwiek pozbawionego wszelkich niemal atrybutów fizycznej władzy państwowej miało swoje duże znaczenie moralne i to będzie miało swą trwałą pozycję w naszej historii.

Tym niemniej, obecnie, wobec upływu czasu oraz stałego zmniejszania się liczby obywateli polskich zagranicą przez wywołany rzeczywistością życia fakt nabywania przez nich obywatelstwa państw zamieszkania, koncepcja państwa na wychodźstwie traci coraz bardziej grunt pod nogami. Nie tylko już brak jej terytorium państwowego, ale z dniem każdym maleje zespół obywateli, a dalsze przekazywanie symbolów władzy państwowej z rąk do rąk w drodze nominacji, odbiega zbyt daleko od wymogów demokracji.

W tym stanie rzeczy dojrzeła konieczność rozważenia i przygotowania odmiennych ram organizacyjnych dla polskiej akcji politycznej zagranicą.

Gdzie szukać należy dla nich oparcia, aby służba sprawie polskiej ze strony Polaków, żyjących w wolnym świecie, nie tylko nie została przerwana, ale mogła być prowadzona na dalszą metę w sposób jak najskuteczniejszy i z wyzyskaniem całości sił żywiołu polskiego zagranicą?

Jedyną logiczną odpowiedzią na to pytanie wydaje się ta, że oparciem tym winna stać się cała tzw. Polonia zagraniczna. W spełnieniu tego zadania dopatrzeć się nawet można historycznej poniekąd misji dla tej Polonii.

Nie wdając się jednak w abstrakcje, pragnę na tym miejscu poddać dyskusji przede wszystkim stronę praktyczną zagadnienia, a więc czy i w jaki sposób Polonia zagraniczna mogłaby omawiane zadanie wziąć na siebie oraz wykonywać je z największym pożytkiem dla sprawy polskiej.

Sądzę, że jest to możliwe i że istnieją nawet już obecnie zasadnicze podstawy organizacyjne pod rozbudowę odpowiedniego systemu.

Na całym szeregu terenów osiedlenia Polonii zagranicznej istnieją związki centralne o typie federacyjnym, reprezentujące całość Polonii danego terenu. Ma to miejsce w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Francji, Anglii, Argentynie, Brazylii, Australii, że wymienię tylko większe i ważniejsze.

Nie wchodząc w szczegóły natury technicznej, wydaje się możliwe wyłonienie na tej podstawie jednego ciała nadrzędnego w rodzaju Światowej Rady Polaków zagranicą, do której weszliby przedstawiciele wszystkich wchodzących w rachubę terenów. Rada taka miałaby istotny tytuł do tego, by stać się prawdziwą reprezentacją całości wolnych Polaków wobec wolnego świata. Z tego rodzaju reorganizacją polskiej akcji politycznej zagranicą wiązałby się cały szereg korzystnych następstw w różnych dziedzinach.

Najważniejsze z nich byłyby następujące:

- 1) Nastąpiłoby wprężenie do służby sprawie polskiej i stopniowe uaktywnienie szerszych mas Polonii, która dotychczas, mimo swej liczebnej przewagi, miała jedynie rolę subdyktarną w stosunku do tzw. politycznego wychodźstwa polskiego;
- 2) We wszystkich niemal państwach wolnego świata zaistniałyby od razu ipso facto reprezentacje interesów polskich, działające legalnie na zasadzie prawa miejscowego i uznawane jako takie przez odnośne rządy. Byłoby to znacznie pożyteczniejsze niż istnienie i utrzymywanie paru oficjalnych placówek w miejscach dość przypadkowych lub nieoficjalnych i nie uznawanych przedstawicieli;
- 3) Reprezentacja interesów polskich uległaby pożądaney demokracji, tak w sensie oparcia się o współpracę i kontrolę ze strony całego żywiołu polskiego zagranicą, jak również przez fakt pochodzenia swego z wolnych wyborów zorganizowanej Po-

lonii. Ten sposób powoływania reprezentacji pozostawiłby równocześnie otwartą drogę do odświeżenia mandatów społecznych tym uchodźczym działaczom i politykom polskim, którzy wstępując w szeregi zorganizowanej Polonii na poszczególnych terenach, ze swej strony mogliby się przyczynić do ożywienia aktywności całej Polonii;

4) Przemawiająca do szerokich mas koncentracja wysiłku, jednolity cel oraz zapewnienie tak odpowiedzialności kierownictwa jak kontroli ogółu, wpłynęłoby niewątpliwie na zwiększenie świadczeń pieniężnych na potrzeby rzeczowe całej akcji i zagwarantowałoby trwalsze podstawy pracy politycznej oraz kulturalno-oświatowej na dłuższą metę.

Uwagi powyższe stanowią jedynie skondensowany zarys problemu, którego rozszerzone i pogłębione przedyskutowanie wydaje mi się aktualne w obecnym, do pewnego stopnia przejściowym okresie.

Uwagi te są wyrazem mojej opinii osobistej i nie angażują organizacji, do której należę.

Tadeusz BRZEZINSKI,
przewodniczący Rady Kongresu Polonii Kandyjskiej.

O Radę Gospodarczą Emigracji

„Cokolwiek chcemy zrobić, musimy na to zdobyć jakieś środki”.

W.A. Zbyszewski Nr 11/85 „Kultury”.

Co tu obwijać w bawelne! Potrzeba nam pieniędzy, dużo pieniędzy. Od obcych możemy dostać tylko w formie zapłaty za obecne czy przyszłe usługi. Musimy więc te pieniądze na emigracji sami wygospodarować. Czy jest to możliwe?

Losy rzuciły mnie do Brazylii. Obserwuję zawrotne tempo rozwoju tego olbrzymiego kraju. Oczywiście inflacja, związana z nią drożyzna, wszystkie ujemne strony monokultury kawowej. Równocześnie jednak szybkie tempo rozwoju przemysłu, rozbudowa miast, elektryfikacja, motoryzacja — wszystko staraniem kapitału prywatnego. Mimo rozdętych amerykańską propagandą utrudnień dla kapitału zagranicznego, pcha się on tutaj na całego. Przewodzą obecnie Niemcy, pragnący odzyskać dawne wpływy na rynkach Południowej

Ameryki. Przed wojną ich banki finansowały na wielką skalę drobny i większy przemysł kolonistów niemieckich w stanach Santa Catarina i Rio Grande do Sul. W ich poselstwach czy konsulatach radca lub attaché handlowy grał zawsze ważną rolę. Załamała się struktura polityczna Niemiec, ale ich wpływ na życie gospodarcze Brazylii pozostał. Roczny bilans banku INCO, działającego w południowych stanach Brazylii, przekracza 3 miliardy cruzeirów (1 dolar US=ca. 90 cruz.; 1 £=ca. 220 cruz.). A przecież INCO to dawny bank niemiecki, założony przed wojną. Trwa, prosperuje, rozrasta się, nadal udziela pożyczek kolonistom niemieckim, finansuje ich przedsięwzięcia, cementuje świadomość solidarności etnicznej. No i zapewne przynosi zyski.

Kapitał w Brazylii jest bardzo drogi. Dyskonto weksla w przeciętnym banku prowincjonalnym wynosi 12% rocznie. Bank płaci od zdeponowanego kapitału najmniej 7% rocznie, często do 10% rocznie. Zaciągając pożyczkę hipoteczną na pierwszą hipotekę trzeba zapłacić 24-36% rocznie. Nic też dziwnego że tak drogi kapitał wymaga szybkiej amortyzacji. W niewielu dziś krajach można czytać ogłoszenie w gazecie o sprzedaży za dwa miliony cruzeirów obiektu, przynoszącego dochód miliona cruzeirów rocznie. W takim wypadku kapitał amortyzuje się w ciągu dwu lat. Nie znam żadnego innego kraju, w którym byłoby to możliwe. Kilka lat temu przedstawiłem stanowemu rządowi Parany projekt budowy nowej pasteryzatorni mleka na 40.000 litrów mleka dziennie. Przy ówczesnym wydatku 15 milionów cruzeirów i niepodwyższonej cenie mleka kapitał wyłożony zwróciłby się w dwa lata. Projektu tego z braku pieniędzy nie wykonano i 90% mieszkańców Kurytyby pije nadal mleko niepasteryzowane. Aż prawdopodobnie zwróci uwagę na tę anomalie kapitał niemiecki, dostanie koncesję na dziesięć lat, zatrudni tam szereg swoich techników i urzędników, wyciągnie w dwa lata włożony kapitał, przez osiem lat wyciągnie poczwórną wartość włożonego kapitału i spokojnie wówczas przekaze przetwórnictwu rządowi Parany, o ile ów nie przedłuży przedtem koncesji.

Przenieśmy się na chwilę w krainę marzeń. Wyobraźmy sobie, że grupie Polaków w Anglii udaje się założyć bank. Zwyczajny bank, obsadzony przez fachowców. I tylko przez fachowców. Bank ten uruchamia oddział w Kurytybie. Oddział ten patronuje założeniu tam spółki akcyjnej, która wystara się o koncesję na przetwórnictwo mleka w Kurytybie. Potrzebny wkład: 150.000 funtów. Dochód roczny: 75.000 funtów.

Dwa duże kraje, oba położone frontem do Atlantyku, wchodzić mogą w rachubę jako teren naszej działalności gospodarczej: Brazylia i Argentyna. Co przemawiałoby za wyborem Brazylii? Przede wszystkim atmosfera liberalizmu gospodarczego, jeśli nie formalnego, to faktycznego. Należy pamiętać, że kraj ten kolonizowali Portugalczycy, a nie Hiszpanie. Oba te narody, mimo że zamieszkują jeden półwysep, bardzo się od siebie różnią. Wydaje mi się, że nagle łamańce polityczne, w rodzaju ostatniego zwrotu antykościelnego w Argentynie, nie byłyby tu możliwe, a nawet jeśli się zdarzyły, pozostałyby na papierze, jak to ma miejsce z wielu zarządzeniami gospodarczymi, wydanymi z pobudek nacjonalistycznych przed laty. Nie istnieją tu antagonizmy rasowe, etniczne, stanowe. Nie ma zajadłej niena-

wieści hiszpańsko-amerykańskiej do Gringos — jakże łatwo u ciemnych mas pod tę nazwę podciągnąć wszystkich cudzoziemców... Nie ma tu zawiści ubogich do bogatych. Ubogi wie, że tylko od niego zależy, aby stać się bogatym: ziemi i pracy dla nikogo tu nie brakuje.

Wreszcie — last not least — konkurencja z elementem miejscowym jest tu o wiele łatwiejsza niż w rasowo bardziej jednolitej Argentynie.

Spółeczeństwo nasze winno raz nareszcie wymóc na swych przywódcach decyzję „uproduktywienia” życia gospodarczego emigracji. Rzecz jasna, że było to o wiele łatwiejsze od razu po wojnie, gdy jeszcze było czym gospodarować. Ale wydaje mi się, że jeszcze i dziś nie jest za późno. Bo przecież tylko Bóg raczy wiedzieć, ile jeszcze lat dzieli nas od oswobodzenia Polski. Mimo zamkniętych szczelnie granic Kraju, wciąż jeszcze teraz przeciekają przez nie nowi uchodźcy. Kto im zapewni pracę, opiekę? Anglosasi, Niemcy? A co będzie, jeśli Rosjanie opuszczą Niemcy Wschodnie i granica polska stanie się mniej szczelna? Gdy na Zachód przeciekać zaczęły tysiące?

Dotychczasowe rozbieżności polityczne na emigracji może trwać bardzo długo. A jednolitą politykę gospodarczą może zapewnić tylko jednolite kierownictwo. Skoro go nie ma, trzeba go stworzyć. Wydaje mi się, że odpowiednią dlań nazwą byłaby: Rada Gospodarcza Emigracji. W skład jej winni wchodzić specjaliści: ekonomiści, finansjerzy, przemysłowcy. Rada taka powinna organizować i finansować imprezy handlowe na podstawie czysto kupieckiej i jej organem wykonawczym w tym zakresie byłby bank.

W jaki sposób może powstać Rada Gospodarcza? Wydaje mi się, że raczej powstanie z inicjatywy dołów niż góry. Ale w tym wypadku ktoś musi dać impuls. Może zrobi to „Kultura”, ogłaszając ankietę, opracowaną przez osoby ze świata gospodarczego, i publikując jej wyniki? Myślę, że wówczas już nie byłoby większych trudności z wyłonieniem grupy organizatorów Rady Gospodarczej. Jestem świadom tego, że wśród emigracji naszej nie ma wielu bogatych ludzi i że zebranie dużego kapitału zakładowego nie jest rzeczą możliwą, sądząc jednak że skoro chodzi o przedsięwzięcia typu raczej handlowego niż przemysłowego, to punkt ciężkości sprawy leży nie tyle w kapitałach, choć są one konieczne, ile w inicjatywie, pomysłowości, energii i rzutkości organizacyjnej. Rzecz oczywista, że Rada musiałaby objąć możliwie najszersze koła emigracji i być instytucją apolityczną, stojącą na gruncie niepodległości Polski.

Byłbym szczęśliwy, gdyby wytrawniejsze od mego pióra wypowiedziały się na poruszony wyżej temat. Nie tracę nadziei, że zagadnienie to doczeka się w końcu — w tej czy innej formie — swego rozwiązania.

Stefan CZAPLIŃSKI

Najnowsza historia Polski

Tomasz Arciszewski

Współczesne ruchy socjalistyczne (mowa o nurcie socjalizmu demokratycznego) bardzo starannie unikają utożsamiania się z nawet najwybitniejszymi jednostkami kierowniczymi. Częściowo jest to swoistym wyrazem wierności dla zasad demokracji w życiu stronnictwa, a wiadomo, że demokracje bywają czasem bardzo okrutne dla wybitnych jednostek — za sam fakt wybicia się ponad przeciętność; częściowo zaś wynika to z ostrożności, a nawet podejrzliwości, podyktowanej specyficznymi doświadczeniami z arywistami, traktującymi ruch robotniczy jako „szczębel do sławy grodu” — swojej jednostkowej sławy... Mimo to w każdym pokoleniu wyłaniają się w ruchu robotniczym jednostki, które nadają mu w poszczególnych krajach swe piętno. Taką jednostką był Daszyński w okresie Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska; taką jednostką był Jaurès, potem Blum we Francji; Bebel, potem Schumacher w Niemczech; Troelstra, potem Vorrink w Holandii; Keir Hardy, potem Attlee w Anglii. O Arciszewskim nie da się powiedzieć, że był mózgiem P.P.S.; w okresie, w którym Arciszewski był członkiem i działaczem P.P.S., program partii kształtowali Feliks Perl, Stanisław Kelles-Krauz, Mieczysław Niedziałkowski, nie Arciszewski. Nikt nigdy nie nazwał P.P.S. partią Arciszewskiego; nie było też „arciszewszczyków”. A jednak Arciszewski stał się z biegiem czasu symbolem P.P.S. Dla przeciętnego Polaka w latach ostatnich P.P.S. i Arciszewski byli z sobą nierozzerwalnie związani. To, prawie że utożsamienie, było następstwem udziału Arciszewskiego we wszystkim, co się działo w Polskiej Partii Socjalistycznej (partia powstała z końcem roku 1892, Arciszewski wstąpił do niej w roku 1896); udział ten był zawsze bardzo wybitny, a wreszcie tak pierwszoplanowy, że od stanowiska Arciszewskiego zależało w Polskiej Partii Socjalistycznej i wprawdzie nie wszystko, ale niezmiernie wiele i wię-

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

cej, niż od kogokolwiek innego. Ta wyjątkowa rola Arciszewskiego w życiu P.P.S. była następstwem jego pasji brania na siebie największych trudów; ten człowiek jak gdyby szukał zawsze dla siebie największych niebezpieczeństw, najtrudniejszych sytuacji, największej odpowiedzialności. Stąd stosunek do Arciszewskiego wewnątrz partii był zawsze stosunkiem do człowieka, jego charakteru, jego integralności; nieraz się z nim w P.P.S. nie zgadzano, nikt nigdy nie ośmielił się poddawać w wątpliwość jego bezinteresowności, ofiarności, odwagi i zażyłości w sprawach, które uważał za słuszne.

Nie wolno jednak zlekceważyć udziału Arciszewskiego także w rozwoju doktryny P.P.S. Nie on ją formułował, to prawda — ale on troszczył się o to, by prawidłowa doktryna nie pozostawała własnością szczupłej grupki kierowniczej, lecz by stała się wyznaniem wiary mas robotniczych. Gdy w roku 1906 w Polskiej Partii Socjalistycznej nastąpił kryzys i część działaczy partyjnych gotowa była hasło niepodległości zastąpić hasłem autonomii Królestwa Polskiego — Arciszewski był głównym organizatorem pierwszego zjazdu P.P.S. Frakcji Rewolucyjnej, który ocalił niepodległościowy charakter partii. Na emigracji pamięta się obecnie i przypomina chętnie udział Arciszewskiego w pracach Frakcji Rewolucyjnej w walce z ugodową P.P.S.-Lewicą oraz zdecydowanie antyniepodległościową Socjaldemokracją Królestwa Polskiego i Litwy, lecz równie godny uwagi, a może nawet bardziej uderzający i zastanawiający był udział Arciszewskiego (razem z Feliksem Perlem) w grupie pod nazwą „P.P.S. Opozycja”, która w roku 1912 skupiła się wokół pisma „Placówka” we Lwowie. Grupa ta zarzucała Centralnemu Komitetowi Robotniczemu P.P.S., na którego czele stał Piłsudski, zbyt jednostronne skupienie pracy na przygotowaniach militarnych oraz zaniedbanie spraw codziennych walk robotniczych w kraju; uznając konieczność nowej taktyki, polegającej na przygotowaniach do ruchu zbrojnego, ostrzegała przed utopieniem w nich walki o interesy gospodarcze i społeczne klasy robotniczej i przed tendencją do uniezależniania roboty militarnej od partii. Wybuch wojny światowej w 1914 roku położył kres różnicom, cała grupa opozycyjna powróciła do partii, a Arciszewski wstąpił do Legionów w stopniu podporucznika, ale późniejszy powojenny rozwój wydarzeń wykazał, ile słuszności tkwiło w obawach i ostrzeżeniach grupy „Placówki”. Gdy z końcem 1928 roku od P.P.S. odeszła grupa, posługująca się nazwą „P.P.S. dawna Frakcja Rewolucyjna”, zwana w politycznym żargonie B.B.S., Arciszewski nie odszedł z nią, aczkolwiek byli to druhowie lat jego młodości, znacznie bliżsi mu przeżyciami, niż ludzie, którzy teraz nadawali partii ton, tacy, jak młody Niedziałkowski. W Arciszewskim działała świadomość robotnika, którym w gruncie rzeczy pozostał do ostatniej chwili swego życia, robotnika, dla którego socjalizm nie był środkiem do celu, ale celem samym w sobie; samo przypuszczenie,

że ruch robotniczy miałby być mierzwą dla innych ruchów, dla obcych mu celów, było dla Arciszewskiego czymś rewoltującym. Z drugiej strony tkwił w nim niezmiennie głęboko instynkt niepodległościowy i państwowy. Dopatrywano się źródeł tego instynktu w szlacheckim pochodzeniu Arciszewskiego; po utworzeniu przez niego rządu w roku 1944 Stanisław Mackiewicz wyzperiał, iż nowy premier pieczętuje się herbem „Prawdzie” i uznał to za jakiś omen. Wśród proletariatu przemysłowego w Królestwie Polskim mnóstwo było zubożałej i zrujnowanej przez carat szlachty, która jednak myślała nie jak ziemiaństwo, lecz jak robotnicy; Arciszewski był właśnie taki. Więc nie дума szlachecka, ale дума proletariacka nie pozwoliła ludziom typu Arciszewskiego przyjąć organicznego wcielenia, głoszonego przez Różę Luksemburg, za swój program; oni byli najjarliwsi „niepodległościowcami” w szeregach P.P.S., oni byli też później najjarliwsi „państwowcami”, lecz nigdy przy tym nie przestali być socjalistami. Jedyny artykuł Arciszewskiego, jaki zachował się na emigracji — w „Robotniku” warszawskim z dnia 11 listopada 1938 roku, napisany w dwudziestą rocznicę niepodległości, kończy się słowami: „Dla reakcji Państwo Polskie jest „przypadkiem”, który pragnęłaby wyzyskać dla swoich celów; dla nas — drogą do prawdziwej wolności człowieka pracującego, do urzędzenia ustroju politycznego i społecznego, sprawiedliwego dla wszystkich obywateli kraju”. Propaganda komunistyczna oskarża Arciszewskiego o konszachty z obozem „sanacyjnym”; otóż nie było żadnych konszachtów, natomiast był — po stronie Arciszewskiego — w okresie Brzeźcia i w latach następnych gniew, którego nie ukrywał. W jedynej mowie sejmowej Arciszewskiego, której tekst przechował się tu na emigracji, w mowie z dnia 5 lutego 1931 roku, czytamy takie słowa, skierowane pod adresem B.B.W.R.: „Wyrwaliście Polskę ze szlaku dziejowego demokracji polskiej; wypychacie ją w ślepy zaułek policyjnego faszyzmu... Walka przeciw wam jest walką o przywrócenie Polsce należnego jej miejsca i szacunku wśród idących ku przyszłości ludów Europy”. Nie przyjął Krzyża Niepodległości z mieczami, który mu przyznano w tymże okresie. Prawdą jest, że wtedy, kiedy rozmowy innych przywódców P.P.S. z ludźmi obozu Brzeźcia były niemożliwe, Arciszewski rozmawiał w konkretnych sprawach z ludźmi tego obozu, którzy pełnili funkcje państwowe; tak rozmawiał w roku 1931 z premierem Prystorem; rozmowę zaczął od słów: „Chcecie partię zdelegalizować!” przy czym słowa te miały wydźwięk bardziej groźby niż prośby; tak rozmawiał w roku 1939 z premierem Składkowskim, gdy ten w akcie przerażającej głupoty politycznej zabronił w całym kraju manifestacji ulicznych w dniu 1-szym maja; Arciszewskiemu nie udało się zresztą uzyskać cofnięcia tego zakazu. Przyjaźń osobista, która łączyła Arciszewskiego z niektórymi piłsudczykami, tłumaczyła się pieczęcią wspólnych przeżyć z okresu roku 1905 i Organizacji Bojowej

oraz Legionów. Przyjaźń ta połączona jednak była z żalem, iż ludzie ci sprzeniewierzyli się ideałom młodości.

Bujność i barwność życia Arciszewskiego była niezwykła, wprost fascynująca. Bujność życia wynikała z jego witalności, z jego temperamentu, jego odwagi, jego poczucia odpowiedzialności. Był wcieleniem powiedzenia poety: „Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję” — bez buńczuczności i bez taniej brawury, za to w poczuciu siły nowej klasy społecznej, której był reprezentantem. Barwność wynikała z epoki, która ruchowi robotniczemu narzucała trudne sytuacje. W życiu Arciszewskiego okresy działalności podziemnej przeważały nad okresami życia w wolności: był „nielegalnikiem” w okresie walki z caratem, był „nielegalnikiem” pod niemiecką okupacją w końcowym okresie pierwszej wojny światowej, był „nielegalnikiem” pod okupacją hitlerowską. Brał udział w najślawniejszych akcjach bojowych, takich jak zamach na Markgrafskiego, zamach na urząd pocztowy przy ulicy Wspólnej, zamach na furgon pocztowy w Łodzi i Bezdany. Podejmował dalekie i ryzykowne wyprawy, między innymi w roku 1918 wyprawę z Warszawy do Rosji, objętej rewolucją bolszewicką, na zjazd P.P.S. w Moskwie, by wezwać socjalistów polskich do powrotu do kraju i do pracy nad budowaniem niepodległej polskiej republiki demokratycznej; w roku 1944 podjął wyprawę na bombowcu angielskim z tajnego lotniska pod Radłowem do Londynu jako wysłannik polskiego podziemia antyhitlerowskiego, które nie chciało okupacji niemieckiej zamieniać na nową, sowiecką niewolę. Jak przy tym Arciszewski wychodził cało z wielorakich niebezpieczeństw, którym stawiał czoła, pozostanie jego tajemnicą, którą wziął z sobą do grobu; jego przeżycia wypełnić mogły dziesięć innych żyć współczesnych; wytłumaczenie stanowi częściowo przytomność umysłu i ogromna przezorność Arciszewskiego, który będąc człowiekiem niezwyklej odwagi nie był jednak awanturnikiem ani nawet ryzykantem, częściowo zaś przysłowiowy tutaj szczęścia, towarzyszący ludziom, o których się potem mawia, że się ich kule nie imają. Z różnych wypraw wychodził więc pokiereszowany, ale wychodził cało. Niemal trzy lata spędził w więzieniach — w Piotrkowie, Radomiu, Kielcach i Mysłowicach; był ranny od wybuchu bomby w Rejowcu; dwa razy musiał chronić się na obczyźnie (kilkakrotnych pobytów w Galicji tu nie wliczamy). Niedawny „człowiek podziemny” w roku 1918 znalazł się na szczytach: był ministrem rządu ludowego w Lublinie i ministrem rządu ludowego w Warszawie. Potem zajmował się sprawami, które stanowią treść życia działaczy socjalistycznych krajów takich, jak kraje skandynawskie, Belgia albo Holandia: zasiadał w Sejmie i w radzie miejskiej Warszawy, budował Dom Ludowy w Dąbrowie Górniczej, organizował Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci. W roku 1931 stanął na czele partii jako przewodniczący Centralnego Komitetu Wykonawczego P.P.S. Był to okres, w którym na terenie ciał parlamentarnych

nie można było już niczego osiągnąć w dziedzinie tzw. polityki; Arciszewski miał być przywódcą partii *poza* Sejmem i był nim istotnie. Jak za młodych lat, jeździł znowu po całym kraju, przemawiał na zgromadzeniach, konferencjach, manifestacjach, zlotach młodzieży robotniczej. Tylko dzięki tej żmudnej pracy, w której wszystko jest ważne, nie ma spraw drobnych i małego znaczenia, — ruch socjalistyczny najpierw obronił swoje „ośrodki oporu”, a potem przeszedł do kontrofensywy; z końcem 1938 i z początkiem 1939 roku w wyborach samorządowych okazało się, że P.P.S. jest bezspornym władcą dusz robotniczych na całym polskim obszarze etnograficznym.

Po niemal pięciu latach nowego podziemia za czasów okupacji hitlerowskiej, Arciszewski przybył 1 sierpnia 1944 roku do Londynu, do siedziby polskiego rządu. Kierownictwo podziemnej P.P.S. żądało od Arciszewskiego, by wzmocnił politykę trzeźwości w stosunku do roszczeń sowieckich, do której rząd Mikołajczyka nie był zdolny. Arciszewski nie zajmował się ryciem podkopów pod rząd, Mikołajczyk sam podał się do dymisji w przekonaniu, iż za dwa tygodnie powróci wzmocniony na urząd premiera. Po dymisji Mikołajczyka przez cztery dni trwały próby utworzenia rządu przez Kwapińskiego, spełzły jednak na niczym. Arciszewski uformował rząd w ciągu jednej nocy. Zdecydował się na gabinet bez ludowców i z oficjalną decyzją. Mówił potem: „Utworzyliśmy taki rząd, na jaki nas było stać w ówczesnych warunkach”. Później okazało się istotnie, że nie to było ważne, kto w tym rządzie zasiadał, ważne było jedynie, że rząd ten na werdykt jałtański odpowiedział komunikatem, odrzucającym imieniem narodu polskiego krzywdzące Polskę postanowienia tego werdyktu. To jedno liczy się i to liczy się bardzo. Wszystko inne było w wielkiej mierze osobistą tragedią Arciszewskiego; jako premier usiłował on znaleźć dla Polski wyjście z sytuacji, która narastała od lat i liczył na pomoc mocarstw zachodnich; pomocy nie było, wyjścia nie było — ani Arciszewski, ani Mikołajczyk nie mogli go już w owym momencie stworzyć; Mikołajczyk ludził się, że za zgodę na zabór połowy polskiego obszaru państwowego uzyska możliwość koegzystencji ze Związkiem Sowieckim; był pewny powodzenia; swą pożegnálną rozmowę z Arciszewskim przed odlotem do Moskwy zakończył słowami: „Zgnijecie na emigracji”; natomiast Arciszewski nie miał złudzeń co do istotnych intencji Moskwy i nie podejmował się rozwiązania kwadratury koła. „Nie” Arciszewskiego zapisze się w historii Polski bardzo mocno; porównywano je szyderczo z gestem Rejtana lub z redutą Ordona — i może nawet było coś w tym porównaniu; ale nie trzeba też zapominać, że na przykładzie Rejtana i Ordona wychowywały się całe pokolenia polskie, natomiast margrabiego Wielopolskiego (którego wtedy w broszurze, wydanej przez „Nową Polskę” Słonimskiego, Ksawery Pruszyński stawiał Mi-

kołajczykowi za wzór) otoczyła zła sława; taka jest bowiem natura Polaków i Arciszewski był jej znacznie, znacznie bliższy niż Mikołajczyk.

Osiem ostatnich lat życia zatrąła Arciszewskiemu sprawa Augusta Zaleskiego. Po zgonie śp. Władysława Raczkiewicza Arciszewski winien był zostać Prezydentem; nie został nim. Arciszewski, który cały swój autorytet rzucił na szalę, by wewnątrz organizacji P.P.S. utrzymać pozytywny i aktywny stosunek do emigracyjnego legalizmu, teraz patrzeć musiał, jak z tego legalizmu opadał liść po liściu, obrywany przez koterię „zamkową”. Jednocześnie bolał głęboko nad tym, że tocząca się walka w oczach emigracji nosiła pozór walki osobistej, toczonej tylko o to, *kto* ma zasiąść na fotelu prezydenckim. Kandydatura generała Sosnkowskiego zdejmowała z Arciszewskiego to odium. Uczynił wszystko, co było w jego mocy, by nakłonić własne stronnictwo i inne stronnictwa do udzielenia poparcia tej kandydaturze — w przekonaniu, iż zgoda stronnictw na osobę generała Sosnkowskiego oraz publiczne zobowiązanie Zaleskiego o ustąpieniu w określonym terminie przesądzą wyjście z kryzysu. Potem uczynił znowu wszystko, co w jego mocy leżało, by tzw. zjednoczenie nie rozsypało się w gruzy po odmowie Augusta Zaleskiego, gdy ten postanowił „trwać” po dniu 9-ym czerwca 1954 roku oraz po odmowie generała Sosnkowskiego, gdy ten odmówił swej zgody na objęcie urzędu Prezydenta inaczey, jak z rąk Zaleskiego. Prawość charakteru, szlachetność dążeń, bezinteresowność osobista Arciszewskiego budziły powszechny szacunek. Był to chyba najpopularniejszy człowiek wśród emigracji — a nie była to popularność tanio nabyta.

W Polsce niepodległej widziano w Arciszewskim bohatera rewolucji 1905 roku, przywódcę Organizacji Bojowej P.P.S., człowieka, którego czyny opromieniła legenda już za jego życia. W latach 1931-1939 był oficjalnym sztandarowym przywódcą swego stronnictwa i mówił jego głosem, w jego imieniu. Gdy przybył w roku 1944 do Londynu, przemówił autentycznym głosem polskiego podziemia; w wyobraźnię swoich i obcych wrył się w tym okresie nie jako przywódca socjalistycznej W.R.N., lecz jako premier rządu, który imieniem całego narodu odrzucił deklarację jałtańską. Trzeba było ogromnej mocy ducha, by to „nie” wypowiedzieć wbrew niemal całemu światu i Arciszewski tę moc ducha w sobie znalazł. Zdawał sobie sprawę, że młyny historii miałą powoli. Wspominał niedostatek swej pierwszej emigracji londyńskiej (1898), obiady po 2 pensy, tóżko żelazne i cienki koc, którym się wówczas przykrywał — nowa emigracja rysowała się przed jego oczyma taka sama, jak pierwsza, ale nie bał się tej emigracyjnej nędzy. Nie tylko się jej nie lękał, ale znajdował swoiste zadowolenie w możliwości powtórzenia się historii lat młodych: wielki trud i potem wielkie rezultaty. Wierzył, że jak po roku 1898 nastąpił rok 1918, tak też po

roku 1945 nastąpi rok powrotu do kraju i że on sam tego powrotu doczeka. Wiarę tę zachował nieumniejszoną aż do śmierci.

Śmierć miał dobrą, bo nagłą, bez cierpień — i piękną, bo była to śmierć (niech czytelnik wybaczy patetyczne słowo) na posterunku. Licząc 78 lat życia był wciąż człowiekiem aktywnym, bez żadnych pretensyj do przejścia na emeryturę. Zmarł na stacji kolei podziemnej, w drodze do pociągu, którym miał udać się do Manchester na „złot wolnych Polaków”. Nie wiedział o tym, że oczekiwała go tam manifestacyjna owacja. Zamiast tego manifestacją stał się jego pogrzeb — jak w noweli Andrzeja Struga pod tytułem „Nekrolog”, boć i całe życie Arciszewskiego („Siłacza”, „Antoniego”, „Ludwika”, „Stanisława”) było jak z dzieł Andrzeja Struga... Dopiero po zgonie Arciszewskiego stało się jasne, jak bardzo P.P.S. i Arciszewski stali się jednym. Powstała luka, której chyba nigdy nikt już nie wypełni, nie ma bowiem między żyjącymi drugiego człowieka, który by nosił w sobie sześćdziesiąt lat historii P.P.S., historii polskiego ruchu robotniczego, historii polskiej klasy robotniczej. Przemawiając na uroczystości, urządzonej przez P.P.S. w Londynie, zestawilem dawny francuski okrzyk: „Umarł król, niech żyje król” z nakazem chwili, który dla socjalistów polskich brzmiał: „Umarł Tomasz Arciszewski, niech żyje P.P.S.” Oczywiście jest jednak, że wypełnienie tego hasła treścią, tętniącą życiem, wymagać będzie ogromnego wysiłku zbiorowego, zwłaszcza w pierwszym okresie po zgonie Arciszewskiego. Nie ma ludzi niezastąpionych, ale niektórych zastępuje się bez trudu albo prawie bez trudu, innych — z wielką tylko trudnością. Arciszewski należał do tych ostatnich.

Adam CIOŁKOSZ

O lotnictwie polskim we Wrześniu

Oto kilka uwag o sprawach lotniczych w książce „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, tom pierwszy, część pierwsza.

Ten tom wydaje mi się najważniejszy, gdyż dotyczy naszych przygotowań do obrony. Z kolei, sprawy lotnictwa są w nim chyba najważniejsze, gdyż lotnictwo było wtedy bronią decydującą. Toteż, żeby zdać sobie sprawę jak Polska była przygoto-

wana do obrony, trzeba zbadać przede wszystkim — przygotowanie lotnictwa. Otóż, moim zdaniem, przygotowanie polskiego lotnictwa do obrony kraju jest pełne zagadek.

Nie spodziewałem się od autorów książki *rozwiązania* tych zagadek, ale spodziewałem się rzetelnego wysiłku by je wszechstronnie oświetlić. Miałem prawo, jak każdy czytelnik tej książki, spodziewać się tego, skoro na wstępie czytamy że autorzy: „podają tylko bezspornie stwierdzone fakty i ich związki przy czynowe”, oraz że dzieło ich „musi być dokumentem bezwzględnej prawdy historycznej”.

Czy autorzy sprostali tej obiecującej zapowiedzi? Wydaje się że nie.

Będę się opierał wyłącznie na faktach podanych w książce, lub wynikających z treści książki. Natomiast swoje naświetlenie zarówno faktów, jak książki, poprę dokumentami. Nie będę cytował pełnych tekstów książki: dam tylko skrót treści, lub przytoczę stronicę.

Wracamy do pytania: czy autorzy sprostali swej obiecującej zapowiedzi pisania pełnej prawdy?

Oto trzy sprawy zagadkowe, o kapitalnym znaczeniu, które zostały przez autorów po prostu *przemilczane*. Są to:

- 1) Sprawa przygotowań w przemyśle lotniczym i w uzupełnieniach materiałowych, wtedy gdy groziła wojna.
- 2) Sprawa tak zwanej pożyczki lotniczej.
- 3) Sprawa oddania nie zniszczonych fabryk lotniczych w ręce Niemców.

Rozpatrzmy pierwszą z tych trzech przemilczanych spraw. Wszyscy wiemy że produkcja pokojowa sprzętu wojennego jest minimalna w stosunku do produkcji wojennej. W czasie pokoju te fabryki ledwo dyszą, w chwili zagrożenia wojennego idą pełną parą. Fabryki broni, nawet broni obronnej, budowane są na wyrost, na wyrost wojenny. Ale — trzeba je w porę *prze-*
stawić na produkcję wojenną. Przekształcenie polskich fabryk lotniczych na wzmózoną produkcję było stosunkowo łatwe, dlatego że imienne obsady personelu fachowego (do majstra włącznie) były zawczasu przygotowane, właśnie w celu przejścia w tych wytwórniach do pracy na dwie zmiany. Należało dobrać tylko siły robocze nie wykwalifikowane, a tych mieliśmy w Polsce dosyć. Wystarczyła *decyzja* przejścia na wzmózoną produkcję. Taka decyzja należała do najwyższych władz państwowych i — rzecz prosta — łączyła się z przewidywaniem wojny. Powinna była nastąpić jak najwcześniej, aby rezultaty wzmózonej produkcji uprzedziły wybuch wojny. (Może warto przypomnieć w nawiasie, że brytyjski przemysł lotniczy przeszedł na wzmózoną produkcję bezpośrednio po „Monachium”, a więc na rok — jak się później okazało — przed wojną). Nie jestem poli-

tykiem, więc trudno mi sądzić czy ówczesny Rząd polski mógł być zdobyć się na tak dalekowzroczne przewidywania. W każdym razie, na wiosnę 1939, już po zajęciu Czechosłowacji przez Niemców, niebezpieczeństwo wojny stało się wyraźne. Nie wolno już było czekać ani chwili z puszczaniem fabryk lotniczych na dwie zmiany, ani z uzupełnieniem materiału bojowego. (Kiedy sprawę tę, znów dodam nawiasowo, postawiłem na ostrzu noża wobec moich zwierzchników — w obecności generała J. Głuchowskiego — rozmowa trwała krótko, a nazajutrz, 16-go marca 1939, pan minister Spraw Wojskowych zgodził się udzielić mi natychmiastowej dymisji).

Po moim odejściu *nie* nastąpiło wzmózenie produkcji lotniczej. Wręcz odwrotnie: produkcję bieżącą zahamowano. Mianowicie, obcięto zamówienie na 180 „Łosie”, będących w produkcji. „Łosie” należały wtedy, w swojej klasie, do najlepszych samolotów na świecie. Otóż, produkcję tych to właśnie samolotów — obcięto (*).

Polski przemysł lotniczy był chyba jedynym przemysłem wojennym w Europie, który *wówczas* zwalniał robotników masowo.

Sprawa hamowania przemysłu lotniczego w ostatnim półroczu przed wojną została przemilczana w książce „Polskie Siły Zbrojne”, choć jest to sprawa pierwszorzędnej wagi i ściśle związana z przygotowaniem Polski do obrony, czyli z tematem pierwszego tomu. Na stronie 298-iej czytamy że 23-go marca 1939 roku zmobilizowano cztery dywizje piechoty i brygadę ka-

Pan gen. bryg. L. Rayski, inż. pilot.

Wielce Szanowny Panie Generale,

Zgodnie z życzeniem wyrażonym przez Pana, chętnie stwierdzam że po opuszczeniu Dowództwa Lotnictwa przez Pana, program produkcji płatowców „Łoś” uległ rewizji. Niestety, nie pamiętam już dokładnie przez jakie fazy przechodził ten program. O ile przypominam sobie chodziło o zatrzymanie produkcji na 105 płatowcach, ale licząc się z wymogami produkcji i utrzymaniem w ruchu Zakładów w Mielcu, cyfra ta ostatecznie została podniesiona do 130. Pamiętam że program został dość ściśnięty i przewidywałem redukcję 1.000 ludzi, licząc się z ograniczeniem dni i godzin pracy. Zwolniłem w tym okresie około 200 ludzi, po czym nastąpiła zmiana. Reszta ludzi została utrzymana, a w ostatnich tygodniach przed samą wojną zacząłem dobierać ludzi.

Łączę wyrazy szacunku i głębokiego poważania.

K. KAZIMIERCZAK

Kair, dn. 5/IX 42 r.

Do powyższego listu, którego oryginał posiadam, pozwolę sobie dodać, że Kazimierz Kazimierczak, znakomity fachowiec, był naczelnym dyrektorem wszystkich Polskich Państwowych Zakładów Lotniczych przed wojną. Można sobie wyobrazić, pomimo powściągliwego tonu listu, jak destrukcyjny wpływ na wytwórczość podległych Kazimierczakowi Zakładów miały podobne zarządzania: obcięcie obrotu o około 30 procent, gdy wszystkie surowce i półfabrykaty były już zamówione. L. R.

Komisja Historyczna Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*. Tom pierwszy, Część pierwsza. wyd. przez Instytut Historyczny im. gen. Sikorskiego, Londyn 1951.

walerii. Na marginesie tej stronicy dopisuję „a jednocześnie powodowano zwalnianie robotników z fabryk lotniczych”.

Skoro w marcu 1939 zarządono częściową mobilizację D.O.K. Brześć nad Bugiem i D.O.K. Grodno, tym bardziej powinno się było zarządzić wzmożenie produkcji lotniczej i uzupełnienie materiału bojowego lotnictwa. W logicznym porządku czynności państwa, gotującego się do obrony, są to chyba czynności najważniejsze. Skoro zaś dziś książka historyczna opisuje wykonanie jednej czynności, dlaczego milczy o zaniedbaniu innej, może ważniejszej?

Logiczną konsekwencją zagrożenia wojennego powinno było być również powołanie pilotów rezerwy na ćwiczenia. Gdzie jest w książce treść i data takiego rozkazu? Gdzie jest treść i data rozkazu do służb lotniczych o zagrożeniu wojennym i przygotowaniu materiałowym? Nie ma.

Idźmy dalej. Drugą sprawą przemilczaną w książce naszych dzisiejszych historyków emigracyjnych jest sprawa pożyczki lotniczej. Naród polski zadeklarował pół miliarda złotych na cel rozbudowy lotnictwa polskiego. Uruchomienie kredytów na rachunek tej pożyczki było nietrudną operacją finansową. Czy tej operacji dokonano? Jeśli nie — to dlaczego? Jeśli tak — to gdzie jest rozliczenie z sum uruchomionych? Niczego nie insynuuję, ale jeśli choć jeden grosz poszedł na inne cele niż lotnictwo, jest to bezprawie i nadużycie zaufania społeczeństwa polskiego. Od lat pytam: co się stało z pożyczką lotniczą? Nigdy nikt nie zdał z niej rachunku, rachunku z jej losów przede wszystkim. Milczy o niej również książka P. T. historyków. Przecież zamydlenie sprawy pożyczki lotniczej ogólnym sprawozdaniem z „sum pozabudżetowych” na stronie 205-ej nie można uznać za zdanie rachunku z tej specyficznej pozycji. Mam prawo pytać historyków w imieniu lotników: co się stało z pożyczką lotniczą?

Skoro wspominałem wymienione na stronie 205-ej „sumy pozabudżetowe”, to powiem dwa słowa o sumach budżetowych. Mianowicie: w roku budżetowym 1938-1939 lotnictwo polskie nie otrzymało nawet tych sum, które przyznawał mu nader skromny budżet. Zamiast 160-ciu milionów złotych otrzymało tylko 103 miliony, a więc niespełna dwie trzecie tego, co było przyznane. Zdarzyło się to właśnie i wyłącznie w roku poprzedzającym wojnę, czyli już w pierwszym okresie zagrożenia wojennego. Nie trzeba dowodzić jak dotkliwe były dla lotnictwa skutki tego zabiegu.

Wróćmy do spraw przemilczanych w książce „Polskie Siły Zbrojne”. Trzecie z kolei przemilczenie uważam za równie charakterystyczne jak dwa poprzednie. Nie powiedziano bowiem czytelnikom, czy zostały zniszczone wytwórnie lotnicze przed zajęciem ich przez Niemców w wyniku walk wrześniowych? Książka milczy, fakty mówią że nie. Wydaje mi się, że gdyby choć jedna wytwórnia nie zniszczona, dostała się w ręce wroga, należałoby przeprowadzić śledztwo, celem ustalenia kto winien.

A jeśli wszystkie? A co się stało z prototypami? Tym bardziej że sławny później samolot niemiecki „Fokke Wolf” był bardzo podobny do polskiego „Jastrzębia”.

Polska korzystała ze swych fabryk lotniczych w ramach nie wielkiej produkcji pokojowej i to zahamowanej — jak mówiłem — w krótkim okresie, bezpośrednio poprzedzającym wojnę. Wytwórnie *nie zmobilizowane*, to pieniądze i wysiłek polski na ich budowę zmarnowane w dużym stopniu. Wytwórnie *nie zniszczone*, a w rękach niemieckich, to rozbudowa sił wroga polskimi rękami.

Może we wszystkich trzech powyższych sprawach odegrał rolę brak rozumu, ale dlaczego autorzy „działa historycznego” pokrywają to milczeniem? Zresztą, w przygotowaniu lotnictwa do wojny zbyt wiele doskonałych ról odegrał brak rozumu, by to nie budziło refleksji na temat ewentualnego reżysera. Czyżby właśnie te narzucające się refleksje skłoniły autorów książki do przemilczeń? Czyżby przemilczając takie fakty, pragnęli osłonić przed sądem późniejszych historyków lata 1935-1939, kiedy Polsce zabrakło genialnego kierownictwa Józefa Piłsudskiego? Jeśli tak, to złą przysługę wyświadczyają przyszłym pokoleniom, ukrywając przed nimi nasze doświadczenia. Czy w ten sposób nie została też przekreślona wartość historyczna dzieła?

Dotychczas mówiłem o sprawach, które książka przemilcza. Rozpatrzmy te, o których pisze. Ograniczę się tu do dwóch: 1) Sprzedawanie sprzętu wojennego zagranicę już w chwili wyraźnego zagrożenia wojennego. 2) Tak zwany plan rozbudowy lotnictwa.

Ad. I: na stronie 200-201 omawianej książki czytamy „że kiedy zanoszono się na wojnę i sprzęt wojenny znikł z rynków świata — Polska wywoziła swoje armaty i samoloty zagranicę. Książka nadaje temu pozory przemysłowej konieczności. A więc: armaty przeciwlotnicze wywoziliśmy zagranicę, bo... nie produkowaliśmy do nich dostatecznej ilości amunicji i celowników optycznych. Z wykazu polskich normalnych możliwości produkcyjnych (str. 200) dowiadujemy się, że na każdą armatę 40 mm. produkowaliśmy 2.300 pocisków, a teoretyczny zapas mob. na 15 dni wojny wynosił na taką armatę 3.000 pocisków (str. 340). Więc brak siedmiuset pocisków do teoretycznego zapasu powodował sprzedaż armat, a nie spowodował prostego zarządzenia o wzmożeniu produkcji tych właśnie pocisków? O pracy w tym dziale na dwie zmiany?

Co jest warte dzieło historyczne, które taki właśnie wywód podaje?

O braku celowników optycznych, jako o przyczynie sprzedawania armat, szkoda nawet mówić, bo w armatach strzelających wprost, celowniki optyczne dają się zastąpić przeziernikowymi, które są łatwe do produkowania.

Z samolotami jest podobna sprawa. Książka podaje że robiliśmy samoloty dla Bułgarii. Nie podaje jednak że zamówienie datowało się z początków 1938-go roku, kiedy powietrze jeszcze

nie cuchnęło wojną. Mieliliśmy do tych samolotów wszystko: silniki, uzbrojenie, tylko brakło nam śmigieł; Bułgarzy bowiem kupili sobie śmigła we Francji i kazali je wysłać wprost do Bułgarii. My, zamiast zatrzymać samoloty i dokupić sobie śmigła również we Francji (gdzie mieliśmy kredyty) — dostarczaliśmy samoloty Bułgarom jeszcze do sierpnia 1939. Czy nie drobna przesada?

Książka nie podaje, czy zwracaliśmy się do Francji o śmigła, więc zapewne — nie. Dlaczego nie zwracaliśmy się, to jest jedno pytanie. Ale dlaczego książka tego nie podaje... to jest inne pytanie.

Ad. 2: Druga sprawa, dość dziwnie naświetlona w książce „Polskie Siły Zbrojne”, to tak zwany plan rozbudowy lotnictwa. Na str. 188/91 autorzy piszą szeroko, jak to w roku 1936-ym Sztab Główny, przy bardzo ścisłej współpracy dowództwa lotnictwa opracował ów plan.

Dowództwo lotnictwa — jak to wynika ze stronicy 171 — było władzą szkolącą, administracyjną i zaopatrzeniową. Nie znało nigdy żadnych ogólnych planów wojny. Jego współpraca przy opracowywaniu tego planu mogła więc polegać jedynie na zestawieniach cyfr, terminów i możliwości. Nie wiem, czy zwrot „ściśła współpraca”, użyty przez autorów książki jest pomieszczeniem pojęć, czy też chęcią podzielenia się z lotnictwem i tym listkiem wawrzynu sztabowego.

Książka podaje szczegóły planu: termin zatwierdzenia planu przez najwyższe władze wojskowe — jesień 1936. Projektowane czasy wykonania — cztery lata, do końca roku 1941-go. Zatwierdzone koszty wykonania — miliard dwieście milionów złotych (wraz z kosztem utrzymania lotnictwa przez te cztery lata).

Według tego planu, budżet roczny lotnictwa musiał wynosić 300 milionów złotych. Tymczasem w pierwszym roku planu lotnictwo dostało 89 milionów, w drugim 120, czyli za te dwa lata tylko 35 procent obiecanych środków. Wobec tak oczywistej niewydolności finansowej, należało chyba plan odwołać. Autorzy wspominają na stronie 175, że „następnie” plan został rozciągnięty na lat sześć. Nie podają jednak ani daty, ani treści takiego rozkazu do Dowództwa lotnictwa. Do 16-go marca 1939 Dowództwo lotnictwa takiego rozkazu nie otrzymało. Zresztą, zmiana z lat czterech na sześć zmieniłaby pokrycie planu z 35-ciu procent na... 50 procent.

Katastrofalne skutki planu polegały na tym, że zmuszał on lotnictwo do życia nad stan. Trzeba było bowiem wydawać budżet na inwestycje, a przecież ten budżet nie wystarczał nawet na utrzymanie i modernizację stanu istniejącego. Budowało się nowe fabryki i lotniska, szkolono się liczny nowy personel, wszystko za te pieniądze; które powinny były iść na utrzymanie linii. Plan bez obiecanych pieniędzy był osłabieniem lotnictwa bojowego. Jeśli się da plan, a nie da funduszy na wydatki, wynikające z planu, to się wpędza na drogę do bankructwa. Nie

można komuś powiedzieć: „gospodaruj pan w skali stu złotych”, a potem dać mu 35 złotych. To właśnie zrobiono z lotnictwem. Znowu głupota? Może. Ale gdzież właściwa ocena tej głupoty przez historyków, w tyle lat później?

Nie wystarczy powiedzieć że (str. 190) „wojna z Niemcami nie pozwoliła na wprowadzenie w życie planu rozbudowy lotnictwa”. Jak mógł wejść w życie przy tak wielkich omyłkach w planowaniu finansowym?

Na tym kończę trzy przykłady spraw przemilczanych przez książkę i dwa przykłady spraw... nie przemilczanych.

Dla uzupełnienia obrazu walorów historycznych książki, chciałbym dać jeszcze jeden przykład, przykład skrupulatności autorów. Otóż: strona 178 podaje ilość personelu lotniczego. Oficerów 800, podoficerów 1.500, szeregowych 4.000. Pięknie. Ale oto na luźnej kartce, włożonej do książki, mikroskopijnym petytem — sprostowanie. Oficerów 1.786, podoficerów... około 300, szeregowych 5.000. W wypadku oficerów pomyłka wyniosła więc 120 procent, w wypadku szeregowych 25 procent. A coż się stało z liczbą podoficerów? Z tysiąca pięciuset spadła na trzysta? Nie. Jest to omyłka w poprawce o 900 procent. Bo atramentem na owej kartce dopisano do cyfry 300 jedno zero, stwarzając podoficerów trzy tysiące. Czy to wszystko omyłki redakcyjne? Może. Ale aż takie omyłki w dziele, mającym pretekst do historycznego? Zresztą, czy rzeczywiście jest to omyłka redakcyjna? Autorzy parokrotnie powołują się na opracowanie Inspektoratu lotnictwa w Londynie. Zawiera ono *prawdziwe* liczby personelu przedwojennego, oparte na ewidencji imiennej. Autorzy książki „Polskie Siły Zbrojne” musieli znać to opracowanie, skoro powołują się na nie. Więc jaki był cel tej omyłki? (Ponieważ mówię tu o książce, nie o lotnictwie, więc tylko nawiasem dodam że cyfry, te na karteluszkach, wskazują iż w roku 1939 mieliśmy — około — czterokrotną obsadę linii).

Widzieliśmy w jaki sposób autorzy *korzystają* z dostępnych źródeł. Zobaczmy teraz jak *omijają* źródła.

Istniała od maja 1940 roku, powołana dekretem ówczesnego Prezydenta, tak zwana niegramatycznie „Komisja w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 roku”. Komisja ta istniała jeszcze w styczniu 1945. Coś przecie chyba robiła. Pomimo to, nie mogłem znaleźć w książce powołania się na materiały zebrane i sprawdzone przez tę komisję. Za to książka umieszcza liczne „relacje”, nie podając, czy zostały one przez tę komisję sprawdzone. Czyżby autorzy książki uważali że komisja powołana została tylko dla uspokojenia opinii publicznej, dla zmitrężenia czasu i odczekania aż świadkowie rozproszą się, zapomną, lub wymrą? Komisja ta była bardzo ostrożna w przesłuchiowaniu ludzi, którzy usiłowali złożyć jej swoje zeznania. Sam pchałem się do zeznawania przez wszystkie instancje i przez wiele lat. Nadaremnie. Nie i nie. Nie chciała mnie przesłuchać na tematy lotnicze i postawiła na swoim, nie przesłuchiwała. Teraz autorzy książki idą jeszcze dalej: ani słowem nie

wspominają o komisji, ani o zebranych przez nią materiałach. Po pięciu latach istnienia komisja rozplynęła się w zapomnieniu, a tak zwane „prawdy historyczne” ustala się teraz na podstawie „relacji” wybranych ludzi. Spec od historii, generał Kukiel, był resortowym przełożonym tej komisji, jako minister Obrony Narodowej. Tenże gen. Kukiel jest super-redaktorem omawianej książki. Dlaczego pomija materiały, które sam kazał zebrać? I — jak kazał je zbierać?

Począwszy od jesieni 1939-go, sfery kierownicze na emigracji wieszały psy na rządach przedwrześniowych. Wszystko było złe, twierdzono, nie chcąc widzieć ile było dobrego. Jednocześnie jednak nie chciano zbadać uczciwie i poważnie tego, co naprawdę było złe. Teraz pojawia się książka, niby historyczna i powiada że wszystko było dobrze, a mówiąc ściślej że wszystkie przygotowania do obrony były bez zarzutu. Jedno i drugie stanowisko jest szkodliwą nieprawdą.

Książka „Polskie Siły Zbrojne” kontynuuje tradycje, ustalone na emigracji: nie próbuje dojść po żadnej nitce do żadnego kłębka. Przemilcza lub koślawi takie fakty, które każą zastanowić się, czy spowodował je tylko brak zdrowego rozsądku, czy też taka lub inna inspiracja wroga. Książka nie psioczy, istotnie, ale nie oddziela dobra od zła, prawdy od półprawdy.

Reasumuję w trzech pytaniach:

- 1) Dlaczego bezpośrednio przed wojną, mobilizując inne bronie, jednocześnie osłabiano lotnictwo?
- 2) Dlaczego rządy emigracyjne nie zbadały przyczyn i odpowiedzialności?
- 3) Dlaczego wolni historycy, dzisiaj — rozwodząc się nawet nad kolorami kartek mobilizacyjnych — zacierają rzeczy ważne?

Ludomir RAYSKI

Kronika kulturalna

“Sprzeczności w życiu i dziele Mickiewicza”

Dnia 6 grudnia ub. r. staraniem pism „Journal des poètes” i „Preuves” odbył się w Paryżu wieczór poświęcony dyskusji nad sprzecznościami w życiu i w dziele Adama Mickiewicza. Przewodniczył profesor Sorbony Jean Fabre. Dyskusję, która przeciągnęła się do późna, rozpoczynali Maria Czapka, Czesław Miłosz i tłumacz Mickiewicza Armand Robin. Z Polaków wzięli w niej ponadto udział Stanisław Vincenz i Marian Pankowski. Podajemy tekst (przekład) przemówienia Miłosza.

Wyobraźcie sobie centralną postać literatury francuskiej, która urodziłaby się w Kanadzie, która nigdy nie byłaby w Paryżu, która spędziłaby we Francji tylko kilka tygodni, na przykład w okolicach Nantes. Taki jest wypadek Mickiewicza. Urodzony na Litwie historycznej, nigdy nie był w Warszawie ni w Krakowie. Mieszkaniec dzisiejszej Polski, żeby z pietyzmem iść szlakiem swego poety, potrzebuje wizy. Wizy sowieckiej, jeżeli chce zwiedzić miejsca młodości Mickiewicza. Wizy francuskiej, jeżeli chce poznać miasto, w którym upłynął jego wiek dojrzały.

Posługuję się tym tłem, żeby podać krótkie streszczenie pewnej rozmowy. Mój rozmówca, pochodzenia polskiego, przeżył pięć lat w kaźniach hitlerowskich. Powiedział mi, że znienawidził tam swoich polskich towarzyszy. Określał ich jak następuje: wytrwali, sprytni, solidni, lepiej opierający się moralnie prześladowaniu niż ludzie innych narodowości, ale całkowicie zakrzepli w swoim konformizmie grupowym, bezlitośni wobec tych spośród nich, którzy szukali międzynarodowych związków w obozie, pełni pogardy dla innych narodów, przy czym pogarda ta przekształcała się nieraz w obojętność na los bliźniego, odmowę udzielenia pomocy i okrucieństwo. I mój rozmówca wyciągał taką konkluzję: „Wielbię Mickiewicza, to wspaniały poeta, ale za to poczucie, że jest się narodem wybranym, że ma się misję niezrozumiałą dla innych, on jest odpowiedzialny”.

Przesada. Ale trzeba zrozumieć, co to jest wieszcz narodowy i jaki jest zasięg jego wpływu. Przez dziesiątki lat Mickiewicz, kanonizowany po śmierci, był w centrum zacieklego nacjonalizmu swoich współrodaków. Przyczynił się do stworzenia obrazu Polski-męczennicy, Chrystusa narodów, który przez swoje cierpienia odkupuje grzechy świata.

Dzisiaj rysuje się w Polsce inny portret Mickiewicza: prekursora jedności słowiańskiej, rewolucjonisty, przyjaciela Puszkina i Dekabrystów, czasem marksisty *avant la lettre*. Równocześnie, ponieważ słowo „narodowy” jest w modzie, staje się on świętym z kalendarza „narodu socjalistycznego” przeciwstawionego wczorajszemu „narodowi burżuazyjnemu”. Rezultat tych operacji jest złożony. Wielomówność profesorów wywołuje u ludzi odrazę, tak jak i szowinizm używany jako sztuczka, jako narzędzie. Jednak powrót do stanu umysłów sprzed wojny jest niemożliwy. Trzeci obraz Mickiewicza pojawia się w świadomości zbiorowej: nostalgiczny obraz poety, który (rzecz niesłychana) nie kłamał.

Wyrzucam sobie, że mówię o wszystkim tylko nie o poezji Mickiewicza. Dzieje się tak dlatego, że wysiłki tych, którzy opowiadali się za Mickiewiczem-poetą przeciwko Mickiewiczowi-publicyście, mistykowi, profesorowi, politykowi natykały się zawsze na zagadkę. Poezja najczystsza pomieszana z nieczystością, nawet szaleństwem zaangażowania historycznego, jak gdyby kupowało się ją tylko za cenę zbrukaną — a to zbrukanie to był krzyk przeciwko niesprawiedliwości. Jeżeli naród polski, rozdarty, tragiczny uważa za swoje arcydzieło „Pana Tadeusza” a więc poemat tak pogodny, tak pełen dziecięcego zachwyty, że porównywano go do pism angielskiego „poety metafizycznego” Thomasa Traherne — to już dosyć żeby nas zadziwić. Ale jaka była historia tego poematu czy też powieści wierszem? Mickiewicz trochę się wstydził, bo napisał go ulegając przyjemności pisania. Ulegać przyjemności pisania kiedy świat się pali — to niewybaczalne! Jednak inny poeta, który uznałby, że dobrze pisać jest jego celem najwyższym i usprawiedliwieniem jego egzystencji, czy zdobyłby się na podobną jak Mickiewicz intensywność wyzwoloną? Oto pytanie, które pozostaje obce zwolennikom poezji czystej i sztuki czystej. Nie znają oni tego młodzieńczego wiersza Mickiewicza: „Kto nie dotknął ziemi ni razu, ten nigdy nie może być w niebie”. Możliwe, że jest rzeczą bezsensowną wyrzekać się poezji, jak to zrobił Mickiewicz i później Rimbaud. Ale właśnie dlatego, że jedynie zaklęcie magiczne, które przekształca świat, mogłoby zadowolić Mickiewicza, zdołał jeszcze napisać „Pana Tadeusza” — bo to nie było poważne.

Rzućcie postać taką jak Mickiewicz w zamęt wypadków pomiędzy rokiem jego śmierci 1855 i dniem dzisiejszym — i obserwujcie rezultat: to jakby być w laboratorium historycznym. Używano mu wszelkich możliwych twarzy. Przyznaję, że nie rozumiem jaki jest nasz stosunek do przeszłości. Ohydny proceder, polegający na zmienianiu treści encyklopedii przez tych, co

sprawują władzę, ma dla mnie aspekt symboliczny i w głębi serca czuję się współwinny. Gdyż odkryliśmy, że przeszłość nie jest przedmiotem, w nimieniem, który oglądają następujące po sobie pokolenia a w nim nic nie ulega zmianie. To, co teraz widzimy w przeszłości, nie było widziane i nie będzie widziane przez nikogo, bo na przykład spojrzenie rzucone wstecz przez człowieka roku 1900 jest już włączone w naszą wizję tak, jak nasze spojrzenie wstecz będzie włączone w wizję ludzi, co przyjdą po nas. Staramy się zachować lojalność wobec przeszłości, odtworzyć epokę Mickiewicza nie wprowadzając tam elementów jej obcych, wziętych z naszego czasu. Ale sam fakt, że wiemy co zdarzyło się po roku 1855 burzy proporcje, nadaje myślom i słowom ludzi dawnych ton, który im był nieznany. Istnieje oczywiście różnica pomiędzy fałszerstwem zamierzonym i wysiłkiem zrozumienia, ale różnica ta pochodzi z instynktu przyzwyczajenia, co jest bardzo mało — albo bardzo dużo.

Kilka tygodni temu pewien krytyk warszawski zaatakował reżysera, który wystawił schillerowską „Marię Stuart” za to, że pokazał Marię zbyt piękną i zbyt godną sympatii publiczności. To królowa Elżbieta miała historię po swojej stronie, jej okręty zmiażdżyły Armadę hiszpańską. W walce pomiędzy nurtem postępowym i reakcyjnym królowa Elżbieta reprezentowała postęp i reżyser powinien był ją pokazać jako wspaniałą i godną sympatii. Pomijam absurdalność socjologiczną tego rozumowania. Jeżeli docenia się czynniki ekonomiczne, zwycięstwo angielskie nie zależało od monarchów. Nie mogę jednak tego przykładowo traktować lekko. Człowiek minionej epoki jest tu odarty z całej swojej wewnętrznej wartości i robi się przeciwko niemu użytek z naszej wiedzy a równocześnie z braku wiedzy. Ze wszystkich kontyngensów historii wybiera się fakty dokonane, jeżeli zgadzają się one z projekcją wstecz, ostatecznie czysto teleologiczną. I następuje ześlizgiwanie się ku tym ponurym pokojom, gdzie setki skrybów zajmują się przerabianiem encyklopedji, według ciągle zmieniających się nakazów. Jednak to ześlizgiwanie się jest ledwo dostrzegalne i pokusa grozi nam wszystkim. Nauka nowoczesna wyznaje, że interwencja naszych instrumentów, które przekształcają badany przedmiot, wyznacza granice naszej wiedzy. Przeczuwam mgliste związki pomiędzy tym wyznaniem i rozpaczliwą ucieczką w świadome konstruowanie przeszłości.

Nie wiele postaci historycznych zaznało takich odmian fortuny, jak Mickiewicz po śmierci. Wydaje mi się, że porażka jego myśli politycznej jest całkowita. Nic nie zostało z jego marzenia o socjalizmie chrześcijańskim. Wiek biurokracji szydzi z jego proroctw o rewolucji spontanicznej, która na czele ludów postawiłaby wysłańców bożych. Sprzyjał wykrystalizowaniu się nacjonalizmu, który miał uczynić niemożliwą jego Res Publica, ojczyznę Polaków, Żydów, Litwinów, Białorusinów i Ukraińców. Jego dzieło jest związane z powstaniem 1830 roku i leży u podstaw powstania 1863 roku, tego nieodpowiedzialnego

przedsięwzięcia wywołanego przez wstrząsy wojny krymskiej, a mającego w skutku zbliżenie Rosji i Prus, z Sedanem na widnokręgu. I bez wątpienia z dwóch partii robotniczych dwudziestego wieku, sentymentalne i mgliste nadzieje dziedziczyła po Mickiewiczu Polska Partia Socjalistyczna a nie Socjal-Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy. Jeżeli warszawskie pomniki zbierają się czasem jesienną nocą na przyjacielskie rozmowy, Mickiewicz spotyka bohatera nowej epoki, Feliksa Dzierżyńskiego, małego polsko-litewskiego szlachcica jak on sam, poetę, ale który wołał zostawić inny, i dosyć trwały, ślad w dziejach naszej planety.

Przepraszam za tę grę w następstwa. Nie jest ona bardziej absurdalna niż inna gra, którą praktykuje się w Polsce. Mickiewicz pojawia się tam jako postępowiec, jak na swoje czasy, pielgrzym, który dzisiaj znalazł wreszcie swoją ziemię obiecaną. Jeden szczegół mnie tutaj niepokoi: okazuje się, że prawie żaden wybitny pisarz, jeżeli umarł, nie zostaje wyłączony z uczty żyjących, koronowanych przez Historię. Stąd wniosek, że cała literatura jest po stronie postępu. Wystarczy, że jest faktem dokonany, że istnieje. Reszta jest sprawą komentatorów a ponieważ w przeszłości wszystko się zajął, albo poprzez ewolucję albo poprzez dialektyczne zderzenie przeciwieństw, jedynym sekretem dla pisarza pozostającego przy życiu, jeżeli chce wejść do Panteonu, byłoby zrealizować swoje dzieło poza zasięgiem Ministerstwa Kultury. Wniosek niepokojący. W każdym razie współczuję tym, którzy komentują na przykład „Pana Tadeusza”. Ten poemat jest szczytem literatury anty-pedagogicznej. Ci dobrzy panowie, ci pobożni chłopci, ten błogostan żarłoków i pijaków, jakże to zinterpretować ku zbudowaniu młodzieży?

Falszuje się Mickiewicza. Owszem, od stu lat. Przyzwyczaił się do tego. Poezji jego to nie szkodzi. A nawet, zaryzykowałbym tę opinię, pomaga. Kiedy bierze się w rękę tekst i komentarz, zyskuje się nową intuicję przeszłości dzięki prawu kontrastu.

Kronika angielska

MŁODY LAS

Z „Ogniska”, gdzie po dziesięciu minutach sztywnieje kark od ustawicznego wymieniania ukłonów z przyjaciółmi, znajomymi i wrogami — po paru minutach jazdy taksówką wyładowaliśmy w długim, obszernym

korytarzu, który pełni rolę westibulu i palarni jednego z londyńskich teatralnych klubów.

Wmieszaliśmy się w tłum złożony z osób obojga płci. Moje dziennikarskie oko nawykłe do obserwacji uderzyło natychmiast trzy szczególności: wszyscy mówili po polsku — wszyscy byli bardzo dobrze choć „z cudzoziemska” ubrani — 80 procent obecnych to byli młodzi ludzie poniżej trzydziestu lat.

Posuwając się wolno ku wejściu na salę — zauważyłem po chwili że nie znam nikogo z obecnych i że w tym tłumie absolutnie mnie nikt nie zna. Ludzie patrzyli obojętnie i moje... wysokie czoło i okulary nie nikomu nie sygnalizowały. (Gdy przechodziłem nikt nie pochylał się ku sąsiadowi i nie szeptał objaśniająco: „to ten Mieroszewski z *Kultury*”).

Przeskok z sali „Ogniska” był tak duży, iż wyobraziłem sobie nagle, że o to jestem w Nowym Sączu czy w Rzeszowie i pierwszego zaraz wieczoru poszedłem na przedstawienie. Byłoby podobnie. Otaczałby mnie tłum ludzi mówiących po polsku, choć zupełnie mi obcych i nieznanych. Z całą pewnością nikt by nie dostrzegł ani mojego pielgrzymiego kostura, ani mojej (Boże odpuść!) pielgrzymiej... sławy. Jeżeli moje nazwisko komuś by coś mówiło to chyba tylko Bezpiecze, a gdyby i tej... zabrakło — byłbym całkowitym anonimem pograżonym w goryczy powrotu.

Gdy kurtyna poszła do góry zobaczyliśmy zespół aktorski złożony z dwudziestu kilku osób Grupy „Pro Arte” w pięknej poetyckiej farsie Federico Garcia Lorca pt. „Przedziwna Szewcowa” (*La Zapatera Prodigiosa*).

Czytelnik pozwoli, że odbiegnę od poświęconej emigracyjnej tradycji i mimo, że nie jestem fachowym teatralnym recenzentem powstrzymam się od oceny artystycznej strony przedstawienia. Jako tłumacz pragnę natomiast wyrazić uznanie p. Florianowi Śmieji, którego przekład sztuki Lorci jest istotnie bardzo piękny. Polszczyzna jest świeża, poetycka, pełna barwy i światła. Przekład ten tym bardziej zasługuje na wyróżnienie, że, jak wiemy, przekłady utworów dramatycznych bywały w Polsce na bardzo różnych poziomach.

Niezależnie od czysto artystycznych walorów przedstawienia, które według mojej amatorskiej oceny jest inicjatywą wysoce udaną, jako publicysta chciałbym zwrócić uwagę na fakt, który swą istotą znacznie wybiega poza ramy tzw. recenzji. P. Oldze Żeromskiej, która jest reżyserem Grupy „Pro Arte” powiodło się przyciągnąć młodych. A to jest niełada osiągnięcie! Na premierze było stokilkadziesiąt osób w wieku poniżej 30 lat. Statystyka wieku widzów stanowiła największą sensację dla obserwatora życia polskiego Londynu. Można przez pół stulecia chodzić codziennie do „Ogniska” czy do Instytutu im. Gen. Sikorskiego i czegoś podobnego nigdy nie zobaczyć.

Okazuje się, że młodą Polonię można zainteresować polskim słowem, że młodych można wrzucić do pracy kulturalnej ale muszą być spełnione pewne warunki. Warsztat musi być wolny od polityczno-emigracyjnych swarów i intryg. I wszystko odbywa się bez „protektoratów”. Nikt nie „objął pieczy”, nikt nie „udzielił poparcia”, nikt nie „zaszczylił obecnością”. Ktoś mądry widma trzyma z daleka.

O KSIĄŻKACH, KTÓRE SĄ...

Polacy do Mickiewicza podchodzą dwójako. A więc mamy podejście fachowe, polonistyczne. To są owe tomy studiów, szkiców, rozpraw — pisanych przez polonistów dla polonistów.

Drugi gatunek „mickiewiczologów” stanowią państwowo-twórczy prelegenci, zawodowi budziciele ducha i specjaliści od „zegarów dziejowych”. Mickiewicz w rękach tych panów służył zarówno propagandzie sanacyjnego Legionu Młodych czy Straży Przedniej — jak dziś służy propagandystom reżimowym do celów politycznych, nieco odmiennych.

W szkołach w Polsce przedwojennej robiono wszystko co możliwe by każdemu następnemu pokoleniu obrzydzić Mickiewicza na całe życie. Naszym polonistom w pełni się to udawało. Trzeba być pozbawionym wszelkiej wyobraźni i nie mieć nawet prymitywnej wiedzy o tzw. „duszy dziecka” by „Pana Tadeusza” jako przymusową lekturę wkładać do rąk czternastoletnim chłopcom (i dziewczętom). „Pan Tadeusz” winien być czytany w klasie ósmej jako ukoronowanie studiów nad literaturą ojczyzną w zakresie szkoły średniej.

Byłoby może przesadą mówić o renesansie „Pana Tadeusza” na emigracji. Niewątpliwie jednak Mickiewicz ogromnie się do nas przybliżył.

Nikt żadnego klucza do twórczości Mickiewicza nie znajdzie w ziemi nowogrodzkiej. Kluczem do Mickiewicza jest obczyzna. Wygnaćcy Paryż, którego poeta nie cierpiał podobnie jak Mackiewicz nie cierpi Londynu.

Nurtem emigracji jest utrata. Wszyscy ludzie wspominają ale emigranci wspominają inaczej niż wszyscy inni. Inaczej wspomina Londyn swej młodości Churchill, siedząc w fotelu swej londyńskiej rezydencji z oknami na Hyde Park — a inaczej emigrant wspomina przedwojenną Warszawę. Wspomnienie jest czymś doskonałym i samoistnym tylko w odniesieniu do rzeczy nieodwołalnie utraconych.

Nikt żadnej emigracji nie odczuje wspominkarstwa. To jest funkcja zastępcza bez której wygnanie byłoby trudne do zniesienia. Emigrant, który przestaje wspominać przestaje być emigrantem i traci swą pochodzeniową identyczność.

Staraniem Związku Pisarzy Polskich, pod redakcją Herminii Naglerowej, ukazała się nakładem B. Świdierskiego książka zbiorowa pt. „Mickiewicz Żywy”. Na całość złożyły się szkice i studia 32 autorów.

„Żywego Mickiewicza” brałem do ręki z uprzedzeniem — wydawać by się mogło w pełni uzasadnionym. Po pierwsze nie jestem entuzjastą książek zbiorowych a po drugie byłem pewien, że w tym szczególnym wypadku książka będzie zbiorem 32 rocznicowych przenudnych referatów — nie do czytania i nie do strawienia.

Tak nie jest. Książkę czyta się doskonale. Nie jest ani nudna, ani brązownicza, ani akademiowo-rocznicowa.

Jak to się stało?

Urokiem tej książki — nie waham się użyć tego słowa — jest fakt, że wszyscy autorzy mają osobisty, prywatny stosunek do Mickiewicza. W ich podejściu nie ma nic wymuszonego ani nic konwencjonalnego.

Mickiewicz Żywy” nie mógłby powstać w Polsce ani przed wojną, ani w czasie wojny, ani po wojnie. To jest książka, która mogła być napi-

sana tylko na emigracji i tylko przez emigrantów. To jest dzieło emigrantów o emigrancie. Intymność wspólnego losu bierze w niej górę nad narodowym pompiertwem.

Mówiąc o tej książce należy podkreślić piękną oprawę graficzną Zygmunta Turkiewicza, doskonały papier i wzorowy druk. Ten ostatni szczególnie uderza czytelnika ponieważ polskie książki wydane w Londynie pod względem technicznym pozostawiają bardzo wiele do życzenia. W „Mickiewiczu” jest dużo światła, bogate marginesy, nasilenie farby drukarskiej idealne równe, piękna czcionka, korekta bezbłędna. Równie wysoki poziom technicznej staranności niestety jest u nas rzadkością.

Leży przede mną „W oczach Zachodu” Conrada w przekładzie Wita Tarnawskiego — nakład Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas.

Obwoluta T. Piotrowskiego — kompozycyjnie przeładowana, w kolorze brudna. Druk książki nierówny — jakby przy odbijaniu pewnych stron żalowano farby. Marginesy oszczędne — powiedziałbym — „wojenne”. Nie może być żadnego porównania — jeżeli chodzi o poziom technicznego wykonania — pomiędzy „Mickiewiczem” a „W oczach Zachodu”.

Przekład Wita Tarnawskiego jest doskonały i bardzo bliski oryginału. Proza Conrada jest niezmiernie trudna i charakteryzuje ją pewna majestatyczna kadencja i swoisty nastrój. Ewokacja tych elementów w polszczyźnie nastręcza — wydawać by się mogło — nieprzezwyciężalne wprost przeszkody. To tak jak by ktoś utwór skomponowany na fortepian przetwarzał na skrzypce starając się zachować całość bogatej, fortepianowej orkiestracji.

Wit Tarnawski jest jednym z najwybitniejszych współcześnie żyjących znawców Conrada. By dokonać przekładu takiego dzieła jak „W oczach Zachodu” nie wystarczy ani bogate odczytanie, ani doskonała znajomość angielszczyzny. Trzeba znać Conrada na wylot — trzeba mieć wypracowaną własną koncepcję jego polskiej interpretacji. (Nie można zagrać mazurka Szopena o ile nie zna się całego Szopena, o ile nie ma się własnej koncepcji interpretacji będącej wynikiem studiów, talentu i umiłowania.)

O KSIĄŻKACH, KTÓRYCH NIE MA...

Zasłużony i niestrudzony kronikarz polskich poczyniń kulturalnych na emigracji, Jan Naumoff-Ostrowski, pisujący w „Orle Białym” pod różnymi jedno lub dwu-literowymi kryptonimami — zwrócił ostatnio uwagę czytającej publiczności na smętne dzieje Instytutu Badań Zagadnień Krajowych.

Jak wynika z cytowanej notatki projekt budżetu przewidywał £200 „na spełnienie najbardziej podstawowych zadań instytutu”. Niestety wpływy wyniosły tylko £102. Skarb Narodowy na poczet przyznanej pomocy w wysokości £120 rocznie — wypłacił tylko £60.

Nawiasem dodam, że na tej samej stronie „Orla Białego” znajduje się list p. inż. Woronowicza, prezesa Koła Londyńskiego Związku Rolników Polskich. P. Woronowicz oficjalnie stwierdza, że na bilety wstępu tudzież „drinki” uczestnicy tegorocznego balu „dożynkowego” wydali £2050. Porównanie tych dwóch „budżetów” jest niewątpliwie dość charakterystyczne.

W prasie emigracyjnej istnieją tylko dwa typy artykułów poświęcone zagadnieniom krajowym. Pierwsze to są studia na wysokim poziomie przeznaczone dla czytelników o gruntownym teoretycznym przygotowaniu. Drugi typ stanowią artykuły propagandowe.

Czytelników o gruntownym przygotowaniu teoretycznym jest bardzo mało — natomiast czytelników śmiertelnie znudzonych „propagatkami” jest bardzo dużo. W rezultacie zainteresowanie tymi zagadnieniami jest w gruncie rzeczy małe.

Krajoznawstwo — jeżeli w tym sensie wolno użyć tego terminu — jest reprezentowane na emigracji szeregiem poważnych pozycji. Mamy doskonałe krajowe zeszyty *Kultury*, są prace Juliusza Poniatowskiego, Wojciecha Zaleskiego, Zbigniewa Jordana, Jana Wszelakiego, Alfreda Zaubermana i wielu innych.

Jednak w mojej opinii brak jest podstawowej książki od której wszystkie studia nad krajową rzeczywistością należałoby zacząć. Powinna się znaleźć grupa specjalistów, która by opracowała książkę przeznaczoną dla przeciwnego inteligenta a złożoną z dwóch części. Pierwsza część byłaby wyłącznie poświęcona wykładowi marksizmu w jego aspektach — historycznym, polityczno-społecznym, gospodarczym i filozoficznym. Druga część zawierałaby krytykę doktryny marksistowskiej w oparciu o naukową metodę przyjętą w wolnym świecie.

Nie ulega wątpliwości, że zredagowanie takiego tomu nastręczałoby wiele poważnych trudności lecz to nie są przeszkody nieprzezwyciężalne.

Nie można ani zrozumieć ani ocenić tego co dzieje się w Rosji i w krajach ujarzmionych bez znajomości marksizmu. Gdyby to leżało w mojej mocy wprowadziłbym przymusowe egzaminy ze znajomości marksizmu dla współpracowników radiostacji „Free Europe” i „Voice of America”. Nie można bowiem zawodowo zwalczać doktryny, której się nie zna. Nie znając dokładnie marksizmu można tylko uprawiać propagandę i krzepić serca. Nie można natomiast ani dyskutować ani obiektywnie krytykować.

Wielokrotnie przekonałem się, że najcelniejsze artykuły o zagadnieniach krajowych, jakie od czasu do czasu drukują emigracyjne pisma — dla 90 % czytelników (składiną inteligentnych) są stracone, ponieważ autorzy owych artykułów wychodzą z mylnego założenia, że 90 % czytelników wie doskonale co to jest materializm historyczny, dialektyka itd. Znaczny procent Polaków przebywających na Zachodzie ma za sobą sowieckie łagry ale tylko minimalny odsetek ma za sobą lekturę podstawowych dzieł marksizmu. Ignorancja w tej dziedzinie jest wprost niewiarygodna.

By zachować zasadę „balanced view” trzeba powiedzieć, że uchodzący politycznemu nie jest bynajmniej łatwo przebywając na Zachodzie zapoznać się z elementarnymi podstawami marksizmu.

Są doskonałe studia angielskie i amerykańskie — nie zastąpią one jednak dzieła polskiego.

Obojętne czy się nam to podoba czy nie — marksizm wtargnął do historii polskiej i Polak, który chce znać zarówno światła jak cienie dzieła swego narodu nie może być w tej sprawie ignorantem.

LONDYŃCZYK

Jedna czy dwie literatury polskie ?

Dnia 13 grudnia odbył się w Londynie jeden z serii wieczorów autor-
skich organizowanych przez Związek Pisarzy Polskich. Przewodniczyła
H. Naglerowa, prelegentami byli M. Danilewiczowa, J. Bielatowicz, Z.
Broncel. Temat dyskusji : „Jedna czy dwie literatury polskie ?”

Wprawdzie, otwierając zebranie, przewodnicząca nakreśliła bardziej
szerokie, względnie głębokie, ramy zagadnieniu, mówiąc o możliwości utraty
przez literaturę polską jedności w czasie (przyjmując to kryterium, należało-
by przeprowadzić studium jakiejś ogólnej linii rozwojowej literatury polskiej,
zastanowić się, czy to, co pisze się w języku polskim po roku 1945, jest
projekcją tej linii, czy nie), ale prelegenci poszli łatwiejszą drogą i zasto-
sowali geograficzne kryterium podziału *współczesnej* literatury polskiej. Pa-
trząc z tego punktu widzenia, możemy z łatwością wyróżnić dwa człony
w piśmiennictwie polskim: człon krajowy i człon emigracyjny. Podział jest
tym ściślejszy, że przenikanie jest niemal wyłączone. Autorzy zgodnie pod-
kreślili, że instytucja „pachciarza przemycającego książki polskie w Litwę”
tak charakterystyczna dla okresu Wielkiej Emigracji, obecnie nie istnieje.
Jeśli chodzi o przepływ w drugą stronę, to — jak zapewniła p. Danilewi-
czowa, rozpatrując zagadnienie pod kątem bibliotekarskim — emigracja nie
zna literatury krajowej: książki, które do nas dochodzą, są drobnym ułam-
kiem twórczości krajowej, wyselekcjonowanym przez podwójną cenzurę, cen-
zurę kupujących (emigracji) i sprzedających. Ta ostatnia jest o wiele su-
rowsza: stara się przyjąć „nasze” kryterium wartości i nieubłagane usuwa
z katalogów eksportowych wszystko to, co mogłoby urazić wrażliwego czy-
telnika emigracyjnego. Prelegenci byli jednak świadomi, że pewne prze-
nikanie mimo wszystko istnieje: podkreślono wpływ Gombrowicza na nie-
których pisarzy „Nowej Kultury” a nawet — ściśle formalny zresztą —
na samą „Nową Kulturę”, jak również związek, omawiany już w listopa-
dowym numerze „Kultury”, między „Zniewolonym Umysłem”, a Bran-
dysa „Nim będzie zapomniany”.

Skoro więc podział nie ulega wątpliwości, pozostaje tylko rozstrzyg-
nąć, czy wytworzył on aż tak duże różnice w środkach i celach pisarskich,
aby można było mówić o dwóch literaturach polskich. Bielatowicz unika
zdecydowanego wypowiedzenia się, ale Broncel stawia sprawę niesłychanie
jasno: literatura polska jest jedna; uboga zarówno tam, jak i tu, bo od-
cięta od czytelnika i nurtu życia (pensje dla pisarzy tam spełniają tę samą
funkcję, co zasiłek „Assistance Board” tu — różnica ilościowa, ale nie
jakościowa); ograniczenie pisarza istnieje po obu stronach: z jednej strony
czy jest do pomyślenia pisarz emigracyjny piszący powieść np. o aferze
Bergu ? (pyta Broncel), a z drugiej — błędem jest twierdzić, że pisarz kra-
jowy jest tylko narzędziem w ręku policji czy partii; jeśli chce, może on

przeciwstawić się uciskowi, a nawet ucisk ten przełamać — najlepszy przykład: M. Dąbrowska. (W związku z tym można przypomnieć charakterystykę twórczości A. Rudnickiego w grudniowym numerze „Kultury”) „Literatura polska jest jedna i będzie jedna” — mówi Broncel. W przyszłości jedna nawet geograficznie, bo pozostanie tylko jej człon krajowy. Nie spodziewajmy się, że dzieci emigranckie, urodzone w Anglii czy Francji, będą czytały polskie książki, a tym mniej, że będą je pisały. Te tezy poparte są w pełni doświadczeniami p. Danilewiczowej w jej działalności bibliotekarskiej. Czytelnik polski na emigracji chce książki *dobrej*, obojętne gdzie jest napisana. Newerly i J. Mackiewicz, Straszewicz i Rudnicki — mają jednakowe powodzenie u publiczności. I ci sami krajowi autorzy, którzy są poczytni na emigracji, cieszą się wielkim popytem w kraju — książki ich znikają z księgarni błyskawicznie. Przez analogię wnioskować można, że podobnie działoby się z poczytnymi na emigracji autorami emigracyjnymi. Jest to więc rzeczowy dowód jedności naszej literatury. Jaki z tego wniosek? Znowu najlepiej przytoczyć Bronclę: Nie zacieśniać się do zanikającego światka emigracyjnego, szukać kontaktów z krajem i literaturą krajową.

Dyskusja pozostawiła głębokie wrażenie. Pisarze dokonali dwóch rewelacyjnych wyłomów w naszym tradycyjnym myśleniu: 1) Stwierdzili, że emigracja nie jest samowystarczalna kulturalnie i samowystarczalna być nie może. 2) Dostrzegli istnienie narodu polskiego w kraju. Naród ten wprawdzie nie posiada wolnego państwa, ale posiada szereg innych ważnych atrybutów, między innymi literaturę. Brak atrybutu pierwszego nie upoważnia nas jeszcze do stanowiska pogardliwej niewiedzy w stosunku do spraw krajowych.

Wyda się, że pisarze właściwiej ocenili sytuację, niż politycy. Zarzuty, kierowane przez tych ostatnich pod adresem „Kultury” z powodu odezwy do 48-miu dowodzą, że czynniki polityczne ciągle jeszcze wolą działać „dla Polaków bez Polaków”. Ciekawe, jakie stanowisko wobec powyższej odezwy zajął Związek Pisarzy Polskich — przecież spora grupa wśród 48-miu to pisarze?

Bohdan BRODZIŃSKI

BIBLIOGRAFIA BIEŻĄCEJ LITERATURY KRAJOWEJ

Od pewnego czasu rynek emigracyjny zalany jest książkami krajowymi. Oderwanie od kraju oraz brak omówień czy recenzji w prasie emigracyjnej utrudniają zorientowanie się w tej powodzi, oddzielenie książek naprawdę wartościowych i cennych od propagandy czy grafomanii.

Na skutek licznych listów czytelników redakcja „Kultury” wprowadza z następnym numerem specjalny dział *bibliografii bieżącej literatury krajowej*, w której podawane będą dane bibliograficzne tych książek, które redakcja uważa za wartościowe.

Bibliografia ta będzie, niestety, bardzo fragmentaryczna i niepełna przede wszystkim z braku materiałów. Wydawnictwa krajowe bowiem nie uznają instytucji wymiany a to co możemy nabyć do naszej biblioteki jest dosyć przypadkowe. Niemniej sądzimy, że tego rodzaju poradnik może być pożyteczny dla czytelników, specjalnie w krajach pozaeuropejskich.

Książki

O książce Lenina : “Materializm i empiriokrytycyzm”

Ta praca, jedyna jaką Lenin ogłosił o kwestiach filozofii ścisłej jest zwrócona przeciwko Machowi i jego uczniom, jawnym czy ukrytym, których sporo liczyła w roku 1908 socjal-demokracja, a w szczególności zaś socjal-demokracja rosyjska; najbardziej znanym z nich był Bogdanow. Lenin bada szczegółowo doktryny swoich przeciwników, doktryny, które wszystkie starały się z większą zręcznością rozwiązać problem poznania i przekreślały w tym celu pojęcie przedmiotu zewnętrznego w stosunku do myśli; wykazuje, że wszystkie one sprowadzają się w istocie, kiedy się je pozbawi pretensjonalnej frazeologii, do idealizmu Berkeley'a to jest do negacji świata zewnętrznego; przeciwstawia im materializm Marksa i Engelsa. W tej polemice, która odrywała go od jego zwykłych zainteresowań, Lenin wykazał raz jeszcze swoją pracowitość, swoje zamiłowanie do poważnej dokumentacji. Łatwo zrozumieć wagę tej dyskusji: nie można występować w imieniu „socjalizmu naukowego” jeżeli nie ma się jasnego pojęcia o tym czym jest nauka, jeżeli więc nie postawiło się w jednoznacznych terminach problemu poznania, problemu stosunków między myślą i jej przedmiotem. Jednak praca Lenina jest równie nudna i prawie równie mało pouczająca jak pierwszy lepszy podręcznik filozofii. Przypisać to trzeba mierności przeciwników, których Lenin atakuje, przede wszystkim jednak samej metodzie Lenina.

Lenin studiował filozofię najpierw w roku 1899 w czasie swego pobytu na Syberii, następnie w roku 1908 w określonym celu, a mianowicie żeby zwalczać teoretyków ruchu robotniczego, którzy chcieli oddalić się od materializmu Engelsa. Bardzo

charakterystyczna to metoda: zastanawiać się po to, żeby odeprzeć czyjeś tezy, przy czym rozwiązanie jest dane z góry, przedtem nim się zaczęło badać. Przez kogo mogło być dane to rozwiązanie? Przez Partię, tak jak dla katolików jest dane przez Kościół. Gdyż „teoria poznania” tak jak ekonomia polityczna jest w naszym współczesnym społeczeństwie nauką partyjną”. I w istocie nie można negować, że istnieje ścisły związek między kulturą teoretyczną i podziałem społeczeństwa na klasy. Wszelkie społeczeństwo oparte na ucisku rodzi fałszywą koncepcję stosunków między człowiekiem i naturą, dlatego po prostu, że w bezpośrednim kontakcie z naturą są tylko eksploatowani, to jest ci, którzy dostęp do kultury teoretycznej mają zamknięty i są pozbawieni zarówno prawa jak możliwości wyrazu; i na odwrót, fałszywa koncepcja tak ukształtowana przyczynia się do trwałości ucisku w tym stopniu, w jakim przedstawia ten rozdział między myślą i pracą jako uprawniony. W tym sensie można powiedzieć, że taki czy inny system filozoficzny, taka czy inna koncepcja nauki, są reakcyjne czy burżuazyjne. Jednak nie w ten sposób zdaje się rozumieć to Lenin. Nie mówi on: ta koncepcja deformuje prawdziwy stosunek człowieka do świata, a więc jest reakcyjna, ale: ta koncepcja oddala się od materializmu, prowadzi do idealizmu, dostarcza argumentów religii, jest reakcyjna, a więc fałszywa. Nie chodzi mu o to, żeby wprowadzić porządek w swoją własną myśl, jedynie o to, żeby utrzymać nienaruszone tradycje filozoficzne, którymi żyła Partia. Taka metoda myślenia nie jest metodą wolnego człowieka. Czy jednak Lenin mógł rozumować inaczej? Z chwilą kiedy Partię cementuje nie tylko zgodność akcji ale również jedność myśli, jest rzeczą wykluczoną, żeby dobry aktywista nie myślał jak niewolnik. Łatwo sobie przedstawić jak będzie zachowywać się taka partia kiedy zdobędzie władzę. Dla wiący reżym, który ciąży w tej chwili na narodzie rosyjskim, istniał już w zarodku w postawie Lenina wobec jego własnej myśli. Na długo przedtem nim wydarła całej Rosji wolność myślenia, partia Bolszewików odjęła ją swemu wodzowi.

Marks, na szczęście, inaczej zabierał się do rozważań. Niezależnie od wielu polemik, które nie przysparzają mu wcale chwały, starał się raczej wprowadzać porządek w swoją własną myśl, niż ścierać na prosek swoich przeciwników. Nauczył się od Hegla, że zamiast odrzucać koncepcje niepełne lepiej jest je „przezwyciężać zachowując”. Toteż myśl Marksa różni się wyraźnie od myśli marksistów, nie wyłączając Engelsa, i nigdzie tak bardzo jak w rozwiązaniu problemu, którym zajmuje się tutaj Lenin, mianowicie problemu poznania, a, biorąc to ogólniej, stosunków pomiędzy myślą i światem.

Żeby wytłumaczyć sobie jak to jest możliwe, że myśl poznaje świat, można albo przedstawić świat jako prosty twór myśli, albo przedstawić myśl jako jeden z produktów świata, produkt, który przez niewytłumaczalny przypadek, stanowiłby również jego obraz czy odbicie. Lenin zakłada, że wszelka filo-

zofia powinna się sprowadzać w gruncie rzeczy do jednej z tych dwóch koncepcji i opowiada się, oczywiście, za tą drugą. Cytuje formułę Engelsa, według której myśl i świadomość „są produktami mózgu ludzkiego, będąc ostatecznie niczym innym niż produktami natury”; w ten sposób „produkty mózgu ludzkiego, będąc ostatecznie niczym innym niż produktami natury, nie tylko nie wchodzą w sprzeczność z całością natury, ale jej odpowiadają” i powtarza bez ustanku, że to odpowiadanie sobie polega na tym, iż produkty mózgu ludzkiego, chyba dzięki Opatrzności, są fotografiami, obrazami, odbiciami natury. Jak gdyby myśli wariata nie były z tego samego tytułu „produktami natury”! Otóż te obie koncepcje, do wyboru między którymi chce nas zmusić Lenin, pochodzą z zastosowania tej samej metody; aby lepiej rozwiązać problem, przekreślają jedną z jego danych. Pierwsza przekreśla świat, przedmiot poznania, druga umysł, podmiot poznania; obie odbierają poznaniu wszelkie znaczenie. Jeżeli chcemy nie budować teorii, ale zdać sobie sprawę z sytuacji w jakiej znajduje się człowiek, nie będziemy pytać jak to się dzieje, że świat jest poznawalny, ale jak naprawdę człowiek poznaje świat; należy wtedy uznać i istnienie świata, który przewyższa myśl i myśli, która bynajmniej nie odbijając biernie świata, ćwiczy się na nim, zarówno żeby go poznać jak przekształcić. Tak właśnie myślał Kartezjusz i znamienne jest że Lenin w swojej książce nie wymienia nawet tego nazwiska; tak również bez wątpienia myślał Marks.

Wysunie się tu zapewne obiekcję: Marks nigdy nie oświadczył, że nie zgadza się z doktryną wyłożoną przez Engelsa w jego pracach filozoficznych, czytał „Anty-Dühringa” w rękopisie i udzielił swojej aprobaty; to jednak oznacza tylko, że Marks rozważaniu tych problemów nigdy nie udzielił dość czasu, żeby sobie uświadomić, co dzieliło go od Engelsa. Całe dzieło Marksa jest poczęte z ducha obcego grubemu materializmowi Engelsa i Lenina. Nigdy nie uważa on człowieka po prostu za część natury, ale zawsze, ponieważ człowiek rozwija wolną działalność, za element antagonistyczny wobec natury. W swoim studium o Spinozie zarzuca mu wprost, że pomieszał człowieka z naturą, która go otacza, zamiast człowieka naturze przeciwstawić. W swoich „Tezach o Feuerbachu” pisze: „główna wada doktryn materialistycznych, które powstały po dziś dzień, łącznie z doktryną Feuerbacha, polega na tym, że rzeczywiste, dotykalne zostało w nich pojęte w formie przedmiotu, kontemplacji, a nie jako dotykalna działalność ludzka, jako praxis, w sposób subiektywny. Dlatego też strona czynna została rozwinięta w sposób abstrakcyjny, to prawda, w opozycji wobec materializmu, przez idealizm, który, ma się rozumieć, nie zna działalności rzeczywistej, dotykanej, jako takiej”. Chociaż te formuły są niejasne, mówią przynajmniej jasno, że chodzi o syntezę idealizmu i materializmu, syntezę, w której byłoby zachowane radykalne przeciwieństwo pomiędzy bierną naturą i działalnością ludzką. Niewątpliwie Marks nie uznaje

myśli czystej, która rozwijałaby się poza wszelkim kontaktem z naturą; nie ma jednak nic wspólnego pomiędzy doktryną, która z całego człowieka czyni prosty produkt natury a z myśli proste odbicie i koncepcję, dla której rzeczywistość pojawia się w punkcie styczności myśli i świata, w akcie przez który myślący człowiek obejmuje świat w posiadanie. Według tej koncepcji należy interpretować materializm historyczny, który oznacza, jak Marks obszernie tłumaczy w swojej „Ideologii niemieckiej”, że myśli formułowane przez ludzi w określonych warunkach technicznych, ekonomicznych i społecznych odpowiadają sposobowi, w jaki ci ludzie działają na naturę, wytwarzając własne warunki egzystencji. Z tej też koncepcji należy wziąć samo pojęcie rewolucji proletariackiej, gdyż sama istota systemu kapitalistycznego polega, jak to wykazał Marks, na odwróceniu stosunku między podmiotem i przedmiotem, odwróceniu które powstaje przez poddanie podmiotu przedmiotowi, „robotnika warunkom materialnym pracy”; i rewolucja nie może mieć innego celu niż przywrócić myślącemu podmiotowi stosunek jaki powinien mieć do materii, dając mu władzę nad nią, którą wykonywać jest jego funkcją.

Nie należy się dziwić, że partia Bolszewików, której sama organizacja zawsze opierała się na podporządkowaniu jednostki i która zdobywszy władzę miała przywiązać robotnika do maszyny tak jak kapitalizm, przyjęła jako doktrynę naiwny materializm Engelsa raczej niż filozofię Marksa. Nie należy również się dziwić, że Lenin trzymał się metody ściśle polemicznej i wołał ambarasować swoich przeciwników mnóstwem trudności niżeli wykazać w jaki sposób może podobnych trudności uniknąć teoria materialistyczna. Cytata z „Anty-Dühringa” zastępuje dla niego wszelkie analizy; ale mówiąc z pogardą o „dawno obalonych błędach Kanta” bynajmniej nie zmienia przez to faktu że „Krytyka czystego rozumu” jest nadal, mimo swoich luk, książką o wiele bardziej pouczającą niż „Anty-Dühring” dla każdego, kto chce zastanowić się nad problemem poznania. I można tylko się śmiać kiedy on sam, ciągle powołując się na „materializm dialektyczny” jako na doktrynę zdolną wszystko rozwiązać, wyznaje we fragmencie dotyczącym dialektyki, że zajmowano się dotychczas jedynie popularyzowaniem dialektyki a nie uzasadnieniem jej poprzez historię nauk.

Praca tego rodzaju jest przygnębiającym dowodem zaniedbań ruchu socjalistycznego w dziedzinie czystej teorii. Nie wolno się pocieszać mówiąc, że akcja społeczna i polityczna ważniejsza jest niż filozofia; rewolucja powinna być również intelektualna jak społeczna, a spekulacja czysto teoretyczna ma w niej swoje zadanie uchylając się przed którym, uczyni się całą resztę niemożliwą. Wszyscy autentyczni rewolucjoniści rozumie, że rewolucja zakłada rozpowszechnienie wiedzy wśród całej ludności. Zgodni są tu całkowicie i Blanqui, który uważa komunizm za niemożliwy przedtem, nim wszędzie nie rozpowszechni się „oświaty” i Bakunin, który chciał, jak to wyraził

w swojej mądrej formule, żeby „nauka tworzyła jedno z rzeczywistym i bezpośrednim życiem jednostek” i Marks, dla którego socjalizm miał oznaczać przede wszystkim obalenie „degradowającego podziału pracy na pracę umysłową i pracę fizyczną”. Jednakże, jak się zdaje, nie rozumiano jakie są warunki takiej przemiany. Posłać wszystkich obywateli do liceum i do uniwersytetu do lat osiemnastu czy dwudziestu byłoby tylko środkiem słabym a raczej żadnym w obecnym przykrym stanie rzeczy, który dotyka nas wszystkich. Gdyby chodziło o spopularyzowanie nauki takiej, jaką nam przekazali uczeni, byłoby to rzeczą łatwą; ale ze współczesnej nauki nic nie nadaje się do popularyzacji z wyjątkiem wyników, przez co zmusza się tych, których, jak łudzimy się, mamy kształcić, do przyjmowania na wiarę bez wiedzy. Co do metod, które stanowią samą duszę nauki, są one z samej ich istoty niedostępne dla profanów a z kolei dla samych uczonych, z których specjalizacja robi ciągle profanów, poza bardzo wąską dziedziną w której pracują. W ten sposób, podobnie jak robotnik w nowoczesnej produkcji musi się podporządkować warunkom materialnym pracy, tak samo myśl w badaniu naukowym musi dzisiaj podporządkować się posiadanym wynikom nauki; i nauka, która miała pozwolić nam pojąć jasno wszystkie rzeczy i rozproszyć wszystkie tajemnice, stała się sama czymś najbardziej tajemniczym, aż do tego stopnia, że niejasność a nawet absurdalność przedstawiają się dziś w teorii naukowej jako oznaka głębi. Nauka stała się najbardziej nowoczesną formą świadomości człowieka, który jeszcze się nie odnalazł, albo na nowo się zagubił, jak powiada piękna formuła Marksa dotycząca religii. I niewątpliwie nauka współczesna ma pełne kwalifikacje do tego, żeby służyć za teologię naszemu coraz bardziej biurokratycznemu społeczeństwu, jeżeli jest prawdą, jak Marks pisał w młodości, że „duszą wszelkiej biurokracji jest sekret, tajemnica, wewnątrz niej samej poprzez hierarchię natomiast wobec tych, co są na zewnątrz, poprzez jej charakter zamkniętego ciała”. Mówiąc bardziej ogólnie, wszelki przywilej a za nim wszelki ucisk opiera swoje istnienie na wiedzy niezrozumiałej w istocie dla mas robotniczych, które dzięki temu zmuszone są wierzyć, tak jak zmuszone są słuchać. Religia w naszych czasach nie wystarcza do spełnienia tej roli i została zastąpiona przez naukę. Tak więc piękna formuła Marksa, dotycząca krytyki religii jako warunku wszelkiej krytyki, powinna być rozciągnięta również na naukę współczesną. Socjalizm nie będzie możliwy nawet do wyobrażenia tak długo, jak długo nauka nie zostanie odarta ze swojej tajemnicy.

Kartezjusz wierzył niegdyś że można położyć fundamenty pod naukę bez tajemnicy, to jest naukę, która miałaby dostateczną jedność i prostotę w swojej metodzie, tak aby części bardziej skomplikowane były tylko dłuższe ale nie bardziej trudne do zrozumienia niż części prostsze; aby każdy mógł następnie zrozumieć jak zostały osiągnięte wyniki, do których sam dojść

nie miał czasu; aby każdy wynik był poddany razem z metodą, która prowadziła do jego osiągnięcia, a więc żeby każdy uczeń miał wrażenie, że na nowo wynajduje naukę. Sam Kartezjusz opracował projekt Szkoły Sztuk i Rzemiosł, w której każdy rzemieślnik uczyłby się zdawać sobie w pełni sprawę z teoretycznych podstaw swego rzemiosła; w ten sposób wykazywał, że był bardziej socjalistą na terenie kultury niż wszyscy razem uczniowie Marksa. Jednak zrealizował co chciał tylko w bardzo ograniczonym zakresie a nawet zdradził swoje przekonania, a to przez pychę, ogłaszając niedostępną z zamierzeniami „Geometrię”. Po nim zabrakło już uczonych, którzy by starali się podkopać przywileje kasty. Co do intelektualistów ruchu robotniczego, nie myśleli oni wcale o tak niezbędnym zadaniu; zadaniu, to prawda, ponad siły, które zmusza do krytycznej rewizji całej nauki, a przede wszystkim matematyki, gdzie schroniła się kwintesencja tajemnicy; jednak zadanie to jest wyraźnie wyznaczone przez samo pojęcie socjalizmu a czy zostanie wykonane rzecz to jedynie tych, którzy odważą się je podjąć, niezależnie od warunków zewnętrznych i sytuacji ruchu robotniczego; zresztą jest tak ważne, że jeden krok w tym kierunku byłby być może bardziej użyteczny dla ludzkości i proletariatu niż wiele częściowych zwycięstw w dziedzinie akcji. Ale teoretycy ruchu socjalistycznego, kiedy porzucają dziedzinę akcji praktycznej albo tę pustą ruchliwość pośród tendencji, frakcji i pod-frakcji, która daje im złudzenie działania, nie próbują wcale podkopać przywilejów intelektualnej kasty; bynajmniej, wprowadzają natomiast skomplikowaną i tajemniczą doktrynę, która podtrzymuje ucisk biurokratyczny w łonie ruchu robotniczego. W tym sensie filozofia jest na pewno, jak powiedział Lenin, sprawą partyjną.

Simone WEIL,

„Critique sociale”, listopad 1933.
Oppression et liberté. Gallimard 1955.

Przełożył Czesław MIŁOSZ.

Copyright by Librairie Gallimard, Paris.

Karpacka alchemia

Jedną z najgroźniejszych cech technicznej cywilizacji (a żyjemy dopiero u jej progu) jest zimna gładkość powierzchni otaczających nas przedmiotów. Betony, asfalty, stale, stopy metalowe, plasticsy, nylony i rayony nie mają żadnej szczeliny,

w którą moglibyśmy zapuścić korzeń i dostać się do ziemi. Z pięciu zmysłów — dotyk stał się niemal bezużyteczny. Wzrok ześlizguje się po emalii kolorów (nie zatrzyma go żadna chropowatość). Smak obojętnieje na konserwy w puszkach. Ze światła organicznego pozostają nam własne włosy, zmarszczki na twarzy, linie dłoni. Dozowana zimnym rachunkiem chemia dosięga nawet słów. Biurokratyczne, conceptualne, abstrakcyjne, bezosobowe zdania składają się same w banalny kalejdoskop. Na szczęście istnieją przeciw tej higienicznej epidemii leki i amulety. Najskuteczniejszym z nich jest poezja. Ale poezja z kolei karmi się formą organiczną. Jeśli słowo ma być szorstkie, lub krągłe, jeśli słowa mają mieć ciężar, kolor i różnorodność kamyków, lub płynność i chłód wody, lub ciepło i blask ognia, lub lekkość i przejrzystość powietrza, poeta musi je żywić kontaktem z materią. Najtrafniejszym bodaj symbolem twórczości poetyckiej jest alchemia. Zrozumiał to Jung, odkrywając sedno „Wielkiego Dzieła”: alchemik, oczyszczając grudę, dążąc do otrzymania kamienia filozoficznego, pracował nad samym sobą. Kolorowe misterium próbek, miechów i kotłów było widocznym znakiem psychicznej rafinerii. Zrozumiał to Gaston Boche-lard, w swym dziele nad wyobraźnią *materialną*.

„Smagła Swoboda” Mariana Pankowskiego jest świeżą i oryginalną demonstracją takiej właśnie poetyckiej alchemii „naczyń połączonych”. Poeta czerpie we wspomnieniu sadu, czy lasu, czy góry, czy pola. Wspomnienie to jest może tylko cieniem, widmem. Wypowiedziane leniwie, łatwo, dałoby słowa-cienie, słowa-widma, którymi są zazwyczaj „ładne” opisy krajobrazu. Ale u Pankowskiego wchodzi właśnie w grę ten tajemniczy proces alchemiczny. Słowa jego nabierają kształtu, koloru, smaku, wieją chłodem poranku, grzeją ogniskiem zapalonym na polu. Stają się *rzeczą*. Pankowski zdaje sobie z tego sprawę. Chciałby nawet przekazać nam swój sekret w końcowych słowach swej „Ars Poetica”:

„Łagodnym zamysłem pochylaj się nad rzeczą. Sledź jej żywot, od ziaren żwiru zaczynając, a na jodłach puszczańskich — co Karpatami z południa na północ kołyszą — kończąc.

Ufaj mi, tak czyniąc doczekasz dnia w którym zapragniesz mowy. Jedynej, bo twojej.

Weźmiesz tedy arkusz, a rozwinąwszy go na stole trześ-niowym, napiszesz u góry: narciarz. Potem powoli oną kartę ku sobie pochyl. Jarkim śniegiem w dół zaszumi, szronistym prądem cię obryzga, telemarkiem skibę wysoką wzniesie i pióro twe zadziwione zimą przywali, ODDECHEM GÓRSKIM PUL-SUJACE SŁOWO”.

Podejrzewam jednak że jest to rada retoryczna, tak jak bywają retoryczne pytania. Pankowski nie ludzi się że można przemienić czytelników w poetów. Ale „Smagła Swoboda”, to nie tylko „Ars Poetica”, ale również, poważniej, „Ars Vitae”.

Pankowski mobilizuje własne wspomnienia swobodnego, sielskiego, organicznego dzieciństwa, przeciw presji bezosobowej, technicznej cywilizacji. Jeśli człowiek zdoła zachować w ustach smak jabłka, w nozdrzach zapach jałowcowych kulek rzuconych na rozżarzoną blachę, w dłoni kształt kory drzewa na które wspinał się w dzieciństwie, to wtedy... „gdy w mieście dalekim przyjdzie ci w pamięć na larum uderzyć, wierząc mi, stawi się wierni wszyscy bór. Oprzesz się oń, i tysiąc miast betonowych pędzących na siebie powstrzymasz”.

W „Smagłej Swobodzie” dziwnie szczęśliwie łączą się w harmonijną jedność pozorne kontrasty: największa bezpośredniość w przekazaniu szczegółu i chwili — i erudycja czytelnika, bywalca bibliotek; uchwycenie chwili, pory, zapachu i koloru, jedynych i bezpowrotnych — i najbardziej wycieniowana stylizacja; prostota — i „préciosité”. W swych traktatach „O Wykradaniu Owoców”, „O Rozpalaniu Ognia”, „O Sztuce Latania”, „O Smagłej Swobodzie”, zachowuje Pankowski zmysłowy kontakt z surowcem swego dzieła: istotą sadu, fizjologią słonecznika, smakiem pieczonych ziemniaków, ptasią iluzją dzieciństwa, magicznym językiem cyganów. Ale nad tym surowcem pracuje z precyzją i pozorną nonszalancją zapamiętałego czytelnika. Chciałabyś mieć pochwałę „elegancję” tej książki, gdyby polski odpowiednik „élégance” nie brzmiał tak odstręczająco. Pankowski wita się z Wirgiliuszem, wdzięcznie się kłania Bachelardowi, zaprasza Markizę de Chastelet do menueta. W ogniu rozpalonym na polu topi szkła antyczne, greckie i chałdejskie. Na świadków powołuje mędrców, poetów i pastucha Jaśka. Słonecznik jest dla niego „Helianthemum, Corona Solis”, „Soleil cou coupe”, ale w ustach ma on smak jego pestek, w oczach „szary bruk pokrywających się we wszystkich kierunkach, jak abrakadabra, ziaren”.

Smutne to świadectwo o krytyce emigracyjnej, że pierwsza recenzja z tej książki, odznaczonej nagrodą literacką „Kultury”, ukazała się w prasie krajowej. Leszek Herdeggen poświęca „Smagłej Swobodzie” obszerny artykuł w „Życiu Literackim” z 20 listopada. Recenzja Herdeggena obfituje w słowa uznania. „Smagła Swoboda” jest „piękną książką”, „napisaną znakomitą polszczyzną”. Rozważania Pankowskiego są „piękne, wzruszające, często dowcipne”... „misternie uwikłane w stylizacji, skromnie ukryte za moralizatorską, dydaktyczną koncepcją traktatu”. Herdeggen opisuje nawet własne wspomnienie z górskiej wycieczki, jako dowód trafności tonu Pankowskiego. Warto je zacytować, gdyż zawiera ono już nieporozumienie między Herdeggenem i Pankowskim, które nazwałbym nieporozumieniem między harcerzem i poetą:

„Z grupą znajomych wracałem z Szynszelki do Bielska. Pozostałem w tyle i wspinałem się na drzewo zrywałem ukradkiem włoskie orzechy. Potem zdzieralem zieloną powłokę, bardzo gorzką i silnie barwiącą palce na brązowo. Orzechy były soczyste i smaczne. W pewnej chwili doznałem, jakby się wyraził Przy-

boś, „błysku-olśnienia”: radość z niewinnej (pięć orzechów) i szczęśliwie przeprowadzonej kradzieży, radość zdobytego pożywienia, radość zdrowej goryczy w ustach i kolorowych palców — służy przecież psychicznemu zdrowiu niezbędnemu w mej pracy, społecznie niezbędnemu”. Harcerskie podkreślenie „nie-winności” kradzieży (pięć orzechów!), żeby z góry uniknąć wymówek drużynowego. Gorycz (zdrowa!) służy oczywiście „psychicznemu zdrowiu”, które pomocne będzie w codziennej pracy. A praca ta z kolei służy społeczeństwu. Przyczyni się do budowy „tysiąca miast betonowych”, którym nie chce się dać zgnieść Pankowski. Interpretacja ta nie jest tendencyjna, gdyż potwierdza ją cała recenzja Herdeggena. Harcerz, a więc „Polak i obywatel”, Herdeggen nie przypuszcza nawet że Pankowski pisze o Karpatach i Sanie po prostu dlatego że tam się urodził. Że książka jego jest protestem przeciw technicznej cywilizacji, która rozwija się nie tylko w Nowej Hucie czy w Związku Sowieckim, ale również w Stanach Zjednoczonych, a nawet w rzekomo staromodnej Zachodniej Europie. Jak większość krajowych pisarzy, Herdeggen tropi wszędzie słonia ze „Sprawy Polskiej”. A więc już w pierwszym zdaniu „Smagłej Swobody” zawarta jest rzekomo „polityczna prawda o Małej Emigracji, która w latach 1939-1945, a nawet później — a więc jeszcze tragiczniej — zerwała ów najlogiczniejszy ze związków jakie niesie życie: związek osobistego, intymnego losu jednostki ze stroną rodzinną”. „Ojczyznę” Pankowskiego w tej książce jest przyroda i poezja. Przyroda polska i polskie słowa — oczywiście. Ale stąd do „politycznej prawdy”... Nie dość na tym. Swobodę Pankowskiego chciałby koniecznie Herdeggen skonfrontować z własnymi kryteriami, a raczej z obowiązującymi dla niego kryteriami. Tutaj wkracza krajowy krytyk w dziedzinę mimowolnego, ale wspaniałego humoru. „Wspomnienia Pankowskiego... tyczą się Polski ogólnikowej. Tak, bez uwarunkowań społecznych. Czy sytuacja polityczna emigracji pozwala na inne ujęcie? Nie, nie pozwala”. Czy nie przyszło Herdeggenowi do głowy że to właśnie w Kraju sytuacji politycznej „nie pozwala” na pewne ujęcie? Że trudno jest tam pisać „swobodnie”? Ale Herdeggen dał się już unieść swemu entuzjazmowi dla „nowego wspaniałego świata”:

„Autorze, nie masz kontaktu z narodem. Dzieło Twoje mówi o Polsce przemierzanej przez cygańskie tabory. Dziś Cyganie pracują w Nowej Hucie... Autorze, gimnazjalistki nie jadają już namiętnie „opiumicznego prawie przysmaku” słonecznika. Takiego zjawiska (choć pamiętam je sprzed roku 1939) już u nas nie ma... Autorze, do jakiej Polski tęsknisz na bruku pańskim?”

Mniejsza o ten słonecznik (choć poważna pedanteria Herdeggena jest tu kapitalna). Pankowski pisał że słonecznik jest „przysmakiem gimnazjalistek czytających Prousta”. Widać że

śłonecznik został oceniony jako „niekulturalny”, a Prousta też chyba gimnazjalistki w „nowej Polsce” nie czytają. Ale Cyganie... Cyganie są dla Pankowskiego ważnym symbolem, może właśnie prawdziwą, poetycką „ojczyzną”. To oni są „Smagłą Swobodą”. Pankowski wzruszająco pisze o zbrodniach hitlerowskich: „Tych co nie upadli, a stali prosto, siłą obalano i palono ich ciała w piecach ogromnych”. Ale poeta wierzył, że te straszne lata minęły: „Ci co uszli łało, powrócili na drogi, po których od stuleci toczą się ich wozy, abyśmy mogli wierzyć, że nie umarła ona smagła swoboda”. Niestety, to właśnie Herdeggen poucza Pankowskiego, że w Polsce smagła swoboda umarła.

Polemika Herdeggena z Pankowskim jasno wykazuje jak głęboko „aktualna” jest „Smagła Swoboda”, właśnie dlatego, że problemy poruszone w niej są wieczne, że wychodzą poza ramy takiego czy innego „światopoglądu”.

K.A. JELEŃSKI

Listy ambasadora Kota

Książka prof. Stanisława Kota „Listy z Rosji do gen. Sikorskiego” (*) jest pierwszą chyba, która opowiada epopeję Polaków w Rosji (1941-1942) na podstawie nie wspomnień czy tekstów napisanych post factum, w obronie takiej czy innej tezy i z dystansem czasu, ale dokumentów chwili: paruset listów, depeš i raportów ambasadora Rzeczypospolitej, najbliższego współpracownika, przyjaciela ówczesnego Premiera i Wodza Naczelnego.

Kto by tylko zechciał w przyszłości badać ten okres stosunków polsko-sowieckich nie będzie mógł zabrać się do tego bez przestudiowania dwóch książek podstawowych: „Bez ostatniego rozdziału” gen. Andersa i „Listów” amb. Kota. Właśnie dlatego, że obie książki mają wnioski i oceny w wielu wypadkach diametralnie przeciwne, że z jednej i drugiej strony polemika jest niezwykle ostra (Kot dołącza do dokumentów szereg naświetleń i komentarzy), właśnie dlatego książki te są cenne jako dwugłos. Jest niezliczona ilość wątków, problemów, których dotyczy książka Kota, ale wczytując się w teksty — trzy z nich wybiły mi się na plan pierwszy; wybiegają one daleko

(*) Redakcja nie otrzymała egzemplarza recenzyjnego.

poza ograniczoną w czasie aktualność sporu między ambasadorem a dowódcą Armii Polskiej w Z.S.S.R.

Pierwszy to niesłychane „liberum conspiro”. Prędko zaczynają się rozdzwinki: wojsko sobie, ambasada sobie i, sądząc z listów Kota, wbrew uporczywym wysiłkom ambasadora. Każdy decyduje po swojemu, ileż osób dołki sobie kopie wzajemnie, jakże lojalność wzajemna jest względna. Czy ta anarchia jest cechą polską wzmożoną przez 150 lat niewoli i jeszcze ułatwioną trudnościami normalnej w tamtych warunkach komunikacji i współpracy?

Nie chcę być gołosłowny. Stalin wyraża się obelżywie o Kocie w obecności Andersa. Ten ostatni nie reaguje (nie wyobrażam sobie by gen. Mac Farlane zniósł analogiczne powiedzonko Stalina o amb. Crippsie, uważałby odepchnięcie takiego grubiaństwa za samo przez się zrozumiałe obowiązek). Kot oburza się przeciwko temu, ale sam połyka bez reakcji insynuacje Stalina przeciwko Sosnkowskiemu. Gorzej — w polemice z Piłsudczykami i Piłsudskim daje upust takiemu zaślepieniu (jakże to nazwać inaczej), że cytuje na pomoc sobie najpodlejszy z podłych cytat Churchill (**), który — po Jalcie, jakby celem oczyszczenia się po wielu biesiadach braterskich ze Stalinem o gołębiej duszy — pozwala sobie w swych pamiętnikach na słowa, które sam w następnych wydaniach wykreślił. Churchilla można wytłumaczyć taktyką, nieczystym sumieniem, cynizmem politycznym, ale ten cytat użyty jako argument w ustach nie tylko polskiego ministra i ambasadora, ale historyka i profesora — jest gorszący.

Drugie: że wbrew temu narastającemu niezgraniu wojska i „cywilnej ambasady” wielkie dzieło zostało stworzone, że grała pomimo „liberum conspiro” zadziwiająca solidarność ludzi, którzy się nieraz spotykali po raz pierwszy i ostatni w życiu — solidarni, bo byli Polakami (i tu z naciskiem bym dodał, obywatelami polskimi, bo tę solidarność sam odczułem niezliczone razy z polskimi Żydami, i rzadziej, bo mniej ich spotykałem, ale także z Ukraińcami i Białorusinami). Wielkie dzieło ratowania setek tysięcy obywateli polskich poprzez ekspozytury opieki społecznej rzucone w ten świat obcy i wrogi, przy jednoczesnym odrodzeniu wojska w warunkach nieprawdopodobnych.

Trzeci i najważniejszy wątek tej książki to polemika z tezą Andersa, że trzeba było per fas et nefas wyprowadzić z Rosji co tylko się da, bo armia w Rosji nie czerwona, bez czołgów, bez lotnictwa, bez samodzielności, której tak czy inaczej pod takim czy innym pozorem Rosjanie nie dadzą, musi być i będzie wyniszczona przed dojściem do granic Polski. Anders nie wierzył w dalszą współpracę z Sowietami i zdecydował się na wyprowadzenie ile się da wojska i ludności cywilnej, wbrew dyspo-

(**) „Wspaniały w buncie (naród polski) i nieszczęściu, haniebnym i bezwstydnym triumfie. Najdzielniejszy spośród dzielnych, prowadzony przez najpodlejszych wśród podłych”.

zycjom które otrzymywał od Sikorskiego poprzez ambasadę w Kujbyszewie, zdecydował się na prowadzenie pertraktacji, możliwie jak najmniej o nich informując ambasadę i stawiając ją przed faktem dokonanym. „Liberum conspiro”? Był w Austrii order nadawany bohaterom, którzy wbrew rozkazom osiągnęli zwycięstwo. Niech by jednak ponieśli porażkę, nie medal a rozstrzał czekał winowajcę.

Anders przeprowadzwszy wyjście wojska wziął to ryzyko na siebie, działał przy tym na fali pragnień wcale nie kliki wyższych oficerów, jak to komentuje Kot, ale na fali namiętnych pragnień opuszczenia Rosji *dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych* masy żołnierskiej, która o wyrwaniu się z Rosji śniła po nocach. Któż z nas nie pamięta tych dzieci rzucanych samopas przez matki z Północy do Jangi-Julu, na to, aby choć one mogły Rosję opuścić. Anders przeprowadzwszy ewakuację zdobył sobie tak ogromny kapitał wdzięczności nas wszystkich, których zdołał naokoło siebie skupić i wyprowadzić, że dzieło Sikorskiego — uwolnienie z obozów — odeszło jakby w cień. Otóż Kot widzi w tej całej operacji nie zwycięstwo śmiałej zręczności Andersa, ale świetnie przeprowadzoną rozgrywkę przez samego Stalina, który poprzez Andersa, nie szczędząc mu uprzejmości i „lask” ugodził w interes polski, reprezentowany przez ambasadora, zniszczył wszelkie szanse sowiecko-polskiej ugody.

Argumenty Kota, teksty depesz zestawione przez człowieka, który wie co to jest dokumentacja i jak trzeba grupować przy czynki, wcale nie są błahe i nie wystarczy obelga czy kpina, aby je odeprzeć. Jesteśmy jeszcze dalecy od bezstronnych wniosków bezstronnego historyka.

Probuje wnikać w argumentację Kota, że trzeba było wojsko w Rosji zostawić. Teza ta wygląda w książce atrakcyjnie i politycznie i intelektualnie, bo Kot wierzy, że gdybyśmy zostali moglibyśmy odegrać inną rolę przy wejściu do Polski i stworzyć z Rosją Sowiecką rzeczywistą współpracę. Przy najlepszej woli argumentacja Kota nie wydaje mi się realna. W tej samej książce autor notuje niestychaną nielojalność Rosjan od pierwszej chwili, chociażby to wydzielenie mniejszości narodowych z wojska, właśnie w chwili gdy przyjazd Sikorskiego do Rosji został ustalony, aresztowanie Ehrlicha i Altera, w chwili po wyjeździe Naczelnego Wodza i wspaniałych przyjęciach na jego cześć (jakże to wszystko jest rozegrane!). Wymordowanie oficerów polskich w przeróżnych Katyniach, o których amb. Kot pisząc polemiczne rozdziały swej książki, już dobrze wiedział, narastająca dysproporcja wagi Rosji i Polski u aliantów, wzrost sił rosyjskich z miesiąca na miesiąc — czyż można sobie wyobrazić, że gdyby nawet Sikorski nie zginął, gdyby Anders jak najściślej wypełniał jego dyspozycje, czyż można pomyśleć, że rozwiązanie poszłoby nie po linii życzeń Stalina, już wtedy umurowanych, a *instynktem* przez Andersa odczuty, i to jeszcze przy obojętności aliantów, którą sam Kot w szeregu tekstów podkreśla.

Nie wielu chyba na emigracji ludzi atakowano tak gwałtownie jak Kota: jego pasja personalii przy kapitalnej pamięci („on w 1936 roku napisał artykuł przeciw Witosowi”) i nieraz zawodzącym *instynkcie* do ludzi, jego obsesja „mafii pilsudczyków”, która tę mafię prawie, że *stwarzała*, a w każdym razie popychała ku niej ludzi najwięcej gotowych do lojalności Sikorskiemu, przy tym jego konsekwentna i słuszna polityka mniejszościowa, przez wojsko najopaczniej krytykowana i nawet sabotowana — wszystko to razem zastaniało ludziom i zastłania, że ten człowiek, w Rosji, w warunkach niezmiernie trudnych włożył wszystkie swe siły i całą inteligencję w nieustanne zabiegi o uwieczonych, bez różnicy ich politycznych orientacji, w walkę o paragrafy układów, o wszystko co tyczyło życia Polaków w Rosji. Kot nieustannie *narządza* tym swoje stosunki z władzami sowieckimi. Wystarczy porównać jego rolę z rolą Fierlingera. Kilka smacznych szczegółów podaje autor książki „Listy z Rosji”. „Wyzwierzanie się” na rolę Kota w Rosji zdawało mi się zawsze oburzającą niesprawiedliwość.

Gdy się jednak Kot zali w książce, że mu wojsko sabotowało wszelkie prośby i żądania, nie przysysłając mu sił pomocniczych, trzeba na tę sprawę patrzeć na tle tamtejszej rzeczywistości. W ogromnej ilości wypadków nie było to skierowane wyłącznie przeciw ambasadzie. Któż z nas i w wojsku na to się nie skarżył. Kiedy jako szef Oddziału Propagandy dobiejałem się o ludzi z prawdziwego zdarzenia, o oświatowców, walczyłem o profesorów, którzy spełniali funkcje telefonistów czy gońców w przeróżnych oddziałach, miałem dosłownie te same trudności. A byłem na miejscu i miałem dostęp do dowódcy Armii. I było to zrozumiałe: brak ludzi choć trochę fachowych, czy chociaż umiejących szybko nauczyć się jakiejś funkcji, był w każdym oddziale gwałtowny i każdy dowódca używał wszelkich kruczków, aby nie wypuszczać ludzi użytecznych. A tu jeszcze chcieli ich zabierać do ambasady na cywilne zajęcia. Zgroza! Kiedy jako prosty żołnierz w 1919 roku zostałem przyjęty do pociągu pancernego „Smiały”, prosiłem pewnego kaprała, by mi przypomniał chwyt karabinem. Bardzo się bałem, że się zbłążnię przy pierwszych ćwiczeniach. „Nie potrzebujecie się niczego bać”, odpowiedział mi kaprał, „jak już macie mundur, jeździecie ważniejsi od wszystkich cywilów”. Parę dni potem ten sam kaprał zwiózł z wojska razem z moją kołdrą. Zdaje się, że ta mentalność „lepszości” najgorszego żołnierza nad najlepszym cywilem panowała w wojsku polskim prawie niepodzielnie. I rozdziwki na tle personalii, trudności powstające na tym tle między dowódcą Armii i ambasadorem miały nieraz takie tło, które samemu Andersowi utrudniały robotę.

Już wspominałem, że Kot zdawał mi się mieć nieraz brak wyczucia ludzi w przeciwieństwie do Andersa. „Listy z Rosji” potwierdzają mi to przekonanie. Kot zobaczył najpóźniej narastające tarcia między Sikorskim a Andersem; po drugie lekceważył sprawę „klimkowszczyzny”.

Klimkowski i „klimkowszczyzna”. Kot rzuca na nią trochę światła. Jeszcze wiele epizodów dziwacznej kariery Klimkowskiego nie zostało ujawnionych. Czy był prowokatorem ten oficer, do którego Stalin przepijał na Kremlu, oficer do zleceń dowódcy Armii Polskiej w Z.S.S.R., z którym dzięki temu wszyscy wojskowi z tej Armii musieli się liczyć? Klimkowski krystalizował w sobie nurty licznych i często tak sprzecznych między sobą krytyk rządu i niezadowolonych. Na tym tle próbował stworzyć konspirację i prowadzić swoją akcję podwójnym torem: jedna szła po linii politycznej, to anty to pro-sowieckiej, sypał projektami, które z największym trudem trzeba było rozbić, jeden z takich nawet mnie udało się rozłożyć. Akcja ta po wyjściu z Rosji nabrała cech akcji anty-Sikorski, chociaż i tu były momenty wręcz przeciwne, gdzie gotów był „oddać się” Sikorskiemu. Ten człowiek o inteligencji mniej niż miernej, bez jednej myśli oryginalnej, bez zdolności uważnej obserwacji faktów, powtarzający za drugimi sprzeczne i coraz to inne, zależnie od rozmówcy, ale zawsze agresywne teorie, miał jedną zaletę: wściekłą dynamikę, dzięki której właśnie był kanałem przez który masę spraw można było załatwić. To było drugim torem jego gorączkowej działalności, to nieustanne — jako oficera do zleceń — dociskanie w oddziałach, by wykonano takie czy inne rozkazy, już przez gen. Andersa podpisane. Załatwiał, gdy się go o to prosiło, te sprawy z jakimś nawet serdecznym uporem i zapałem i tym sobie zyskiwał ludzi. Ja osobiście nieraz z tych usług Klimkowskiego korzystałem. Jego dynamika związana z naiwnym poczuciem, że on będzie zbawcą Polski, była podparta brakiem elementarnych skrupułów. „Salus Reipublicae...”

„Na rany Chrystusa przysięgam ci, że nigdy nie byłem prowokatorem” przesał mi taką kartkę już z więzienia w Palestynie. Nie wierzę, by Klimkowski był świadomym prowokatorem, a jednak myślę, że agenci sowieccy musieli nieraz go rozgrywać okrutnie i używać wtedy właśnie, kiedy był przekonany, że on ich rozegrał. Klimkowski był zjawiskiem wcale nie blahym na tle ogólnej atmosfery armii tak dalekiej od frontu, w straszliwych upałach pustyni irackiej, w okresie niecierpliwego oczekiwania na broń, która przedtem nim do nas doszła, potokiem płynęła pod naszym nosem przez Persję do Rosji. Przypominam sobie jedyny epizod, który mam ochotę opowiedzieć w tonie trochę humorystycznym: wyjazd do Kota z Klimkowskim, do Jerozolimy, samolotem Andersa, na konferencję w momencie kiedy „klimkowszczyzna” wydawała mi się nabierać niebezpiecznej siły. Klimkowski wysypał przed Kotem wszystkie pretensje, jakie kiedykolwiek od kogokolwiek słyszał o rządzie i Naczelnym Wodzu. Były tam ciekawe i poważne krytyki, zasłyszane od Adolfa Bocheńskiego, a jednocześnie jakieś demagogiczne bzdury, które wszystkie Kot umieścił w swej książce, w formie nieskończonej inteligentniejszej. Jakże pamiętam ten salonik w „Davidzie”. Na polerowanym stole czekoladki w kolorowych papierkach, po które Kot coraz to sięgał spo-

kojnie, spokojnie z papierków rozwijał, nas częstował i sam je zjadał, wtedy gdy Klimkowski z białymi oczami i wyrazem młodego wilka, mówił i mówił w transie a ja, gdy wpadał w ostateczne naiwności, miałem ochotę coraz to schować się pod stół. Kot wszystko zapisywał, uważnie uściślał. Nagle zobaczyłem, że mam przed sobą sympatycznego profesora, który wiele lat prowadził seminaria i słuchać musiał z uwagą nie jednych głupstw mówionych przez swoich studentów.

Pro domo mea. Nie chciałbym obciążać tego artykułu polemiką osobistą. Dwa poważne zarzuty postawił mi Kot w tej książce: budziłem szkodliwą legendę Piłsudskiego, bo jako szef Propagandy, zaraz po назначeniu, zorganizowałem mszę polową w rocznicę śmierci Marszałka i napisałem artykuł o wersjach projektowanej przezeń wojny przewencyjnej, w którym mówiłem, że był on krwią, mlekiem i żółcią naszego pokolenia, że był postacią tragiczną. Kot wówczas, jak i teraz, nie rozumiał, że ta legenda istniała i niejednemu w Rosji pomogła przetrwać, że to co zrobiłem wówczas było to minimum, które uważałem za swój obowiązek, że osobiście Piłsudskiego kochałem. Drugi zarzut Kota już dotyczący „Nieludzkiej Ziemi” może słuszny, że byłem niesprawiedliwy wobec Sikorskiego, niedostatecznie podkreślałem jego zasługi, nie spłaciłem wobec niego mego długu wdzięczności, przecie jemu zawdzięczam z tysiącami innych wyjście z obozu. Dominowała u mnie ocena krytyczna wobec człowieka, dla którego Kot żywił uczucie najwierniejszej i bezinteresownej miłości. W takich sprawach — to nie frazes — zdaje mi się, że ma przeważnie rację ten, który potrafił człowieka zobaczyć od strony najlepszej, uczcić, a nie ten, który krytykuje nie widząc wartości danego człowieka. Jeszcze w 1922 roku, w Krakowie, na Plantach, prof. Kot namawiał mnie, bym pracował politycznie pod Sikorskim. („W Legionach Mickiewicza byli też malarze”); mówił mi o przyszłym Naczelnym Wodzu wówczas z tym samym akcentem z jakim mi później o nim opowiadał w Kujbyszewie i z jakim teraz o nim pisze.

Co w „Listach z Rosji” wzrusza, pomimo że to suche raporty, albo zajadłe polemiki, to nie tylko przypomnienie tamtych lat i tamtych przeżyć, ale ten aspekt wierności i nieustannej myśli, by dzieło Sikorskiego, *nie swoje*, wywyżżyć i obrobić.

J. CZAPSKI

W Polsce 1950 roku

Powieść nie jest godnym szacunku rodzajem literackim. Pokazuje ona sytuacje zmyślone i każe nam wierzyć, że są rzeczywiste. Jeżeli nie uwierzmy, nie zdoła nas przejąć. W poezji, w malarstwie, a w jeszcze więk-

szym stopniu w muzyce, forma jest niejako na wierzchu, w powieści gra się znacznymi kartami, udając że nie są znaczne. Autor ze wszystkich dni w roku wybiera najbardziej pochmurne i musimy zgodzić się, że taka właśnie była sceneria wydarzeń. Zaopatruje swego bohatera w garb czy daje mu dwa metry wzrostu i przelamy to gładko. Ale przelamy tylko jeżeli przez trafność swoich obserwacji szczegółu zdoła zamaskować zmyślenia i przekonać nas, że pozostaje prawdziwie wierny. Dlatego, być może, nie ma powieści nie-realistycznej. Jednak w Europie powstała w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat powieść idej i tu rzecz się komplikuje. Bo w powieści idej ważne są starcia postaw ludzkich, intensywność tych starć pomiędzy komunistą i faszystą, czy katolikiem i stoikiem jest tak duża, że gęsta masa szczegółów przez które przebijali się pisarze dziewiętnastego wieku zaczyna autora niecierpliwic. Rzeczywistość z jej zbyt misterną plataniną mu ciąży, wycina z niej fragmenty służące mu za symbole. Szereg autorów, uświadomiwszy to sobie, zwróciło się do alegorii, umieszczając akcję swoich książek w krajach wymaginowanych albo otwarcie u-fantastyzmionych. Swoboda wtedy jest większa, nikt ich nie złapie za rękę. Inni radzą sobie jak mogą, dla swojego teatru idej dobierając dekoracje pozabierane z natury: jakieś drzewo, jakiś kraj, jakaś twarz (socrealizm występuje tu jako jedna z odmian gatunku).

Zasadnicza akcja powieści Georges Govy (*), dokoła której robi się w Paryżu dużo hałasu odbywa się w Polsce gdzieś w roku 1950. Tzw. w nowoczesnej technice powieściowej „time machine” zapoznaje nas z przegodami bohatera w Egipcie, w Indiach, w Anglii, w wojnie domowej hiszpańskiej. Richard Stanley, z ojca Anglik, z matki Rosjanin, czuje się Rosjaninem. Jest wszędzie obcy, ziemia dzieciństwa wszędzie, gdzie się znajdzie, wabi go wspomnieniem. Tęskni do wspólnoty z ludźmi w walce i nadziei. Stąd jego udział w ruchach rewolucyjnych i wyzwoleniczych, solidarność z ludami uciemiężonymi przez kapitalizm. Po wielu daremnych próbach odnalezienia ludzkiego braterstwa, kupuje fałszywy paszport sowiecki z fałszywą wizą, żeby wrócić do ojczyzny. Przybywa do Zamościa akurat w chwili kiedy tamtejsze UB. poluje na trzech agentów Andersa, zrzuconych z brytyjskiego samolotu. Komplikacje. Wreszcie dociera do Bugu i rozstajemy się z nim kiedy płynie przez rzekę, pod uważnym spojrzeniem czekających na niego strażników.

Powieść Govy nie mogłaby się zapewne ukazać w Polsce. Nie z powodu swojej tendencji, bo nie jest bynajmniej komunizmowi wroga. Dlatego tylko, że czytelnik tamtejszy, choć przyzwyczaił się do całkowicie symbolicznego ujęcia rzeczywistości, przyzwyczaił się też, że praktykuje się to w pewnym określonym stylu. Inny styl ukazałby umowność dekoracji (które wystarczają w Paryżu, jako że można by nazwę Polska zastąpić nazwą Rurytania). Wybaczylby zapewne lapsusy: Lwów — jako miasto w którym można zapisać się do P.Z.P.R., a więc nie poza granicami, portret Mickiewicza sztywno trzymającego swoją szablę (pewnie miał to być Kościuszko), żołnierzy U.B. śpiewających „Bo dla naszej brygady szturmowej...” (ale, ostatecznie, czemu by nie mieli i tego śpiewać?). To nie brak wia-

(*) Georges Govy, *Le moissonneur d'épines*, La Table Ronde, Paris 1955.

domości zaszkodziłby autorowi — raczej ich spory zasób — i wiadomości oderwanych od podglebia, pozbawionych odcieni, które decydują o jakim takim zaufaniu.

W ubiegłym roku ukazała się w „Le Monde” seria reportaży z Polski charakterystycznych dla opinii jakie powtarza wielu dziennikarzy zagranicznych: kraj zafany, zamieszkały przez miliony zabobonnych, fanatycznie religijnych chłopów. Komuniści wygnali panów i dali chłopom ziemię, a ponieważ nikogo prócz panów i bezrolnych chłopów nie było, powstało „społeczeństwo bezklasowe” (obowiązkiem dziennikarza jest, jak widać, nie czytać i nie umieć nic). Zadaniem Partii jest wychować chłopów wprowadzając żelazną dyscyplinę i uprzemysłowić kraj. Z reportaży wynikał morał a z morału wylazła ledwo połukrowana mentalność burżuazyjnego kolonialisty: system byłby bardzo zły dla Francji (bo ugodziłby w dziennikarza), ale jest doskonały dla prymitywnych ludów.

Lekkomyślność podobnych schematów wspiera się na pewno na propagandzie warszawskich kół intelektualnych przejętych swoją rolą wychowawców, przy czym w ich świadomości tkwi obraz mas jako przedmiotu, jako biernej materii którą się kształtuje.

W ogólnym zarysie taka też jest Polska u Govy. O duszę milionów walczą ze sobą komuniści i reakcjoniści, którzy mordują się wzajemnie w powiecie odznaczającym się tym że jest tam „klasatorów dziewięć i gdzie-niegdzie domki”. Dla dramatu idej potrzebne jest zderzenie postaw skrajnych — i samoświadomość większa niż to zdarza się w życiu. Stąd rodzaj opery, gdzie miejsce arii zajmują wypowiedziane racje filozoficzne.

Reakcjonistów reprezentują trzej spadochroniarze: ksiądz, ojciec Tadeusz, z wielkim srebrnym krzyżem dyndającym na brzuchu, kapitan Kolanowski i młodzieńca Zofia Wielowiejska. Są oni całkowicie świadomi, że sprawa której służą jest przegrana, nienawidzą robotników, ponieważ ci, jak twierdzą, stoją murem za komunistami i nawet z ust andersowców padają takie słowa jak „ruch dziejów”. Ich rozumowanie można by było ułożyć w następującą serię sylogizmów:

— Czy dźwignięcie Polski przez uprzemysłowienie jest rzeczą dobrą? Tak.

— Czy ten, kto przeszkadza uprzemysłowieniu postępuje źle? Złe.

— Ale uprzemysłowienie zwiększa potencjał Polski? Tak.

— Wobec tego należy działać przeciwko? Tak.

— A kto tak działa postępuje źle? Złe.

Reakcjoniści więc mają nieczyste sumienie i ich niewątpliwe bohaterstwo wspiera się na imperatywie kategorycznym, na „z Bogiem czy choćby mimo Boga”. Raczej „mimo Boga” bo ojciec Tadeusz w ostatniej chwili decyduje się nie strzelać do żołnierzy U.B. (skłania go do tego jego chłopskie pochodzenie). Natomiast kapitan Kolanowski, który skończył samobójstwem, odrzuca religię, bo „Bóg jest Bogiem prawdy” a więc nie dla niego, występującego przeciwko prawom historii (Paryż po drugiej wojnie światowej przeżywa renesans Hegla).

Drugą stronę reprezentują funkcjonariusze U.B.: pełen dobrej woli Apolinary Mierzejewski, zmagający się z przeżytkami przeszłości w sobie i śledzony przez swego subalterna, wyżej nad nim stojącą jasną, niezłomną Anną Perkowską (model-komunistki rosyjskiej 1925 roku) choć co prawda, od tej jasności skóra cierpi — i paru innych.

Dwadzieścia pięć milionów zwykłych mieszkańców kraju pojawia się tylko w osobie drwala Jerzego, który za pieniądze, najpierw za okupacji niemieckiej, przechowywał Żydów, potem Niemców, następnie zgadza się przechować londyńskich spadkobierców. Tak więc widać dostatecznie wyraźnie że Govy ze swego pobytu w Polsce wyniósł perspektywę właściwą wszystkim intelektualistom, mającym w istocie odrazę do ciemnej masy którą należy zbawić wbrew niej samej, traktując ją w najlepszym wypadku jak gromadę dzieci.

Jak jednak ma się odnieść do tej książki czytelnik, który nie żywi żadnej sympatii ani do agentów zrzuconych na spadochronach, ani do narzędzi śp. Berii? Jakkolwiek recenzent nie myśli wcale z czułością o zaniedbanych od stuleci wsiach i miasteczkach Polski, które są miarą jej nędzy, nie może oprzeć się przypuszczeniu że *jakąś* prawda w milionach mieszkańców tego kraju przebywa i że w tragedii występuje nie tylko kapitan Kolankowski i U.B., ale również niemy chór. Kapitan Kolankowski jest tam bardzo potrzebny; jeżeli go nie ma, trzeba go codzień na nowo stwarzać, żeby uniknąć monologu, albo, co gorsza, wystąpienia chóru.

Bohater powieści, Richard Stanley, zostawiwszy za sobą polską walkę bratobójczą, ogarnia miłosnym spojrzeniem rozciągającą się po drugiej stronie Bugu ziemię rosyjską. Prawdopodobnie nigdy nie udzielił uwagi istnieniu Ukraińskiej S.S.R. Wolno też przypuszczać, że jego niezdolność do odnalezienia ludzkiego braterstwa pochodziła z szukania człowieka takiego jaki powinien być, z pominięciem „drobiazgów”. Te drobiazgi, lekceważone przez wszystkich którym wystarczy „ogólny zarys” Egiptu, Indii, Anglii czy Polski, jednak się liczą. I chorobą zarówno Richarda Stanleya jak autora jest abstrakcja.

Powstają pytania. Może żaden pisarz nie jest zdolny odtworzyć ludzi i wydarzeń inaczej niż wspierając się na doznaniach nawarstwiających się powoli, w ciągu całego życia? To znaczyłoby, że nikt nie powinien oddalać się, w tym co pisze, od barwy, gęstości, nieuchwytniej aury miejsc gdzie upłynęło jego dzieciństwo i młodość. Ale może również powieść idej jest objawem procesu obejmującego całą planetę, procesu wyrwania ludzi z tradycji, która służyła za punkt odniesienia, tak że abstrakcja jest już dla nich jedynym schronieniem? Tomasz Mann mógł zrealizować swoje dzieło, bo pochodził z niemieckiego patrycjatu i wchłoniął w siebie każdy odcień staroświeckich mebli, każde odbicie świec w lustrach, każdą odmianę obowiązującego w tym środowisku rytuału. Może powieść idej — czy jej odpowiednik na wschodzie, powieść socrealistyczna — dowodzi większej wspólności pomiędzy obecnymi krajami kapitalizmu i komunizmu niż się to wydaje? Wspólności ukrytej, którą definiować jest za wcześnie. Może mówi coś o niej literatura czerpiąca swój materiał wyłącznie z „wyjazdów w teren”?

Govy, pochodzenia rosyjskiego, jest poza tym autorem „Sang russe” i „Les jours maigres”. Jego nowa powieść jest bardzo paryska: problem „zbawienia historycznego” i okrucieństwo opisów. Twarz ludzka, jaka wyłania się z tej literatury, jest pełna melancholijnej słodczy (miłość do człowieka) i wykrzywiona zarazem w grymasie „ricanement”. I nigdy nie wiemy czy ten grymas wynika z miłości do człowieka, czy też człowiek przez wielkie C jest tylko pretekstem do „ricanement”. Powieść idej nie musi być chyba z zasady potępioną. Jednak monumentalnych schematów długo nie wytrzyma.

Govy otrzymał za swoją powieść Prix Renaudot. Trzy nagrody przyznawane późną jesienią: Goncourt, Renaudot i Femina mają dla autorów ten skutek, że zapewniają im do 100.000 egzemplarzy nakładu. Dla mnie osobiście jest to rekomendacja, żeby nagrodzonych książek nie czytać, bo doświadczenie ostatnich lat wykazuje zdumiewającą prawidłowość w odznaczaniu powieści słabych. Govy jednak przeczytałem, zanim ukazała się jego fotografia w gazetach.

Czesław MIŁOŚZ

Pierwsza książka Kowalewskiego

Autor bez książki jest jak szlachcic bez urzędu, z zadowoleniem więc trzeba odnotować, że Janusz Kowalewski, dobrze znany, znalazł wreszcie wydawcę zbioru swych opowiadań i obrazków (*).

Na ten debiut książkowy składa się 19 utworów: „Maharadża”, „Bodajesz ludzkie brudy sprzątał”, „Teatr pana Palucha Potrzebińskiego”, „A gdzie jest Maciuś Szary?”, „Trzy siostry”, „Tragarz John”, „Katarzyna”, „Pies i człowiek”, „Śmierć tragarza Johna”, „Twardy chleb”, „Wiktor”, „Za Żelazną Bramą”, „Wojna żydowska braci Gruszkowskich”, „Kłapka”, „O żołnierzu ciulaczu”, „Wojna z szefem”, „Zupak”, „Szóste przykazanie: nie cudzołóż”, „Małe dramaty i wielki wstrząs”.

Przypisałem tę listę tytułów nie tylko ze względów sprawozdawczych. Ich felietonowa pomysłowość i rozmaitość daje przedsmak dobrych i złych cech stylu Kowalewskiego: zarówno jego werwy i prostoty, jak i niegardzenia posłedniejszymi wygibasami lekkiego pióra — parodyjkami, aliteracjami („Pan Paluch Potrzebiński”), kalamburem... Te fijołeczki mogą być miłe, jeśli wyrastają w cieniu, z rzadka, cichcem, jakby wbrew woli autora, który robi zdziwioną minę, że mu wyskoczyło coś, czego nie posiadał... Ale wysadzenie takiego np. „żołnierza ciulacza” na kartę tytułową, w sąsiedztwie dość pretensjonalnego motta i bardzo pretensjonalnej dedykacji — świadczy o pomieszanu rzemiosła dziennikarskiego ze sztuką pisarską. Nie pracuje się bezkarnie w „czerwoniakach” czy „Głosach Ameryki”.

Powyższe wyliczenie tytułów nie jest kopią spisu rzeczy. Porządek jest inny. Autor dzieli opowiadania na „wojskowe”, „emigracyjne” i „warszawskie”, czyli na „młodość górą”, „wiek kłęski” i „kraj lat dziecińczy”. Przemieszałem ten szyk wprowadzając układ hierarchiczny: od tych utworów, które lubię i szanuję, do tych, o które dbam mniej. Nie będę się o to sprzeczał, czy numer dziesiąty w moim spisie powinien być jedynastym i na odwrót, ale ułożenie w pierwszej dziesiątce wszystkich

(*) Janusz Kowalewski, *O żołnierzu ciulaczu*, Biblioteka Autorów Polskich, Księgarnia Polska „Orbis”, Londyn 1955, str. 234.

opowiadań „emigracyjnych” a na szarym końcu większości „wojskowych” — wyraża sąd, przy którym będę się upierał.

Opowiadania wojskowe są mile i miejscami zabawne, ale poza „Maciusiem”, gdzie (tak jak w „Maharadży”) rubaszna humoreska szlachetnie w bajkę — są krokiem wstecz w porównaniu z podobnymi, ale i barwniejszymi, i głębszymi migawkami Ksawerego Pruszyńskiego. Irytują też swą makuszyńszczyzną. Kochane bydlaki, złote serca i niewyparzone gęby — to i ograne, i fałszywe. Wańkowicz przyuważył, że gęby żołnierskie stać na patos godny kapelana czy oficera oświatowego, a co do złotych serc... Kowalewski wie o tym dużo więcej niż mówi, bo nie chce psuć sympatycznego obrazka.

Natomiast w opowiadaniach emigracyjnych natrafił na złotą żyłę. Tu umie być odkrywczy, bo porusza się w terenie właściwie dziewiczym, na którym dotąd widywało się głównie kłusowników z bronią bardzo leciutkiego kalibru. Największe zagęszczenie członków Związku Pisarzy na Obczyźnie i może też ich czytelników jest w Anglii, a tymczasem współczesność emigrancka weszła na dobre do literatury chyba tylko w egzotycznych opowieściach urugwajskich Straszewicza i argentyńskiego Gombrowicza, jeśli pominąć parę drapieżnych opowiadań monachijskiego Nowakowskiego.

Twardy chleb szarego bytowania emigranckiego na zamglonej Wyspie służy Kowalewskiemu-humoryście i ostrości spojrzenia nie przesłaniają mu tu mgielki własnego wyrobu: mgielka legendy wojennej i tęsknoty do przedwojennej Warszawy. W tych emigracyjnych opowiadaniach najwięcej jest bystrzych spostrzeżeń w rodzaju np. pysznej uwagi na str. 132 o ślamazarności farsowego stróża, którego rolę zły los kazał grać autorowi, i najwięcej dowcipów nie robionych, ale przyłapanych, zauważonych czy podsłuchanych, jak to świetne pytanie: „Czy mogę przyjść do ciebie umyć włosy?”, gdzie w siedmiu słowach mieści się co najmniej tyle cech sytuacji i mówiącej osoby.

Nie twierdzę, że właśnie tego powiedzenia i wielu innych na tym poziomie Kowalewski nie „wymyślił”, lecz wziął je żywcem. To są tajemnice warsztatu, nieraz zakryte przed samym autorem. Idzie mi o to, że tu nie czuje się roboty zawodowego humorysty, gdzie indziej zaś często widać jej szwy, co bardzo psuje przyjemność lektury i obniża wartość książki. Gdy wena słabnie, Kowalewski pełną ręką czerpie z rupieciami schematów popularnego humoru: o sztucznych słownych już wspominałem, dodam do tego tanią, bo od razu widoczną, ironię w stylu: „reakcyjna Anglia, dławiona kleszczami dyktatury Attlee i Bevin”, dowcipy związane z funkcjami rozrodczymi i końcowym stadium czynności trawiennych organizmu ludzkiego, pijaków, Żydów mówiących „pszakrew”, wredne „małżonki” i teściowe... Jeden dowcip o teściowej, pomimo że o teściowej, jest zresztą zadziwiająco świeży (str. 77).

Moja „hierarchia” opowiadań Kowalewskiego ułoży się trochę inaczej, gdy naczelnym kryterium stanie się nie świeżość, ale sprawność pisarska. Wtedy na czoło wysuną się opowiadania „warszawskie”, bodajże najpóźniej napisane i w robocie literackiej wykazujące spory postęp w stosunku do najwcześniejszych, jak sądzę, opowiadań wojennych. Dla przykładu: kondensacja wiechowego języka, to majstersztyk polerunku. Takich dowcipnych a prostych zdań jak: „Z pijaków żyjem, nie bądźmyż jem szaka-

łamy”, gdzie w jednej linijce druku zmieściły się aż cztery zabawne, a nie przesadne odchylenia od literackiej polszczyzny — niewiele jest u rozgadanego Wiecha.

Nie umiem natomiast spostrzec postępu w tym, co z braku lepszej nazwy muszę po belfersku nazwać „filozofią autora”. Jest ona ubożuchna, co już doprawdy żenująco wylazi w dość licznych ostatnio wycieczkach Kowalewskiego w dziedzinę publicystyki czy krytyki. Nie bardzo wprowadzić chce mi się wierzyć wyznaniu, że do komunizmu pchnęła go chęć popisu, ale nie wątpię, że i w jego przyjęciu czerwonej wiary, i w późniejszym z nią zerwaniu — intelekt grał rolę znikomą.

Udał dowcipy Kowalewskiego są o wiele mądrzejsze od jego autorских i półautorskich deklaracji. „Życie jest po to, by walczyć z ludzką biedą, protestować przeciw niesprawiedliwości, piętnować kłamstwa...” (str. 234). To dobre do kiepskiego sztambucha. „Błogosławieni ubodzy...” „Jeśli nie będzie obfitować sprawiedliwość wasza więcej niż uczonych w Zakonie faryzeuszów...” (co znaczy: zwykła sprawiedliwość nie wystarczy), „Každy człowiek kłamca” — mówi Pismo. Te zdania nie konieczne przeczą pocziwemu credu Kowalewskiego, ale mówić to, co on mówi, bez pochylenia się nad przepaściami, które się rozwierają pod każdym niemal z tych natchnionych słów — jest karnością grubo poniżej poziomu Billy Grahama.

Miałem kiedyś mocną nadzieję, że Kowalewski da nam dobrą emigracyjną powieść współczesną. Widząc dziś, że rozwój jego wyobraźni i myśli nie podąża za wyostrzaniem się wzroku, słuchu, pamięci i języka — namawiałbym go raczej na to, żeby jako drugą książkę dał nam autobiografię, zwłaszcza że w opowiadaniach emigracyjnych (czego prawie nie było w wojskowych) posiadał już trudną sztukę śmiania się z samego siebie. A jego naiwna i dlatego niezawsze odwzajemniana, ale zawsze rzetelna miłość prawdy uzbraja go do tego zadania lepiej niż wielu innych, choćby ich dotychczasowe curricula vitae były równie ciekawe i znamienne dla naszych czasów, co też nie o każdym piszącym da się powiedzieć.

Michał SAMBOR

Z prasy krajowej

W Kraju pisze się coraz częściej o polskich książkach wydanych na Zachodzie. Ton tych artykułów i recenzji jest zwykle dość żenujący: obowiązuje w nich mieszanina ironii, politowania, współczucia. W „Dziś i Jutro” z 25 listopada ukazał się długi artykuł Zygmunta Lichniaka pt. „Kurtyna w górę, czyli o literaturze zbłąkanej”. Lichniak operuje trzema przykładami, których zestawienie jest chyba dość przypadkowe. Pierwszym z nich jest studium Gniatczyńskiego, Jesieńczyka i Żeromskiej o literaturze krajowej (numery krajowe „Kultury”). Lichniak załatwia się z nim kilkoma banalnymi, ale dosadnymi epitetami („dno upadku myśli krytycznej”, „że-

nująca niewiedza", „kompromitująca niezajomość rudymenarnych praw rozwoju nowej literatury"). Dyskutować z tymi szkami, napisanymi trzy lata temu, Lichniak nie ma ochoty: „Takie 'rozprawy' wykluczają dyskusję o tym co się u nas dzieje". Co prawda wielu pisarzy krajowych wypowiada dziś na temat tego co się w literaturze polskiej „działo" przed trzema laty poglądy bardzo zbliżone do Jasieńczyka, Gniatczyńskiego i Żeromskiej, ale o tym autor artykułu woli może nie myśleć. Drugi przykład Lichniaka dostarcza mu łatwiejszego żeru. Zabawiła go niepomniernie „Antologia Poezji Polskiej na Środkowym Wschodzie" (mizdrząca się literacko „grafomania"). Natrząsa się z Bielatowicz, którego wstęp ma być „smutnym przykładem rozpaczliwej megalomanii". A przecież Bielatowicz pisał skromnie o „gromadzie poetów którzy może kiedyś wejdą na Parnas". Antologia Drugiego Korpusu ukazała się dziesięć lat temu. Tak jak wszystkie wiersze napisane przez żołnierzy, czy partyzantów, czy więźniów obozów koncentracyjnych, wiersze z tej Antologii są przede wszystkim dokumentem. Sam Lichniak przyznaje że jest w niej „kilka dobrych wierszy". Kilka dobrych, kilka słabych, kilka złych — prawdopodobnie tak jak w poezji „Polski Podziemnej". Przyszłego czytelnika zainteresuje może że pisano te wiersze pod Tobrukiem, czy przed Monte Cassino. Co to ma wspólnego z „literaturą emigracji"? Ich autorzy nie wiedzieli jeszcze nawet że są „emigrantami"...

Wreszcie przechodzi Lichniak do Gombrowicza. „Dla przykładu" bierze fragment z „Dziennika" poświęcony „literaturze dwudziestolecia". „Całość czyta się lekko, bo (sic) jest napisana z denerwującym wdziękiem przekornego intelektualisty". Ale... „Dopiero w którymś tam momencie łapię się na tym że mimo wszystko podobnie jak u Bielatowicza". W stosunku krajowych krytyków do pisarzy emigracyjnych jest jakiś zadziwiający provincializm. Wydawałoby się że nie mogą oni wprost uwierzyć w możliwość twórczości swobodnej, szczerej. Gombrowicz skandalizuje zarówno krytykę emigracyjną jak krajową. Ale Lichniakowi nie mieści się w głowie że Gombrowicz wyraża myśli istotne, które są prawdziwym wyrazem jego wewnętrznej postawy. Chciałby żeby Gombrowicz był pocziwy i tchórzliwy. Gombrowicz atakuje przejawy tego co uważa za „fałszywą formę" polskości? To jest dla Lichniaka nie do przyjęcia: przecież każdy Polak musi szanować Sienkiewiczów, Żeromskich i Kasprzowiczów, obojętnie czy szanuje poza tym Bieruta czy Andersa. Oto jak pocziwie interpretuje Lichniak mechanizm psychiczny Gombrowicza: „jest tu próba artystycznego sankcjonowania czy artystycznego wyklamywania pogardy dla uczuć, wartości, umiłowani, ku którym się tęskni, których się prawdopodobnie bardzo pragnie, ale widząc beznadziejność czy trudność tych pragnień, pragnie się ich niepragnienia, ośmiesza się, wywyższa się ponad nie, by chyba gdzieś w środku siebie gorzko płakać i bardzo się wstydzić". Podobnie Herdegen w „Życiu Literackim" oceniał „Smagłą Swobodę" Pankowskiego wyłącznie pod kątem widzenia sentymentalnej tęsknoty za krajem.

Konkluzje Lichniaka są nieoczekiwane, gdyż wydają się przeczyć tonowi całego artykułu: „chodzi o to, aby sprawy te można było omawiać bez łatwych dowcipuszków, bez demagogicznych chwytów, bez piany na ustach"... „Dojrzelismy do spoglądania w ciasne, skomplikowane dróżki literatury emigracyjnej nie tylko po to aby wysmiewać małość, kpić z błędów, ale także ocenić to co względnie uczciwe, jakoś twórcze, jakoś przydatne sprawom ludzkim". I Lichniak kończy swój artykuł wezwaniem, z którym każdy się chyba zgodzi na emigracji: „A więc: kurtyna w górę".

Niestety, z tą kurtyną sprawa jest skomplikowana. W swym artykule o „Smagłej Swobodzie" Pankowskiego, Leszek Herdegen pisał:

„Książka przyszła anonimowo z Paryża do naszej redakcji. Wsunęto ją do trwałej i estetycznej koperty, napisano — „Kraków", nadawca poda-

ny nie został". Dziwne się może wyda czytelnikom „Kultury" że koperty w których otrzymują nasz miesięcznik wzbudzają „podziw". Ale z nadawcą, to inna sprawa. „Kultura" stara się posyłać swoje wydawnictwa do pism krajowych, zawsze pragnąc jak najżywszego kontaktu między Krajem i emigracją. Wysyłki te są oczywiście poważną stratą finansową, i chodź nam żeby przynajmniej mogły dochodzić. Niestety, ilekroć podany jest nadawca, szanse żeby przesyłka doszła są — wykazuje to długie doświadczenie — znacznie mniejsze. A mowy już nie ma o tym żeby ktoś ośmielił się odpisać, podziękować, przesłać wydawnictwa wymienne. Hasło „kurtyna w górę" jest nam bodaj jeszcze bliższe niż Zygmuntowi Lichniakowi.

A. N.

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

VINCENZ (Stanisław). *On the high uplands*. Sagas, songs, tales and legends of the Carpathians. Tłumaczył: H.C. Stevens. Ilustracje Z. Czermańskiego. Str. 344. (Ed. Roy Publishers, New York, 1955, cena dol. 6.).

JABŁONSKI (Zygmunt M.). *Tchórz*. Powieść. Str. 127. (Nakł. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1955).

CONRAD KORZENIOWSKI (Józef). *W oczach Zachodu*. Powieść. Przeł. z ang. Wit Tarnawski. Str. 288. (Nakł. Katolickiego Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, 1955, cena 15 sh. Tom XV Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej").

WĄKOWICZ (Melchior). *Droga do Urzędowa*. Str. 507. (Wyd. Roy Publishers, New York, 1955, druk. we Włoszech. Cena egz. w oprawie dol. 4,50, w broszurze 3,50).

SLIWINSKI (Henryk). *Temporale d'Agosto*. Racconto. Przekład Li-vii Bruner. Str. 158. (Nakł. La Perla, Rzym, cena 550 lirów).

MICKIEWICZ (Adam). *Pan Tadeusz*. Przekład na język włoski Clotilda Garosci. Wstęp Cristina Agosti Garosci. Str. 352. (Nakł. Giulio Einaudi Editore).

RÓŻNE

ŁOPALEWSKI (Tadeusz). *Miedzy Niemnem a Dźwinią*. Ziemia wileńska i nowogródzka. Posłowie Antoniego Bogusławskiego. Z cyklu „Cuda Polski". Str. 256. (Wyd. Wydawnictwo Polskie „Tern" (Rybitwa), Book Co., Ltd., Londyn, 1955, cena 29 sh., w opr. płóci. 34 sh., w skórze 39 sh.).

HEMAR (Marian). *Siedem lat chudych*. Pamiętnik satyryczny. Str. 399. (Nakł. Roy Publishers, New York, 1955. Cena egz. w opr. dol. 3,75, w brosz. dol. 3.00).

Polonia Zagraniczna 1929-1954. Księga Pamiątkowa w 25-lecie istnienia Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Str. 131. (Wyd. Londyn, 1955).

Adam Mickiewicz. Praca zbiorowa. Str. 132. (Nakł. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn 1955).

Adam Mickiewicz 1798-1855. Homage de l'UNESCO à l'occasion du centième anniversaire de sa mort. Str. 277. (Wyd. Organisation des Nations-Unies pour l'éducation, la science et la culture. Paris, 1955, frs 750).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Długo się wahałem zanim zasiadłem do pisania tego listu, którego celem jest polemika z recenzją książki Józefa Mackiewicza pióra W.A. Zbyszewskiego („Nagroda Nobla”; „Kultura” nr 10/96). Bo — niby po co mam polemizować? Zgadzam się całkowicie z autorem recenzji, że „Droga do nikąd” jest powieścią „która będzie należała do żelaznego repertuaru polskiej literatury”. I zgadzam się że Józef Mackiewicz jest wybitnym, znakomitym i wielkim pisarzem polskim okresu powojennego. (W ostatnim zdaniu pominąłem tylko użyty przez p. Zbyszewskiego przedrostek „naj”, mam bowiem uprzedzenie do superlatywów i w ogóle uważam że wydawanie na gorąco dyplomów na „największość” byłoby zajęciem trochę ryzykownym). Zachwytem moim nad powieścią Józefa Mackiewicza dałem zresztą wyraz w „Wiadomościach” londyńskich (nr 488). Skoro więc zarówno W.A. Zbyszewski jak i ja chwalimy Józefa Mackiewicza, tedy zdawałoby się że nie ma podstawy do polemiki. A jednak...

Metoda, której używa pisarz, i konkluzje, do których dochodzi, są jego dobrym prawem. Niemniej jednak metoda i konkluzje p. Zbyszewskiego tak mnie zaskoczyły i tyle we mnie obudziły sprzeciwów, że dla pełniejszego i jaśniejszego ocenienia wartości książki Mackiewicza warto chyba te rzeczy przedyskutować.

Zacznę od metody. Metoda porównań jest jak wiemy tak zawodna, że się nawet doczekała powszechnie znanego przysłowia. Porównanie staje się tym zawodniejsze im mniej jego obiekty są nawzajem „adekwatne”. Pan Zbyszewski tyle razy porównuje Józefa Mackiewicza z jego bratem Stanisławem, że wzięła mnie pokusa przeliczenia ile razy wymienia Stanisława. Doliczyłem do dziewięciu i — straciłem rachubę, bo natrafiłem na bite półtorej stronicę poświęconej wyłącznie Stanisławowi. Nie przetarłem oczu ze zdumienia, bo wiem że taki zabieg nic by mi nie pomógł, ale za to dałem sobie folę w okrzyku: jak można w ogóle na serio porównywać dwóch pisarzy, których — jako pisarzy — nie łączy nic, ale to absolutnie nic, prócz faktu że obaj piszą, no i że się urodzili braćmi! Pan Zbyszewski jednak używa wyrazów „bracia Mackiewicz” ze swobodą i gracją jak gdyby mówił o braterskiej spółce pisarskiej lub o przedwojennych „Braciach Jabłkowskich”. Przeprowadza tę metodę wiwisekcji rodzinnej z taką konsekwencją i taką pasją, że chwilami podejrzewałem czy nie jestem świadkiem zamaskowanego wyrównania jakichś niezrozumiałych dla czytelnika zadawnień. Tego rodzaju podejrzenie byłoby całkiem usprawiedliwione, gdy się weźmie pod uwagę że W.A. Zbyszewski poświęca całą stronicę ocenie książki Stanisława Mackiewicza pt. „Stanisław August”. Można uważać

„Stanisława Augusta” za arcydzieło — można uważać za rzecz nieudaną. Ale — co ma „Stanisław August” wspólnego z „Drogą donikąd”? Napisałem: „podejrzenie byłoby usprawiedliwione”. Użyłem trybu warunkowego, bo doszedłem po namyśle do wniosku, że podejrzenie takie nie jest słuszne. Rozwiązanie zagadki „metody porównawczej” jest, zdaniem moim, prostsze. Pan Zbyszewski używa w pewnym miejscu (zresztą w bardzo pięknym i szlachetnym celu) definicji „publicysta prowincjonalny”. Czy nie przyszło mu do głowy, że cała jego metoda familijno-porównawcza traci prowincję?

Józef Mackiewicz opisuje okres okupacji bolszewickiej. Niżej podpisany pamięta z roku 1917 i z półtoramiesięcznej autopsji jesienią 1939 jak to po objęciu władzy przez bolszewików — przez jedną noc — jak pod magicznym zaklęciem — miasta i ludzie dosłownie obrastają brudem. Ludzie czyści i kulturalni prawem mimikry myją się rzadziej, zapuszczają brody, wkładają stare łachy, słowem — przystosowują się. Brud, który W.A. Zbyszewski nazywa „kamertonem powieści” jest po prostu elementem bolszewizmu w jego pierwszym okresie. Nic więc dziwnego że autor opisujący z przeraźliwie okrutnym realizmem sowietystację Wilna i Wileńszczyzny musiał uwypuklić ten element brudu. Czy można jednak wnioskować z tego, że Józef Mackiewicz jest „pisarzem proletariackim” i nawet „polskim Gorkim” (chwała Bogu że choć „lepszym”)? (Przy okazji W.A. Zbyszewski porusza swój faworytny problem spożycia mydła, o czym już w swoim czasie napisał mały traktacik na tle zagadnień przeludnienia. Problem ten interesuje go do tego stopnia, że nawet wymienia różne rodzaje naczyń służących do ablucji. Problem ciekawy, ale wcale nie prosty. Tak np. za dawnej Rosji chłopci choć nie używali wcale mydła, jednak co tydzień parzyli się grzuntownie w łaźni, gdy w tym samym okresie — a i po dziś dzień — dzentlmeni w pewnych krajach, należący do klas uprzywilejowanych myją mydłem — wedle przepisu pani Dulskiej — „co dzień twarz i ręce, a w soboty szyję i do pół pasa”).

Zgodziłbym się z W.A. Zbyszewskim że stronica „Drogi donikąd”, na których inteligenci rezonują i wygłaszają „teorie polityczne” są mniej efektowne i mniej przekonujące niż inne stronicę książki. Ale p. Zbyszewski idzie stanowczo za daleko zarzucając tym teoriom „infantylnizm polityczny”. Tak np. kwestia czy „bolszewizm jest (wyłącznie) rosyjską formą marksizmu” (podkreślenie autora recenzji), czy też — jak to od trzydziestu kilku lat twierdzi jednogłośnie cała prasa i literatura emigracyjna rosyjska — istnieje jakaś inna, przyczajona pod ziemią „dobra” Rosja — jest kwestią zbyt skomplikowaną aby się z nią załatwić jednym machnięciem pióra, choćby to było pióro tak wszechstronnie utalentowane jak pióro W.A. Zbyszewskiego. Dalej: nikt nie zaprzeczy że „rządy Bieruta (zostały) narzucone bagnietami sowieckimi”. Nikt również nie ma wątpliwości że gdyby dziś przeprowadzić naprawdę wolne wybory w Polsce, to komunizm zostałby zdmuchnięty w ciągu 24 godzin. Ale — co by się stało w Rosji, gdyby tam takie wybory przeprowadzić? Warto by się zastanowić nad tym pytaniem, a dopiero potem lansować teorię „rosyjskiej formy marksizmu”. Może mylnie interpretuję „teorie polityczne” wygłaszane przez różne osoby na stronicach „Drogi donikąd” (czy mają to być konieczne teorie samego autora?) i może kiedykolwiek Józef Mackiewicz — gwoździ do ściany recenzentów i czytelników — sam zechce te rzeczy publicznie i „autory-

tatywnie" wyjaśnić, ale osobiście wyciągnąłem z tych teorii zupełnie inne wnioski; moim zdaniem Mackiewicz nie wzywa wcale do powstań i czynnych oporów, a po prostu wskazuje nagą i okrutną prawdę nieodporności wszelkich organizmów ludzkich (nie tylko rosyjskich!) na bakterie komunizmu. Wiemy że bagnety sowieckie narzuciły rząd Bieruta, ale wiemy także, że w cieniu tych bagnatów odbywają się w Polsce przemiany (nie tylko gospodarcze!), którym nadajemy eufemistyczną nazwę „przemian nieodwracalnych”.

Zarzut „rosyjskości”. Już raz p. Zbyszewski obdzielił w druku tym zarzutem Stanisława Mackiewicza. Teraz — zgodnie ze swą metodą porównawczą i zapewne dla zachowania rodzinnej symetrii — stwierdza że i Józef Mackiewicz jest „bardzo rosyjski”. Zarzut rosyjskości raz po raz wynurza się z nurtu publicystyki polskiej. Czasem ma on postać naiwną, bo streszcza się w zarzucie miejsca urodzenia, szkoły, rusycyzmów, używania zwrotów w języku rosyjskim itp. Oczywiście zarzut p. Zbyszewskiego jest głębszy: chyba zgodzi się on ze mną że użycie wyrazów rosyjskich przez pisarza polskiego jest równie uzasadnione jak użycie wyrazów: *ausgerechnet, entre cousins, allons donc* lub *double scotch*. W.A. Zbyszewski ma przeto na myśli coś znacznie głębszego: *mentalność rosyjską*! Może by wystarczyło gdyby odpowiedział na ten zarzut małą anegdotą autentyczną. Przed trzynastu laty pewna uroczą poznanią zarzuciła skromnej osobie niżej podpisanego, że ma mentalność wschodnią (czytaj: rosyjską). Wrodzona szarmanckość nie pozwoliła mi odpowiedzieć tej pani, że najbardziej „rosyjską” (w znaczeniu mentalności) postacią jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem — figurą jakby wyjętą z albumu okrutnych karykatur Sałtykowa-Szczedryna — był pewien dygnitarz prowincjonalny rodem z — Poznańskiego, człowiek w dodatku pochodzenia chłopskiego czyli przynależny do „królewskiego szczepu piastowego”. I nie powiedziałem tej damie, że w kronikach mego dość już, niestety, długiego życia mam w zapasie sporo innych przykładów tego rodzaju. Pan Zbyszewski konkretyzuje zresztą swój zarzut rosyjskości. Pisz czarno na białym że powieść Józefa Mackiewicza „wywodzi się w prostej linii z Gogola i Szolochowa”. Zaczę od Szolochowa. Autor „Cichego Donu” rzuca na tło olbrzymiej panoramy pokoju i wojny domowej nieskomplikowane ale psychologicznie prawdziwe przeżycia kilkunastu ludzi, którym los kazał się urodzić nie w „usadbach” szlacheckich lecz w skromnych stanicach kozackich. Stąd też „Cichy Don” to nie „migawki” (jak słusznie pod względem formalnym określa W.A. Zbyszewski powieść Mackiewicza), lecz epopeja. I stąd też nazywano nie raz Szolochowa — mniej lub więcej trafnie — kozackim (choć nie konieczne „proletariackim”) Lwem Tolstojem. Czemż więc p. Zbyszewski nie wywiódł „Drogi donikąd” bezpośrednio z Tolstoją? Byłby to bowiem „wywód” literacki równie logiczny jak np. porównanie Józefa Mackiewicza z Maupassantem czy z Klementyną z Tańskich Hoffmanową. A Gogol?... Tu już naprawdę „ręce opadają”. W.A. Zbyszewski ma wśród naszych publicystów emigracyjnych dobrze zasłużoną opinię erudyty. W tym jednak miejscu erudycja go zawiodła: podejrzewam, że nie tylko nie zajrzał do olbrzymiej literatury o Gogolu, lecz że nawet samego Gogola nie pofatygował się odświeżyć w pamięci.

Końcowy ustęp recenzji byłby pięknym akordem, gdyby... gdyby nie to porównanie Józefa Mackiewicza z Dostojewskim. (Nawiasem mówiąc

znów mamy tu przykład tej skłonności do symetrii rodzinnej, bo o jedną stronę przedtem p. Zbyszewski porównuje z Dostojewskim również i Stanisława Mackiewicza). Porównanie jest tak żywe i plastyczne, że niewtajemniczony czytelnik może odnieść wrażenie, że między tytanem literatury rosyjskiej a Józefem Mackiewiczem istnieje nawet podobieństwo fizyczne. Tymczasem z obwołuty „Drogi donikąd” widzimy, że Józef Mackiewicz jest przystojnym, stosunkowo młodym człowiekiem o „sarmackiej” powierchowości (brakuje mu tylko wąsów) i nie ma ani wystających kości policzkowych ani głęboko osadzonych „nieruchomych” oczu genialnego epileptyka rosyjskiego. W ten sposób zakończenie recenzji, które mogłoby być akordem tak pięknym, że wyrównałoby wszystkie poprzednie potknięcia się recenzenta, stało się zgrzytem i niedźwiedzią przysługą.

Na zakończenie — mała uwaga geograficzno-krajobrazowa. Tłem powieści Józefa Mackiewicza jest stosunkowo nieduży skrawek dawnej Litwy, położony na południe od Wilna. Kraj to istotnie „płaski”, piaszczysty, nieurodzajny, ale za to lesisty, więc chyba jednak bardziej „pociągający” np. od płaskich i bezleśnych wydymchów mazowieckich? Zresztą jest to kwestia gustu i nie o to chodzi. Chodzi o to, że p. Zbyszewski utożsamia ten kraj — lub raczej jego skrawek — z krajem opisywanym przez Józefa Weyssenhoffa i Mickiewicza. Tymczasem tłem „Sobola i panny” jest położony o przeszło 100 kilometrów na północ od Wilna „kochany powiat jezioroski” — pięknie pofalowane pojezierze litewskie zwane czasem „krajem jezior” a czasem nawet „Szwajcarią litewską”. No a akcja „Pana Tadeusza” odbywa się jak wiemy „na żyznej litewskiej równinie”, mniej wprawdzie bogatej w jeziora od „Szwajcarii litewskiej”, lecz również uroczo pofalowanej w malownicze „pagórki leśne”.

Wyrazy głębokiego szacunku łączę.

Michał K. PAWLIKOWSKI
(Berkeley, Kalifornia)



Szanowny Panie Redaktorze i Drogi Panie Jerzy,

Czyście, na miły Bóg, powariowali w tym Maisons Laffitte?

Jaki to znowu „czynnik społeczny” udało Wam się odkryć w systemie totalitarnej dyktatury? Mam na myśli Wasz apel „Do czterdziestu ośmiu” w listopadowym numerze „Kultury”. Piszecie: „Przez dziesięć lat ubolewaliśmy nad nieobecnością w życiu politycznym kraju niezależnego czynnika społecznego. Pojawienie się jego — chociażby w formie ubocznej i przypadkowej — witamy jako zjawisko dodatnie...” itd.

Nie pozostawiacie cienia wątpliwości co do tego, że mówicie na serio, to znaczy że ten list, wzywający emigrację do powrotu, podpisany przez 48 więźniów reżymu, odkomenderowanych w czasie któregoś z więziennych apelów porannych do takiej właśnie roboty, — uważacie rzeczywiście za przejaw społecznej samodzielności tych ludzi. Czym robicie ogromną krzywdę im samym, tym więźniom Bo wylamujecie się spod ogólnej konwencji, jaka istnieje między Emigracją i Krajem, polegającej na tym że my nigdy nie

będziemy zapisywali na konto społeczeństwa tych wszystkich wystąpień, a przeważnie występów, które reżym popełnia zasłaniając się rzekomym podpisem społeczeństwa. My wiemy że ten podpis jest wymuszony. I oni wiedzą że my wiemy. I podpisując mają przynajmniej tę ulgę że my nie damy się nabrać.

A tymczasem Wy poświadczacie ten wymuszony podpis. To przecież to samo co wierzyć, że klasa robotnicza jest najbardziej zbrodniczą klasą na świecie dlatego tylko, że Stalin w jej jakoby imieniu, z jej imieniem na ustach, popełniał wszystkie swoje zbrodnie, dając wyrokom swojego bezprawia podpis „sądu ludowego”. Też „czynnik społeczny”.

Wiercie mi że Was lubię i szanuję za Waszą niezależność myślenia, za Waszą pracę kulturalną na emigracji... Tym bardziej zła krew mię zalewa że poszaleliście w kwiecie wieku i rozwoju. Pocieszam się, że może nie poszaleliście, ale udajecie greka, jak to się mówi, by przystosować się do obecnego tonu wroga. Ale w takim razie bardzo niezręcznie tego greka udajecie. Tamtych łobuzów nie przechytzycie, a emigracji i Krajowi wyrządzicie wielką szkodę. Bo społeczeństwo w Kraju (nie „czynnik społeczny”) ze smutkiem stwierdzi że Emigracja nie rozumie jego gry więziennej, a znowu czytelnicy Wasi na emigracji zbałamucą się Waszą grą i przyjmą za dobrą monetę rzekomy fakt rzekomego dojścia do głosu „czynnika społecznego” w Polsce — okupowanej przez reżym totalitarnej niewoli.

Totalitaryzm i „czynnik społeczny” — a niech Was... Jeśliście nie czytali książki Józia Czapkiego „Na nieludzkiej ziemi”, to poproście go, żeby Wam ją streścił. I nie mówcie że od tamtych czasów ziemia nieludzka choć trochę się uczłowieczyła wskutek „odwilży”. „Odwilż” jest pułapką na ludzi, żeby łamali sobie nogi i krzyże na jej śliskim lodowisku. Póki dyktatury, póki rządu gwałtu i sowieckiego bagneta — póty więzienia i łamania „czynnika społecznego”. Nie muszę Wam chyba wykladać abecadła politycznego i taktycznego marksizmu, nie muszę Wam mówić o „Zniewolonym Umyśle”. Pogadajcie o tym z Miłozem. Zresztą przeczytajcie uważnie jego świetny artykuł w tym samym numerze „Kultury” pt. „Refleksje o środowisku zamkniętym”. Trudniej chyba zobrazować rolę „czynnika społecznego” w ustroju komunistycznego gwałtu i chamstwa wyraźniej i głębiej niż to robi Miłoz w tym właśnie artykule.

Przeście, moi Kochani, bo się źle bawicie.

Wasz przyjaciel

Janusz KOWALEWSKI

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 11/97 (listopadowym) „Kultury”, w mym liście do Redakcji zakradł się na stronie 158 błąd, polegający na mylnym przeliczeniu kwoty 600 zł. na 30 dolarów. Omyłka ta wymaga sprostowania. Bowiem 1 (jeden) złoty polski przeliczeniowy SKARBU NARODOWEGO, równa się 20 centom amerykańskim, czyli 1 dolar = 5 zł. A więc kwota 600 złotych stanowi sumę 120 dolarów.

Proszę przyjąć wyrazy poważania

Zbigniew ŁUKACZYŃSKI

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultury» za rok 1955

Spis autorów

An., AV. — BĄCZKOWSKI Włodzimierz, B. H., BLEKAITIS Jurgis, BOBKOWSKI Andrzej, BOMZE Nuchim, BONDY François-Gil, BORWICZ Michał, BÖLL Heinrich, BRADUNAS Kazys, BREGMAN Aleksander, BRODZIŃSKI Bohdan, BRZEKOWSKI Jan. — CHRUSCIEL Tadeusz, COLIN Jean, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZARNECKI Marian, CZAYKOWSKI Bogdan, CZECHANOWSKI Stanisław, — DOBROWOLSKI Julian, DOBROWOLSKI Tomasz. — FELSZTYN Tadeusz, FENAUX Guy. — GAWLINA Józef F. Arcybiskup, GEBSKA Irena, GINWITT S., GIRNIUS Juozas, GLIKSON P., GOMBROWICZ Witold, GRABOWSKI Zbigniew. — HALECKI Jerzy, HERSCH Jeanne, HERTZ Aleksander, HORZELSKI Jerzy, HOSTOWIEC Paweł, HRABYK Klaudiusz. — IHNATOWICZ Janusz A. — (j), JANTA Aleksander, JASIEŃCZYK Janusz, JASIŃSKI Zbigniew, J. B., JELEŃSKI K.A., JENNE Józef, J. H., JORDAN Zbigniew, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KAJ, KEKSTAS Juozas, KORBONSKI Stefan, KOSACZ Jurij, KOWALIK Jan, KOZŁOWSKI Stefan W., KRYTYK, KRZECZUNOWICZ Jerzy, KRZYCZKOWSKI Roman. — L., LEITGEBER Witold, LERSKI Jerzy, LONDYŃCZYK. — ŁAWRYNOWICZ Zygmunt, ŁOBODOWSKI Józef, ŁUKACZYŃSKI Zbigniew. — MACERNIS Vytautas, MACKIEWICZ Stanisław, MALRAUX André, MATŁACHOWSKA Róża, MEKAS Jonas, MEYER Stefan, MICHAŁOWSKI Zygmunt, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOZ Czesław, M.P., MUHLSTEIN Anatol. — N., NAGYS Henrikas, NYKA-NILIUNAS Alfonsas. — PANKOWSKI Marian, PANUFNIK Andrzej, PAWLIKOWSKI J., PAWLIKOWSKI Michał K., PIETRKIEWICZ Jerzy, PIOTROWSKI J.K., PIOTROWSKI Stanisław, POMIAN-PIĄTKOWSKI Bolesław, POPLAWSKI Włodzimierz V., POSPIESZAŁSKI Antoni. — RADAUSKAS Henrikas, RADZYMIŃSKA Józefa, RAKOWICZ Jan, RIPKA Hubert, ROJEK Wojciech Artur ks., ROMANOWICZOWA Zofia, ROMER Tadeusz, RUDZ Mie-

czysław. — SABBAT Kazimierz, SAMBOR Michał, S. C., SIEKIEL-ZDZIENICKI Zbigniew, SITO Jerzy S., SKARZYŃSKI Kazimierz, SLAITAS Vladas, SOKOLNICKI Michał, SOŁOWIJ Tadeusz, STAR V., STRASZEWICZ Czesław, STRUPCZEWSKI Ryszard, SZEMPLIŃSKA-SOŁEWSKA Elżbieta, SZYLLING Antoni. — SLIWINSKI Stanisław, SMIEJA Florian. — T., TABORSKI Bolesław, TOROSIEWICZ Jan, T. S., TURKIEWICZ Zygmunt. — ULATOWSKI Jan, URTUBEY Julio H., UZIEMBŁO Adam. — VINCENZ Andrzej, VINCENZ Stanisław. — WANKOWICZ Melchior, WEINTRAUB Wiktor, WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander, WESTFAL Stanisław, WIERCZYŃSKI L., WINCZAKIEWICZ Jan, WITOS Wincenty, WITTLIN Józef, W. K., WOJTUN Bronisław S., WÓJCIK Stanisław, WRÓŃSKI Henryk, WYSOCKI Bolesław A. — ZAL. W., ZALESKI Wojciech, ZAREMBA Zygmunt, ZARZEWSKI Stanisław, ZAUBERMAN Alfred, ZBYSZEWSKI W.A., Z. R., ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻARNOWSKI Zbigniew.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

BĄCZKOWSKI Włodzimierz: *Uwagi o Kaukazie* (1/87-2/88).
BOBKOWSKI Andrzej: *Zachód nareszcie wyzwala* (1/87-2/88).
BONDY François-Gil: *Bonn — stolica mimo woli* (6/92), przełożyła Zofia Hertz.
BRODZIŃSKI Bohdan: *Wiedeń w przeddzień uwolnienia* (12/98).
GIRNIUS Juozas: *W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego* (10/96).
HERTZ Zofia (tłumacz) ob. Bondy (6/92), Ripka (6/92).
HOSTOWIEC Paweł: *Dziennik podróży do Westfalii* (1/87-2/88).
— *Konferencja Czterech w Genewie* (9/95).
— *Odprężenie ogarnia emigrację* (10/96).
— *Wyprawa Kijowska* (Wynik Ankiety) (12/98).
JELEŃSKI K.A. (tłumacz) ob. Weissberg-Cybulski (11/97).
KOZŁOWSKI Stefan W.: *Po dziesięciu latach* (6/92).
— *Umowy paryskie* (4/90).
LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91, 6/92, 7/93-8/94, 9/95, 10/96, 11/97, 12/98).
ŁOBODOWSKI Józef: *Odwilż na mrozie* (4/90).
MIEROSZEWSKI Juliusz: *Bilans emigracyjny* (1/87-2/88).
— *Czy „Wielki Brat” zastąpi Clausewitza?* (4/90).
— *„Dramat” wyzwolenia* (7/93-8/94).
— *Europa zneutralizowana?* (5/91).

— *Geopolityka atomowa* (12/98).
— *Metamorfozy polsko-niemieckie* (10/96).
— *Pieniądz i odpowiedzialność* (3/89).
— *Polityka narodów zdeklasowanych* (6/92).
— *Stos pacierzowy* (9/95).
MIŁOSZ Czesław: *Valka — czyli poza czasem* (4/90).
MUHLSTEIN Anatol: *Widmo Jaltę* (6/92).
RIPKA Hubert: *Konferencja czterech a Europa Wschodnia* (6/92), przeł. Zofia Hertz.
ROMER Tadeusz: *List do Zespołu „Kultury”* (3/89).
Skarb Narodowy w New Jersey (3/89).
WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Ceną kompromisu — nowa linia demarkacyjna* (11/97), przeł. K.A. Jeleński.
Wolna Trybuna: Klaudiusz Hrabek (1/87-2/88), Tomasz Dobrowolski (3/89).
ZAREMBA Zygmunt: *Komunizm przy drzwiach otwartych* (9/95).
ZARZEWSKI Stanisław: *Handel Polski z Zachodem* (1/87-2/88).
— *Syzyfowe prace Sowietów* (5/91).

Artykuły i essaye z dziedziny literatury, sztuki i inne

BRZEKOWSKI Jan: *Awangarda* (7/93-8/94).
— *Literatura wobec historii* (5/91).
CZAPSKI Józef: *Amerykańskie ścieżki* (11/97).
— *Tumult i widma* (12/98).
GOMBROWICZ Witold: *Fragmenty z dziennika* (3/89, 4/90, 7/93-8/94).
HERTZ Aleksander: *Refleksje amerykańskie* (11/97).
HORZELSKI Jerzy: *Współczesny klimat intelektualny* (4/90).
JELEŃSKI K.A.: *Tryby literatury* (3/89).
ŁOBODOWSKI Józef: *Poezja Jewhena Małaniuka* (10/96).
— *Polemiki poetyckie* (5/91).
MIŁOSZ Czesław: *Pokwitowanie* (10/96).
NYKA-NILIUNAS Alfonsas: *Najnowsza poezja litewska* (10/96).
PANKOWSKI Marian: *„Pędź latawcze białonogi...”* (7/93-8/94).
POSPIESZAŁSKI Antoni: *Tajemnice czasu* (7/93-8/94).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

BOBKOWSKI Andrzej: *Z notatek modelarza* (5/91, 6/92).
BOLL Heinrich: *Pociąg nie miał spóźnienia* (7/93-8/94, 9/95, 10/96), przeł. S.W. Kozłowski.

- KOZŁOWSKI S.W. (tłumacz), ob. Böll (7/93-8/94, 9/95, 10/96).
 LEITGEBER Witold: *Obraz Ameryki* (7/93-8/94).
 MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy* (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91).
 STRASZEWICZ Czesław: *Rozdział z powieści* (7/93-8/94).

Utwory poetyckie

- BLEKAITIS Jurgis: *Czas* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 BOMZE Nuchim: *Modlitwa mojej matki przed zmrokiem* (7/93-8/94), przeł. Czesław Miłosz.
 BRADUNAS Kazys: *Plemię* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Przekrój* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Przysięga* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Fatum* (5/91).
 — *Jesienna fraszka* (5/91).
 — *Karm miłość swą jabłkami* (5/91).
 — *Magiczny poemat* (5/91).
 — *Marcowa noc* (5/91).
 — *Polacy* (5/91).
 — *Przebudzenie* (5/91).
 — *Rozmowa o śmierci* (5/91).
 — *Tragedia* (5/91).
 IHNATOWICZ Janusz A.: ★★ (7/93-8/94).
 KEKSTAS Juozas: *Ewokacja rodzinnego miasta* (10/96).
 — *Koniec lata* (10/96).
 — *Pieśń nieżywego anioła* (10/96).
 — *Z tamtego snu* (10/96).
 — (tłumacz) poezje własne oraz ob. Blekaitis, Bradunas, Macernis, Mekas, Nagys, Nyka-Niliunas, Radauskas, Slaitas (10/96).
 ŁAWRYNOWICZ Zygmunt: *Art poétique* (7/93-8/94).
 — *Gdzie mieszkam* (7/93-8/94).
 — *Syn marnotrawny* (7/93-8/94).
 MACERNIS Vytautas: *Wizja* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 MEKAS Jonas: *Niech pada deszcz* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 MIŁOSZ Czesław (tłumacz) ob. Bomze (7/93-8/94).
 NAGYS Henrikas: *Szalony zegarmistrz dwudziestego wieku* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 NYKA-NILIUNAS Alfonsas: *Zmartwychwstanie* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 PANKOWSKI Marian: *W redakcji* (7/93-8/94).
 — *Pieśni trubadurów* (przekłady), Zofia Romanowiczowa (9/95).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Dwadzieścia lat poezji* (4/90).
 — *Poezja arabsko-andaluzyjska* (przekłady) Florian Śmieja (7/93-8/94).

- RADAUSKAS Henrikas: *Strzala w niebie* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 RADZYMIŃSKA Józefa (tłumacz) ob. Urtubey (7/93-8/94).
 ROMANOWICZOWA Zofia: *Kilka pieśni trubadurów* (przekłady) (9/95).
 SITO Jerzy S.: *Nadejście nocy* (7/93-8/94).
 SLAITAS Vladas: ★★ (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA Elżbieta: *Skrzydło* (7/93-8/94).
 ŚMIEJA Florian: *Poezja arabsko-andaluzyjska* (przekłady) (7/93-8/94).
 TABORSKI Bolesław: *Włoski pastiche* (7/93-8/94).
 URTUBEY Julio H.: *Mi abuela India* (7/93-8/94), przeł. Józefa Radzymińska.

Najnowsza historia Polski

- B. H.: *Ukraińskie wspomnienia z Berezy* (12/98).
 JASIŃSKI Zbigniew: *Pieśń o Powstaniu* (1/87-2/88).
 KORBOŃSKI Stefan: *Śmierć i pogrzeb Wincentego Witosa* (10/96).
 LERSKI Jerzy: *Amerykański dziennik majora Hordyńskiego* (12/98).
 MACKIEWICZ Stanisław: *Un travail raté* (11/97).
 PAWLIKOWSKI Michał K.: *Epizod miński 1918 roku* (7/93-8/94).
 SKARŻYŃSKI Kazimierz: *Katyni i Polski Czerwony Krzyż* (5/91).
 UZIEMBŁO Adam: 1905 (4/90).
 WANKOWICZ Melchior: *Droga do Urzędowa* (6/92).
 WITOS Wincenty: *Fragmenty z pamiętnika* (9/95).
 WÓJCIK Stanisław: *60-lecie ruchu ludowego i Wincenty Witos* (9/95).

Sprawy krajowe

- Do czterdziestu ośmiu* (11/97).
 FENAUX Guy: *Notatki z podróży* (10/96), przełożył Marian Pankowski.
 JORDAN Zbigniew: *Bunt intelektualisty* (9/95).
 — *Filozofia wyroczni i dekretu* (12/98).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Dramat polskich „klerków”* (11/97).
 MIŁOSZ Czesław: *Literatura po dziesięciu latach* (10/96).
 — *Refleksje o środowisku zamkniętym* (11/97).
 PANKOWSKI Marian: *Dziesięć lat poezji krajowej* (1/87-2/88).
 — *Odbowiedź Florczakowi* (9/95).
 — *„Piękna sztuka pisania”* (12/98).
 — (tłumacz) ob. Fenaux (10/96).

- PANUFNIK Andrzej: *Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce* (1/87-2/88).
 Radio Kraj — Zbigniew Florczak namawia do powrotu (9/95).
 WRÓŃSKI Henryk: *Szkolnictwo w Polsce* (7/93-8/94).
 ZARZEWSKI Stanisław: *Które z przemian w Polsce są odwracalne?* (Wyniki Ankiety) (7/93-8/94, 9/95, 10/96, 11/97).
 ZAUBERMAN Alfred: *Polska krajem niedoboru ludnościowego* (4/90).
 ZUBRZYCKI Jerzy: *Przemiany ludnościowe w Europie Wschodniej* (7/93-8/94).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

- AV: *Kronika ukraińska* (7/93-8/94).
 — *Książki ukraińskie* (9/95).
 — *Slavistica* (1/87-2/88).
 B. H.: *Nafta na Bliskim Wschodzie* (7/93-8/94).
 — *System sowiecki* (11/97).
 — *Zagadnienia azjatyckie* (12/98).
 GLIKSON P.: *„Żydostwo polskie”* (1/87-2/88).
 HORZELSKI Jerzy: *Filozofia gwałtu* (1/87-2/88).
 HOSTOWIEC Paweł: *Nowe wydanie „Soli ziemi”* (7/93-8/94).
 — *„Odwilż” Erenburga* (3/89).
 — *Początki Rosji* (6/92).
 — *Polska, Rosja i Zachód* (4/90).
 (j): *Notatki wydawnicze* (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 6/92, 7/93-8/94).
 — *Przegląd miesięczników* (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 9/95, 11/97).
 — *Z krajowej prasy literackiej* (5/91, 6/92, 7/93-8/94).
 JASIENCZYK Janusz: *„Ślad bosej nogi”* (1/87-2/88).
 — *Świadectwo kłeski* (7/93-8/94).
 J. B.: *Historia Vichy* (7/93-8/94).
 — *Wspomnienia Salmona* (12/98).
 J. H.: *Przed powrotem do raju* (7/93-8/94).
 KAJ: *Bestia i gentlemen* (7/93-8/94).
 — *Chyba jednak ku pokrzepieniu serc* (6/92).
 — *„Listy o ludziach”* (6/92).
 — *Mandaryni, komunizm, koegzystencja* (9/95).
 — *O Odrodzeniu i Średniowieczu* (12/98).
 L.: *Kontrola polityczna* (1/87-2/88).
 — *Pamiętnik amerykański* (1/87-2/88).
 — *Pouget* (7/93-8/94).
 MIŁOŚZ Czesław: *Polacy z Kresów* (12/98).
 M. P.: *Nowości poetyckie* (4/90, 12/98).
 N.: *Młody las* (4/90).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91, 7/93-8/94, 10/96, 12/98).

- PIOTROWSKI Stanisław: *„Polonia restituta”* (1/87-2/88).
 S. C.: *Przemysł chemiczny w Polsce* (11/97).
 TOROSIEWICZ Jan: *Mowa katalogów* (5/91).
 T. S.: *Tworzywo Melchiora Wańkowicza* (4/90).
 VINCENZ Andrzej: *Ruchy chłopskie na Rusi Czerwonej* (3/89).
 VINCENZ Stanisław: *Ofiara* (12/98).
W dwóch słowach (1/87-2/88).
 WEINTRAUB Wiktor: *O Czartoryskim* (11/97).
 WESTFAL Stanisław: *Słownik wyrazów obcych* (9/95).
 ZAL. W.: *Pieniądz w Polsce Ludowej* (4/90).
 ZARZEWSKI Stanisław: *Dwie obrony kapitalizmu* (6/92).
 ZBYSZEWSKI W.A.: *Nagroda Nobla* (10/96).

Kronika kulturalna

- An.: *Kronika żydowska* (11/97).
 AV: *Kronika białoruska* (12/98).
 — *Kronika ukraińska* (11/97).
 COLIN Jean: *Okropności wojny* (10/96), przeł. K.A. Jeleński.
 CZAPSKA Maria: *„Coś ty uczynił ludziom, Mickiewicz?”* (3/98).
 HERSCH Jeanne: *Czy radio, film i prasa zagrażają kulturze?* (11/97), przeł. Z. H.
 HORZELSKI Jerzy: *Potrzeba psychologów* (7/93-8/94).
 JELEŃSKI K.A. (tłumacz), ob. Colin (10/96).
 — *W poszukiwaniu człowieka szczęśliwego* (12/98).
 KAJ: *Belotto i Gierymski w Wenecji* (11/97).
 — *Galeria malarstwa obcego w Warszawie* (3/89).
Kongres Pen-Clubu w Wiedniu (9/95).
Konkursy, nagrody, subskrypcje (12/98).
 KRYTYK: *Czy pierwszy polski „little theatre”?* (7/93-8/94).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Wartownicy* (7/93-8/94).
 MIŁOŚZ Czesław: *O teatrze* (7/93-8/94).
Nagroda „Kultury” (4/90).
Nagroda muzyczna „Kultury” (10/96).
 PANKOWSKI Marian: *O moralności socjalistycznej* (3/89).
 ROMANOWICZOWA Zofia: *Kilka pieśni trubadurów* (9/95).
 TURKIEWICZ Zygmunt: *Z wystaw londyńskich* (5/91).
 WESTFAL Stanisław: *Moja wycieczka na Itakę* (3/89).
 ZALESKI Wojciech: *Władysław Pańczak* (10/96).
 Z. H.: (tłumacz) ob. Hersch (11/97).
 Z. R.: *Kongres w Awinionie* (10/96).

Sprawy i troski

- CZECHANOWSKI Stanisław: *Polacy w Niemczech* (11/97).
 ROMANOWICZOWA Zofia: *Placki kartoflane* (5/91).
 ZALESKI Wojciech: *Jeszcze o Strassburgu* (3/89).

Tłumaczenia

Z języka francuskiego :

- BONDY François-Gil: *Bonn — stolica mimo woli* (6/92), przeł. Zofia Hertz.
 COLIN Jean: *Okropności wojny* (10/96), przeł. K.A. Jeleński.
 FENAUX Guy: *Notatki z podróży* (10/96), przeł. Marian Pankowski.
 HERSCH Jeanne: *Czy radio, film i prasa zagrażają kulturze?* (11/97), przeł. Z. H.
 RIPKA Hubert: *Konferencja czterech a Europa Wschodnia* (6/92), przeł. Zofia Hertz.

Z języka hiszpańskiego :

- Poezja arabsko-andaluzyjska* (7/93-8/94), przeł. Florian Smieja.
 URTUBEY Julio H.: *Mi abuela India* (7/93-8/94), przeł. Józefa Radzywińska.

Z języka litewskiego :

- BLEKAITIS Jurgis: *Czas* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 BRADUNAS Kazys: *Plemię* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Przekrój* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Przysięga* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 KEKSTAS Juozas: *Ewokacja rodzinnego miasta* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Koniec lata* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Pieśń nieżywego anioła* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 — *Z tamtego snu* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 MACERNIS Vytautas: *Wizja* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 MEKAS Jonas: *Niech pada deszcz* (10/96), pr. Juozas Kekstas.
 NAGYS Henrikas: *Szalony zegarmistrz dwudziestego wieku* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 NYKA-NILIUNAS Alfonsas: *Zmartwychwstanie* (10/96), przełożył Juozas Kekstas.
 RADAUSKAS Henrikas: *Strzała w niebie* (10/96), przeł. Juozas Kekstas.
 SLAITAS Vladas: ★★ (10/96), przeł. Juozas Kekstas.

Z języka niemieckiego :

- BÖLL Heinrich: *Pociąg nie miał spóźnienia* (7/93-8/94, 9/95, 10/96), przeł. S.W. Kozłowski.
 WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Ceną kompromisu — nowa linia demarkacyjna* (11/97), przeł. K.A. Jeleński.

Z języka prowansalskiego :

- Pieśni trubadurów* (9/95), przeł. Zofia Romanowiczowa.

Z języka żydowskiego :

- BOMZE Nuchim: *Modlitwa mojej matki przed zmrokiem* (7/93-8/94), przeł. Czesław Miłosz.

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1954* (1/87-2/88).
 KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii powojennych Niemiec 1945-1953* (1/87-2/88, 3/89).

Listy do Redakcji

- BOBKOWSKI Andrzej (9/95). BORWICZ Michał (12/98). BREGMAN Aleksander (12/98). CHRUSCIEL Tadeusz (12/98). CZAPSKI Józef (4/90). CZARNECKI Marian (12/98). DOBROWOLSKI Julian (12/98). GAWLINA Józef F. Arcybiskup (1/87-2/88). GEBSKA Irena (7/93-8/94). GINWITT S. (9/95, 12/98). GRABOWSKI Zbigniew (4/90, 9/95). HALECKI Jerzy (1/87-2/88). HORZELSKI Jerzy (9/95). HRABYK Klaudiusz (3/89). JANTA Aleksander (3/89). JASINSKI Zbigniew (4/90). JENNE Józef (1/87-2/88). JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga (7/93-8/94). KOSACZ Jurij (12/98). KRZECZUNOWICZ Jerzy (12/98). LUKACZYŃSKI Zbigniew (7/93-8/94, 11/97). MATŁACHOWSKA Róża (12/98). MEYER Stefan (5/91). MICHAŁOWSKI Zygmunt (3/89). MIŁOŚZ Czesław (6/92). PAWLIKOWSKI J. dr (4/90, 9/95). PIOTROWSKI J.K. (3/89). POMIAN-PIĄTKOWSKI Bolesław (4/90). POPLAWSKI Włodzimierz V. (7/93-8/94). RAKOWICZ Jan (12/98). ROJEK Wojciech Artur ks. (5/91). RUDŹ Mieczysław (1/87-2/88). SABBAT Kazimierz (7/93-8/94). SAMBOR Michał (12/98). SIEKIEL-ZDZIENICKI Zbigniew (9/95). SOKOLNICKI Michał (1/87-2/88, 12/98). SOŁOWIJ Tadeusz (12/98). STAR V. (9/95). STRUPCZEWSKI Ryszard (12/98). SZYLLING Antoni (3/89). SLIWIŃSKI Stanisław (4/90). TABORSKI Bolesław (7/93-8/94). ULATOWSKI Jan (1/87-2/88). VINCENZ Andrzej (1/87-2/88). WEINTRAUB Wiktor (1/87-2/88). WESTFAL Stanisław (1/87-2/88). WIERCZYŃSKI L. (10/96). WINCZAKIEWICZ Jan (6/92). W. K. (4/90). WOJTUN Bronisław S. (1/87-2/88). WYSOCKI Bolesław A. (9/95). ZBY-SZEWSKI W.A. (3/89). ŻARNOWSKI Zbigniew (1/87-2/88).

Różne

- Dalsze wpłaty na dom „Kultury” (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91, 6/92, 7/93-8/94, 9/95, 10/96, 11/97, 12/98).
- English Synopsis (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91, 6/92, 7/93-8/94).
- Fotografie domu „Kultury” (wkładka) (5/91).
- JELEŃSKI K.A.: Nasza stała lektura (pastiche „Wiadomości”) (1/87-2/88).
- ŁOBODOWSKI Józef, KRZYCZKOWSKI Roman, JELEŃSKI K.A. i inni: Nasza stała lektura (pastiche „Kultury”) (3/89).
- MALRAUX André: List do Redakcji „Kultury” (9/95).
- Nowa ankieta „Kultury” — Wyprawa kijowska (5/91).
- Résumé en langue française (1/87-2/88, 3/89, 4/90, 5/91, 6/92, 7/93-8/94).
- Splacamy dom (1/87-2/88).
- WESTFAL Stanisław: Wyjaśnienie (7/93-8/94).
- WITTLIN Józef: Jeszcze pro domo mea (7/93-8/94).
- Wybory do Skarbu Narodowego w Kanadzie (5/91).

Noty biograficzne autorów

CZAYKOWSKI Bogdan (5/91). HORZELSKI Jerzy (4/90). POSPIESZALSKI Antoni (7/93-8/94). ROMANOWICZOWA Zofia (5/91). ZAUBERMAN Alfred (4/90).

Wydawnictwa książkowe

BIBLIOTEKA „KULTURY”:

- Tom IX : Czesław Miłosz, *Zdobycie Władzy* (stron 160).
- Tom X : Czesław Miłosz, *Dolina Issy* (stron 196).
- Tom XI : Marian Pankowski, *Smagła Swoboda* (stron 55). Nagroda literacka „Kultury” za rok 1954.
- Tom XII : Teodor Parnicki, *Koniec „Zgody Narodów”*, (część I-sza stron 312, część II-ga stron 296).
- Jerzy Pietrkiewicz: *Dwadzieścia lat poezji 1934-1954* (stron 30).

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 1^{er} Trimestre 1956.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Paraná; Hanna Leksycka, r. Guirara 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikieluk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1.	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 20 sh.	25 DM 40 sh.
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziwanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczyński, Alma Shipping Co., 11 Cooper St., New York 34, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XII - (w 2-ch częściach)

TEODORA PARNICKIEGO

KONIEC "ZGODY NARODÓW"

Autor wprowadza czytelnika w barwny lecz mało znany rozdział dziejów hellenizmu. Dramatyczna akcja powieści rozgrywa się na okręcie, na którym krzyżują się nici łączące Zachód i Wschód, od Rzymu do Indyj i Chin.

„Kultura” zwracała już uwagę czytelników na głęboką oryginalność talentu Teodora PARNICKIEGO i na miejsce zajmowane przezeń w odradzającej się powieści historycznej. Jego najnowsza powieść, która już jest w sprzedaży, jest najlepszym świadectwem żywotności i samodzielności literatury polskiej na emigracji.

Cena każdej części 750 frs (15 sh., dol. 2,25). Całość 1.500 frs (30 sh., dol. 4,50).